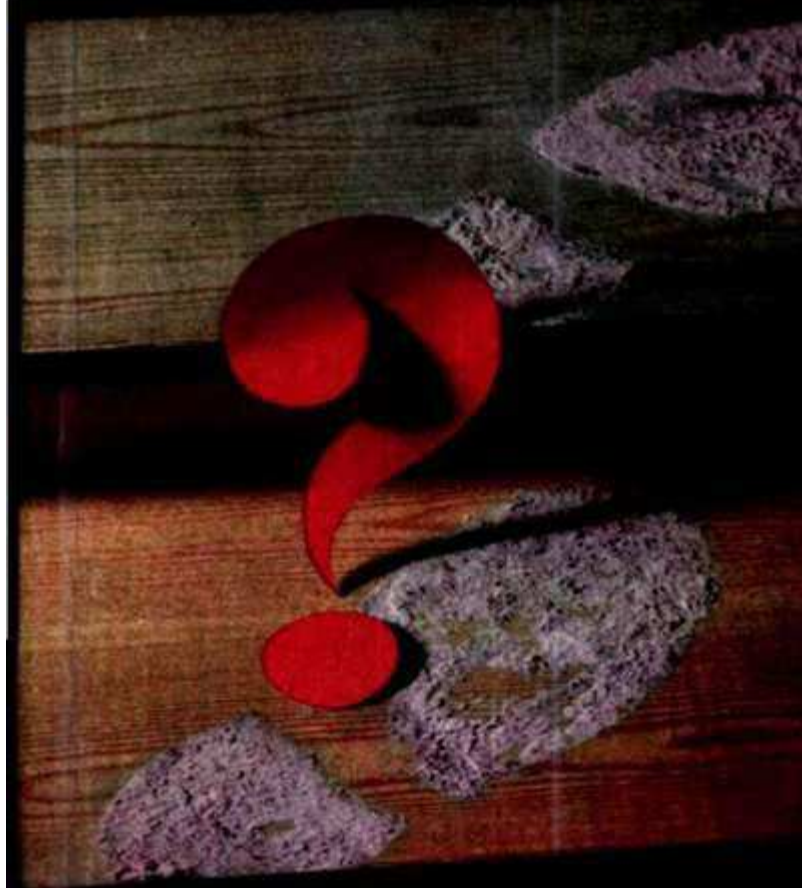


# Maruta

Kazimierz Korkozowicz





Ukryte wejście do szopy musiało być gdzieś w pobliżu. I rzeczywiście, znalazłem je po krótkim sprawdzeniu desek. Dwie z nich, wyglądająca równie solidnie jak reszta, były przybite tylko u góry. Wystarczyło rozchylić je, by powstała szpara umożliwiająca wsłizgnięcie się do środka. Ślad ścieżki prowadził właśnie tutaj.

Zgasilem latarkę i bez namysłu pogrążyłem się w ciemność wewnątrz. Posłyszałem szelest munduru Kruszyny i brzęk automatu zawieszanego na szyi.

Znow zaświeciłem latarkę. Z jednej strony szopy stały rzędy beczek, z drugiej piętrzyły się worki. Środek zajmowały skrzynie, ustawione porządknie w wielki szkielet. Dookoła tej sterty skrzyń biegła wąska przejście.

Ruszyliśmy nim. Światło latarki sunęło po betonowej podłodze, klękało się po ścianach, nyszkowało wśród beczek i worków, omiatało białym kołem bełkowanie dachu, z którego zwisały festony pajęczym.

Nigdzie nie było jednak poszukiwanego przez nas człowieka. Panowała zupełnie cisza, najniebezpieczniej może zdradzał czyjejkolwiek obecności.

Kazimierz Korcozowicz

# Maruta

Krajowa Agencja Wydawnicza

Projekt okładki

Teresa Cichowicz-Porada

Zdjęcie

Jan i Waldyna Fleiachmanoune

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA

RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH”

WARSZAWA 1976

Wydanie I.

Nakład 2/100.000 egz.

Objętość: ark, wyd. 9,4 ark, druk. 7,0.

Papier offsetowy kl. V, 70 g, rola 93 cm.

Nr prod. 1-5/106/74.

Skład, druk i oprawa

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego”

Warszawa

Zam. 5306/A/75. B 59.

Cena 28 zł.

## **Prolog, który należy uważać za integralną część opisywanych przez autora zdarzeń.**

Był to zwykły, szkolny brulion o postrzępionej tekturowej okładce, zapisany gęsto ołówkiem. Niektóre strony pokrywały równe rzędy liter, tworząc zdania o poprawnej budowie, a opisy i dialogi zdradzały obycie z piórem. Na innych pełno było powtórzeń i oderwanych, nie wiążących się ze sobą, urywków myśli i spostrzeżeń.

Zawierał notki robione zapewne dorywczo, nieraz w pośpiechu lub pod wpływem silnego wzburzenia. Mówiły one o walce i mdłości, a dotyczyły przeżyć nie znanego mi człowieka z dramatycznego okresu powstania warszawskiego. Nigdzie nie ujawnił swego nazwiska, nigdy go później nie spotkałem, toteż pozostał mi znany tylko ze swego bojowego pseudonimu.

Zeszyt ten trafił w moje ręce zupełnie przypadkowo. Poniewierał się na piwnicznej podłodze, skąd podniosłem go mimo gorączkowego pośpiechu, jakiemu w tamtym momencie uległem, bo czas jaki mi pozostał, ubiegał z zastraszającą szybkością. Jednak rzut oka na treść spowodował, że, zaciekawiony, wsunąłem również ów zeszyt do brezentowego worka.

Sądzę, że powinienem również opowiedzieć nieco szerzej, w jaki sposób dostał się on w moje ręce. Chociażby dlatego, że jest to mało znany przyczynek do historii tamtych dni — tuż po powstaniu warszawskim.

Szanując prawa życia zbiorowego — i te pisane, i niepisane — starałem się jednak zawsze chodzić własnymi drogami. Toteż po zakończeniu powstania ominąłem i obóz jeniecki, i pruszkowski punkt zborny dla ludności cywilnej. Znalazłem się natomiast w podwarszawskich Włochach. Była już połowa października, dni stały się zimne i dżdżyste, cały mój przyodziewek stanowiły dziurawe buty, koszulka z krótkimi rękawami i lekki letni garniturek, mocno już sponiewierany, a zasoby gotówkowe pozwalały na przezwycie najwyżej dwóch tygodni, i to zaledwie na kartoflach i cebuli. Natomiast całe wyposażenie osobiste, a nawet nieco drobnych rodzinnych kosztowności pozostało w piwnicy domu, gdzie mieszkałem przed wybuchem powstania.

Jedynym więc ratunkiem było przedostanie się do tego domu. Ale jak to zrobić, skoro lewobrzeżna Warszawa otoczona była gęstym pierścieniem posterunków, a po jej ulicach krążyły patrole, strzelające bez ostrzeżenia do każdego napotkanego cywila? Sam zresztą widziałem na peryferiach mogiły z tablicami objaśniającymi, że leżą w nich rozstrzelani za próby przedostania się do miasta, a więc ostrzeżenia mające swoją przekonywającą wymowę.

Ale ponoć nie ma sytuacji bez wyjścia. A więc i tu zjawiała się pewna szansa. Otóż przed zupełnym zniszczeniem resztek Warszawy, co okupant zaczął już realizować, obywatelom narodowości niemieckiej i tym, którzy ją zadeklarowali, czyli tak zwanym volksdeutschom, zezwano wrócić do miasta po swój dobytek, jeśli byli w stanie udowodnić, że mieszkali w nim przed powstaniem. Mogli wziąć ze sobą furę i sześciu robotników dla załadowania

mebli i innych rzeczy. Każdej takiej grupie przydzielano umundurowanego żandarma, tak zwanego begleitera, który odpowiadał za przejazd po wskazanej trasie, terminowy powrót (przed zmrokiem) i nierozproszenie się ekipy.

Biuro wydawania przepustek mieściło się na dalekiej Woli, za cmentarzem Ewangelickim, w lokalu dawnej firmy Kirschmeyer i Marczewski. Stał tam w poprzek ulicznej jezdni sznur żandarmów a nie opodał, tuż przy szosie, leżało kartoflisko, na którym powstała swego rodzaju giełda.

Czekały tu konne zaprzęgi, skupiali się robotnicy chętni podjęcia się pracy przy załadunku, kręcili się sprzedawcy dwóch artykułów: wódki i gorącej kiełbasy, dni bowiem, jak wspomniałem, były chłodne i mokre. Tam też udawali się owi Niemcy, którzy już dostali przepustki, wynajmując zaprzęgi i ludzi.

To była właśnie ta szansa, bo teren kartofliska stał się giełdą, na której można było kupić miejsce tragarza.

Cena wynosiła dwadzieścia tysięcy. W zamian płacący był włączany do ekipy, oczywiście bez obowiązku pracy przy załadunku. Mógł natomiast „urwać się” na własną odpowiedzialność i ryzyko po swoje rzeczy i załadować na wóz to, co zdołał unieść. W rezultacie wyruszający Niemiec miał na wozie dwóch rzeczywistych tragarzy, którym płacił, i czterech, którzy płacili jemu. Oczywiście do interesu należał i begleiter. Oprócz jakiejś „doli” od swego pobratymca otrzymywał od owych czterech również ustaloną opłatę — po litrze wódki i kófkę kiełbasy.

Problem polegał jednak głównie na tym, by znaleźć takiego „patrona”, który jechał w pobliże miejsca zamieszkania płacącego, bo „urwanie się” było sprawą mocno niebezpieczną ze względu na ryzyko spotkania patrolu. Im więc znajdowało się bliżej, tym ryzyko to było mniejsze.

Jak zdobyłem pieniądze i jaki przebieg miała wyprawa obfitująca w dramatyczne momenty, nie należy już do rzeczy. Pomogła mi ludzka uczynność i zrozumienie sytuacji. Ostatnie pięć tysięcy pożyczyła mi handlarka kielbasą na kartoflisku, nie wiedząc chyba nawet, jak się nazywam. Sądzę, że pobudką jej czynu była nie tylko obiecana nadpłata.

I tą drogą w moim brezentowym worku poza ubraniem, bielizną i paczuszką ze złotymi drobiazgami znalazł się i ten zeszyt.

Czekał on na odegranie swojej roli w szufladzie mojego biurka przez wiele lat, do czasu, kiedy zwierzenia innego uczestnika, opisywanej w nim historii, uzupełniły jej obraz, wyjaśniając jednocześnie niektóre, niezrozumiałe dotąd, sytuacje.

Pamiętnik „Bitnego” wymagał nie tylko uporządkowania, ale i odtworzenia tła, natomiast opowiadanie poznane go przypadkowo człowieka przytaczam wprawdzie bez żadnych zmian merytorycznych, ale we własnym ujęciu.

Sądzę, że te dwa wątki, które podaję oddzielnie w kolejności ich powstawania, dadzą zrozumiały obraz tego, co zdarzyło się w kamienicy pod nr 32 we wrześniu 1944 roku, przy ulicy, której nazwy nie wymieniam celowo.



## Wtorek — wieczór

Z odległej przestrzeni zasnutego dymami miasta dochodziły krótkie serie maszynowej broni podobne urywanemu szczekaniu znużonego psa. Po chwili strzały umilkły i ciszę ponurego cmentarza kamienic prze-rywał tylko trzask dopalających się ogni. Zaczynało już ciemnieć. Niebo zewsząd pałało łunami, toteż nie można było rozeznąć, którą z nich rozpałiło zachodzące słońce, a którą pożary. Smugi dymu szły górą, rozciągając się w długie, brunatno-czarne pasma. Gdzieś, tym razem zupełnie blisko, rozległa się krótka seria, a po niej kilka pojedynczych strzałów.

— Nasza barykada musi być tu niedaleko — rzuciłem za siebie — chłopcy czuwają...

Szliśmy w sześciu, jeden za drugim, tuż przy ścianach domów — cała reszta, jaka pozostała z mego plutonu.

— Mają tu święte życie — mruknął idący za mną Gnat. — Spokój jak w klasztornym ogródku!

— Toteż kiedy już sobie legnę, nie wstanę aż po trzech dniach! — rozległ się ze środka szeregu dyszkant Świergota.

Nikt już nie odezwał się, bo zapewne każdy na swój sposób wrócił myślą do dni, które udało się przeżyć.

Słysząc było tylko stuk kroków i chrobot duszonych podszwami odprysków cegieł. Milczenie przerwał idący na końcu szeregu Surma.

— No, Bitny, daleko jeszcze? Chyba zasnę idąc...

— O ile mogłem dostrzec, minęliśmy właśnie numer dwudziesty — powiedziałem odwróciwszy się do Heńka.

— Gdzie ma być ta kwatery? — wtrącił Kruszyna, skacząc za poprzednikami przez zwał gruzu.

— Pod trzydziestym drugim. Podobno kamienica nienaruszona.

Mijaliśmy wypalone mury kolejnego domu. Patrzył na ulicę pustymi prostokątami okiennych otworów, niby oczodołami wylupionych oczu. Wewnątrz, do wysokości piętra, leżały sterty cegieł ze zwałonych stropów, których belki rysowały się na czerwonym tle nieba czarnymi liniami. Na wprost zwęglone wiązania dachowe sterczały ze zwałów gruzu. Pełgały po nich języki ognia, tu i ówdzie sączyły się wąskie strużki niebieskiego dymu. Od czasu do czasu tlejące drzewo raptem strzelało jasnym płomieniem, który rozświetlał rumowisko i szerniało od dymu mury. Panującą wśród nich ciszę przerywał jedynie trzask pryskających z nagła iskier — ogień był tu wyłącznym symbolem życia i ruchu.

Tylko wąwozem ulicy, pełnym zwałów cegieł i sterzczących ku górze resztek murów, ciągnęły lekkie podmuchy wiatru. Zmiatały wapienny pył, szeleściły papierami, przewracały strony rozrzuconych wśród gruzów książek, z cicha brzęczały blachami rozbitych rynien. Te ledwie uchwytnie odgłosy wzmagały grozę, jaka szła z tych pustych, okaleczonych domów.

Idąc na czele oddziału, wkrótce spostrzegłem szary zarys barykady z chodnikowych płyt, okalającej regularnym prostokątem bramę mającej przed nami kamienicy, co dowodziło, że miała ona mieszkańców. Byliśmy zatem u kresu marszu. Mimo woli przyspieszyłem kroku, rad, że

wreszcie nadchodzi odpoczynek, któregośmy tak bardzo potrzebowali.

I w tej chwili usłyszałem suchy trzask karabinowego wystrzału. Obróciłem się gwałtownie i zdążyłem jeszcze dostrzec, jak Surma rozkłada ręce i wali się twarzą w gruz ulicy.

Rzuciliśmy się ku niemu. Od razu zobaczyłem na plecach dużą, coraz bardziej powiększającą się ciemną plamę. Bicz nachylił się nad leżącym.

— Nie żyje — stwierdził krótko, rozglądając się dookoła po czym dorzucił zduszonym szeptem. — Skąd drań strzelał?

Lustrując wzrokiem otoczenie, zadawałem sobie to samo pytanie.

— Dostał w plecy — mruknął cicho, jakby do siebie, Gnat. — Znów „gołębiarz”.

Chłopcy spoglądali w głąb ulicy, którą przeszli. O kilkadziesiąt kroków od nich widać było ścianę kamienicy, jedynej, która miała balkony.

— Gnat i Bicz, zbadać tamten dom! — poleciłem, starając się zachować spokój. — Może go jeszcze dopadniecie, zachować więc ostrożność! Znajdziecie nas za tą barykadą.

Zerwali z ramion automaty i ruszyli biegiem. Obróciłem się do pozostałych.

— Kruszyna, weźmiesz go ze mną pod ramiona, Świergot za nogi.

Unieśliśmy ciało zabitego towarzysza. Świergot, schylając się nad zwłokami, przez chwilę łapał powietrze krótkimi, spazmatycznymi haustami.

— A tobie co? — burknął Kruszyna dźwigając wraz ze mną ciało.

Ruszyliśmy ze swoim ciężarem ku barykadzie.

— Wolałbym, żeby mnie... Żeby mnie... — usłyszałem za sobą szloch świergota. — W plecy mu strzelił,

podlec... Jeszcze parę kroków, a... właśnie teraz... kiedy już... już tak blisko... kiedy...

— Przestań głądzić! — rzuciłem opryskliwie, nie obracając głowy.

Szliśmy z ponurymi twarzami, wolno i w milczeniu. Kiedy podchodziliśmy do barykady, zza jej ściany, z płasko ułożonych chodnikowych płyt, rozległ się dziewczęcy głos.

— Stój! Kto idzie?!

— Zamknij się! — warknął Kruszyna.

— Stać, bo strzelam! — Głos był nieco drżący, ale stanowczy.

— Stul dziób, sikoro! — ze złością krzyknął Kruszyna.

I on tak jak ja z trudem zachowywał spokój. Teraz dopiero dał upust wściekłości.

Obeszliśmy cementową zaporę i znaleźliśmy przejście. Na widok naszego ciężaru stojąca za barykadą dziewczyna opuściła trzymany w rękę stary bębenkowiec i odstępowała na bok. W czarnej czeluści bramy zamajaczyło kilka postaci. Jedna z nich podeszła do nas.

— Jestem komendantem tej kamienicy. Czy to ranny?

— Zabity — mruknąłem przez zaciśnięte zęby. — Zginął o kilka kroków stąd.

— Znowu! — rozległ się czyjś głos.

— Skąd jesteście?

— Ze Starego Miasta. Mamy tu na parę dni dostać kwaterę.

— Mówiła już o was łączniczka z punktu dowodzenia. Możecie zająć któreś z pustych mieszkań na wyższych piętrach.

— Gdzie złożyć zwłoki na dzisiejszą noc? Jutro go pogrzebiemy.

— Piwnice pełne są ludzi. Naszych i obcych. Zostawcie więc go tutaj! Mamy stały posterunek przy bramie.

— My będziemy pełnić przy nim straż — odezwał się niewidoczny w ciemnościach Kruszyna. — Samego go nie zostawimy.

— Jak chcecie. Chodźcie, wskażę wam mieszkanie. Trzech was tylko?

— Zaraz przyjdą jeszcze dwaj. Przeszukują dom, z którego strzelano.

— Wasz towarzysz nie jest pierwszy. Gdzieś tu ukrywa się gołębiarz czatujący na ludzi. Nawet po wodę niebezpiecznie jest wyjść! Musimy chodzić nocą!

— Kto pierwszy obejmie wartę przy zwłokach? — zwróciłem się do towarzyszy.

— Ja! — zgłosił się Świergot. Zostanę na całą noc! Możecie się wyspać.

— Nie. O jedenastej zmieni cię Gnat. Następne warty ustalę potem.

Dalsze słowa przerwał mi okrzyk dziewczyny strzegącej barykady, a po chwili zjawili się Bicz i Gnat. Przystanąli na chwilę, szukając mnie wzrokiem wśród ledwie rysujących się postaci.

— Jestem tu — odezwałem się. — No i co?

— Nic. Już za ciemno. Mógł przywarować w byle kącie i też byśmy go nie dostrzegli.

— Trudno. Chodźcie, idziemy na kwaterę. Przy zwłokach pierwszy zostaje Świergot.

Mieszanie było obszerne, umeblowane bogato. W oknach nie było jednak szyb, a ze ścian i sufitów miejscami pooblatywał tynk, pokrywając gruzem i wapiennym pyłem kolorowe dywany. Niektóre z obrazów pospadały, inne wisały krzywo, grając barwami płócien w chybotliwym świetle świecy.

Zlustrowałem pokoje. Za obszernym salonem znajdował się równie wytwornie umeblowany gabinet, z wielkim biurkiem zawalonym odłamkami szkła i szafą pełną książek, których tłoczone złotem grzbiety połyskiwały równymi rzędami na półkach przysypanych wapnem. Dalej

była sypialnia o dwóch szerokich, małżeńskich łóżach. Krótki korytarzyk łączył kuchnię z dużą jadalnią. Jedną ze ścian zajmował wielki gdański kredens.

Gnat, który mi towarzyszył, zainteresował się zaraz jego zawartością, jednak poszukiwania okazały się daremne.

— Byli tu przed tobą inni. Nie trać czasu... — mruknąłem.

— Widzę. Cholera...

— Miejsce do spania jest dość, żarcia wcale — oznajmił pozostałym Gnat, kiedy wróciliśmy do salonu.

— Zajmuję tę kanapę. — Rzuciłem automat na atlas obicia stylowego mebla. Wziąłem od Bicza świecę, potarłem ją o tynk przylepiając do ściany i dodałem — Rozłokujcie się, potem pogadamy...

Zsunąłem z głowy hełm. Reszta poszła za moim przykładem. Odłożyli broń i, porozpinawszy pasy, wyciągnęli się w fotelach.

— Gadanie zostawiłbym na potem, a teraz wziąłbym coś na ząb. Od rana o suchym pysku... — odezwał się Gnat.

— Będziemy rąbać na zimno? — spytał Kruszyna z lekką przyganą w głosie.

— Widziałem w kuchni krzesło. Zaraz zrobię ogień...

— Poczekaj z tym! — rzuciłem ostro, tracąc na chwilę opanowanie, które z trudem dotąd zachowywałem. — Ten pies znaczy teraz nową kreskę na kolbie, a wy myślicie przede wszystkim o żarciu!

— Przywykło się nieco do śmierci — odezwał się pojednawczo Kruszyna.

— Podchorąży ma rację — mruknął Bicz. — Och, żebym dostał tego drania w łapy!

— Dostaniemy go — rzuciłem gwałtownie. — Inaczej pozwolę nazwać się ostatnim gnojkiem!

— Rzykowna obietnica — oświadczył spokojnie Kruszyna. — To niełatwa sprawa.

— Łatwa, niełatwa, z góry nie przesądź! A teraz chcę postawić parę pytań, by wspólnie poszukać na nie odpowiedzi.

Świeca paliła się nierówno, jej płomień chybotał od podmuchów wiatru, a ruchliwe cienie siedzących przesunęły się po ścianach.

— Co to za pytania?

— Pierwsze: Skąd padł strzał? Nasze podejrzenie co do tamtej kamienicy trzeba potwierdzić albo odrzucić. Przyjrzałem się ranom Surmy. Wylotowa znajduje się niżej od wlotowej. To położenie wskazuje, że morderca strzelał z góry.

— Wzajemne położenie ran zależy również od pozycji ciała w chwili, kiedy dosięgła je kula — uzupełnił Kruszyna. — Wersję strzału z góry moglibyśmy przyjąć tylko w tym wypadku, jeśli mielibyśmy pewność, że Surma szedł wyprostowany. A tej pewności nie mamy i stąd wydaje mi się, że położenie ran to nie dowód.

— Bardzo to przekonująco wywiodeś — mruknąłem z ironią — ale nie przemyślałeś sytuacji do końca.

— Co masz na myśli? — zabrał głos Bicz. — Wydaje mi się, że Kruszyna ma rację.

— Tylko na pierwszy rzut oka. Rana wylotowa kuli idącej poziomym torem będzie znajdować się niżej od wlotowej tylko w pozycji ciała odchylonego do tyłu, co jest wykluczone, bo wówczas Surma nie utrzymałby się na nogach. Stąd obstaję przy założeniu, że strzelano z góry.

— Poddaję się... — Kruszyna uniósł do góry brudną dłoń.

— Ponieważ zabójca, wychylając się z okna, nie mógł oddać celnego strzału wzdłuż ulicy, przypuszczam, że leżał na balkonie, wysunąwszy lufę karabinu pomiędzy słupków balustrady.

— Mamy więc odpowiedź na pierwsze pytanie, bo

dom z balkonami jest tam tylko jeden — stwierdził Bacz.

— O to chodzi. Trzeba będzie zbadać go dokładnie. Obejrzę go sobie jutro rano.

— A jakie zadanie dla nas? — Gnat wyjął zza paska długi pistolet i położył go na stojącym obok niego stoliku.

— Najpierw należy obrać jakieś punkty wyjścia, jak ten już ustalony. Stąd kolej na pytanie następne: czy morderca przebywa w tym domu?

— Wszystkie wokoło są rozbite — odezwał się Bicz — więc nie ma innej możliwości. Musimy zbadać, kto tu mieszka.

— Stałych mieszkańców nietrudno będzie poznać — rozważał Kruszyna — ale z przybyszami sprawa jest gorsza. Tak jak i wszędzie, na pewno tłoczą się w piwnicach, siedząc niemal jeden na drugim.

— A może ukrywa się w tamtym domu z balkonami? — Ciemne oczy Bicza załśniły na moment w przelotnym rozbłysku świecy.

— Proponuję odłożyć ten temat do jutra, do momentu ustalenia, kto zamieszkuje ten dom i kto przebywa w piwnicach. — Kruszyna, mówiąc to, przesunął spojrzeniem po towarzyszach i zatrzymał wzrok na mnie. Jego wysokie czoło znaczyły szramy zadrapań, pozostałość po zasypaniu gruzem w czasie walk na Starym Mieście.

— Chyba masz rację — musiałem przyznać. — Istotnie, najpierw trzeba się rozejrzeć... Ale mamy mało czasu... Dlatego chciałem... — Wpatrzyłem się w tańczący płomień świecy. Wypaliła się już do połowy, pozostawiając na ścianie czarny pas sadzy.

Nikt nie przerywał zaległego milczenia.

Stała mi raptem przed oczami twarz Heńka. Był na niej jego charakterystyczny półuśmiech, a w utkwionym we mnie wzroku lśnił blask życia. Obraz był tak wyraźny,



że zerwałem się raptownie na nogi, kopnąłem fotel i obróciłem do okna, by nie okazać im wzruszenia na twarzy. Patrzyłem przez chwilę w czerń nocy rozświetloną łunami, po czym zacząłem mówić nie odwracając się.

— Wiecie, jaki był Heniek... Przyjaźniliśmy się od chłopięcych lat... Toteż przysiągłem sobie, że rachunek będzie wyrównany... Ech, niech to cholera! — Nagły przypływ żalu i wściekłości zahamował imi dalsze słowa.

Usłyszałem za sobą głos Gnata. Moje wzruszenie musiało udzielić się i jemu, gdyż wyraźnie zdradzał podniecenie.

— Musimy zrobić wszystko, by dostać tego podleca! Pamiętajcie, tego gołębiarza ściągniętego z dachu na Podwalu? Zabił kobietę niosącą wiadro z wodą. Okazał się volksdeutschem i kłął nas jeszcze na chwilę przed zgonem.

— Tak, toś ty go zestrzelił — przytaknął Świergot. — Walnął o bruk jak worek kartofli. Kości miał potrzaskane, ale jeszcze pluł przekleństwami!

Obróciłem się od okna.

— I tutaj gdzieś ukrywa się podobny typ — mruknąłem.

— Zatem co ustalamy? — Kruszyna spojrzął na mnie.

— O siódmej pogrzeb. Potem muszę złożyć majorowi meldunek, a następnie pogadać z dozorcą o tutejszych mieszkańcach. Wy po pogrzebie zostaniecie w kwaterze. Zastępuje mnie Kruszyna. Z nikim nie gadać, gęby trzymać zamknięte. Po moim powrocie odbędziemy następną naradę i ustalimy, co robić dalej.

— Może by teraz nieco zjeść? — Gnat wrócił do swego tematu. — Już mi mdło z głodu.

— Dobrze, zajmij się kaszą. Zostaw porcję Świergotowi, a potem pójdz go zmienić.

W tej chwili rozległo się pukanie. Wszyscy zamilkli

i odwrócili głowy ku ciemnemu wnętrzu przedpokoju. Gnat poderwał się na nogi i ruszył do drzwi. Usłyszeliśmy krótką wymianę słów, po czym na progu ukazała się dziewczyna.

Znieruchomiałem zdumiony. W nikłym świetle świecy z lekka połyskiwały zaczesane za uszy włosy okalające zmizerowaną twarz o zgrabnym nosku i pięknie wykrojonych ustach. Wielkie oczy skrzyły się błyskami, kiedy kolejno lustrowała postacie obecnych. Wreszcie spojrzenie jej zatrzymało się na mojej twarzy. Oczy na moment rozszerzyło zdumienie.

— Andrzej! To ty jesteś Bitny?

Stałem bez słowa i bez ruchu, wpatrzony w dziewczynę. Czułem, jak raptowny kurcz łapie mnie za gardło. Jednocześnie w nagłym wspomnieniu ukazał mi się obraz rozległej płaszczyzny morza, usianej złotymi refleksami słonecznego blasku, a na tym tle ta sama twarz, odchylona nieco w bok, o nieskazitelnym rysunku profilu. Powieki przysłaniają oczy, na ustach drga ledwo dostrzegalny uśmiech... Najdroższe usta o niezapomnianym smaku... Kolorową sukienką targa wiatr, rysując kusząco linie gibkiego ciała...

Nad jej głową zawisł wielki obłok, a na jego białym tle szybowała mewa. To była ta chwila, decydująca chwila fałszywej decyzji... A potem obrana poza przy rozstaniu, pozornie beztroska, którą tak głupio usiłowałem zagłuszyć głos serca i obawę utraty... I owe nieszczęsne pożegnanie, okrutne pustką słowa. Ich okrucieństwo i głupotę oceniłem dopiero z czasem...

W ciągu tych kilku sekund przeżyłem to wszystko na nowo. Potem zdobyłem się tylko na kilka słów rzuconych zdławionym szeptem:

— Maruta? Skąd ty tu?

Opanowała się pierwsza.

— Jestem tą łączniczką, która zgłosiła na punkcie kwaterę dla oddziału Bitnego. Nie przypuszczałam, że to będziesz ty...

Podszedłem do niej z wyciągniętą ręką.

— Cieszę się z tego spotkania — rzuciłem ze sztuczną swobodą, dodając ciszej, pod wpływem nagłego impulsu — bardziej niż sądzisz...

— Doprawdy? — Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem, ale ton pytania był lekko drwiący. Potem nagle spoważniała. — Przyszłam, by dowiedzieć się czegoś bliższego o tym tragicznym zdarzeniu. Podobno jeden z twoich żołnierzy został zabity gdzieś w pobliżu.

— Przykro mi, że nasze spotkanie następuje w takich okolicznościach — powiedziałem z goryczą.

— Ja w ogóle nie przypuszczałam, że kiedykolwiek nastąpi.

— I już powszechnie wiadomo, co się stało? — Celowo pominąłem jej uwagę.

— Powiedział mi o tym komendant kamienicy. Jak do tego doszło?

Opowiedziałem jej pokrótce całe zdarzenie, a potem, kiedy już odchodziła, ruszyłem za nią.

— Odprowadzę cię, jeśli pozwolisz... — Starałem się nadać głosowi zdawkowy ton.

Odpowiedziała mi podobnie.

— Jeśli masz ochotę...

Na klatce schodowej znalazłem jej rękę, której nie cofnęła. Zeszliśmy na dół bez słowa. Dopiero na podwórku, pod rozgwieżdżonym niebem, ciętym nożami świateł reflektorów, zatrzymałem się i ująłem ją za ramiona.

— Szukałem cię. Dawałem ogłoszenia do gazet niemal do samego wybuchu wojny! Czy nie czytałaś?! — Wybuchnąłem nie mogąc już opanować się.

Chwilę patrzyła mi w twarz bez słowa. Potem powiedziała spokojnie:

— Czytałam.

— Więc czemu...? Dlaczego nie odezwałaś się?!

Opuściła głowę i przez pewien czas milczała. Potem

nagle uniosła ją i zamiast odpowiedzi rzuciła z hamowanym wzburzeniem:

— Dlaczego nie pytasz, co czułam po twoim wyjeździe?! Jak spędziłam tę noc? Teraz mogę ci już powiedzieć: ze łzami wstydu i rozpaczą w sercu. Pamiętam ją do dziś.

— I ja zapłaciłem swoją cenę — odpowiedziałem z goryczą. — Żałosny głupiec! Wydawało mi się, że będę oryginalny, że okażę fason, jeśli nie wspomnę ani słowa o utrzymaniu między nami dalszego kontaktu, nie podam adresu... W głębi serca oczekiwałem jednak, że ty to zrobisz...

— No wiesz — oburzyła się. — Czułam się potraktowana jak obiekt urlopowej przygody! Czy przypuszczałeś, że będę ci się narzucać?

— Chciałem w ten sposób zniszczyć uczucie, którego się bałem... — Mówiłem wolno, starając się opanować wzruszenie. Uważałem je za coś, co przynosi ujmę memu ówczesnemu wyobrażeniu mężczyzny... Wzbraniałem się przed zależnością, jak to wówczas nazywałem, od spódnicy... Wtedy nie rozumiałem jeszcze wielu rzeczy, miałem głowę pełną bzdurnych poglądów.

— No a dziś...? — W jej pytaniu zadrgała lekka drwina.

— Dziś, kiedy patrzę śmierci w oczy i zabijam sam, wszystko inaczej widzę... Życie i jego sens...

— Starasz się przekonać mnie, że nie byłem ci obojętny i że uczucie to zachowałeś... Ale po co, skoro zabiłeś je we mnie?

— Czy nie zdołasz mi przebaczyć? — Zwolniłem jej ramiona, opuszczając ręce.

Uniosła brwi do góry.

— Czego, skoro jesteś mi obojętny?

— Najokropniejsze słowa, jakie mogłem usłyszeć. Już wolałbym nienawiść, bo każe przynajmniej pamiętać!

Uśmiechnęła się z lekka, ale nic nie odpowiedziała.

Zrozumiałem to milczenie.

— Czy nie pozostawisz mi żadnej nadziei? — rzuciłem nieomal z rozpaczą.

Zamiast odpowiedzi wyciągnęła dłoń.

— Idź spać, Andrzeju, na pewno masz sporo zaległości do odrobienia. Ja muszę wkrótce wyruszyć, bo od północy obejmuję służbę.

Opanowałem się wreszcie.

— Kiedy wrócisz? — zapytałem spokojnie. — Czy będziesz na pogrzebie Surmy?

— Nigdy nie wiem, kiedy wrócę — wzruszyła ramionami. — Może wcale... Postaram się jednak być na pogrzebie.

### Sroda — rano i przedpołudnie

Pojedyncza salwa z pięciu luf zakończyła krótką uroczystość, po której pozostała piaszczysta mogiła wśród innych podobnych, otoczonych krzewami małego ogródka na tyłach kamienicy. I ją jak tamte znaczył krzyż z dwóch desek.

Szukałem wzrokiem Maruty wśród nielicznej grupy asystującej przy pogrzebowej uroczystości, ale jej nie znalazłem. Zawiedziony ruszyłem do dowództwa odcinka.

Po odprawie u majora Gardy, rozważając jeszcze w myślach jej treść, poszedłem z kolei na poszukiwanie dozorczy domu.

Znalazłem pana Jarząbka na drugim podwórku.

— Jestem Bitny, dowódca oddziału, który zajął tu kwatery — zagaiłem rozmowę. — Chciałbym z panem chwilę pomówić. Chyba zna pan wszystkich lokatorów?

— E, tam... wszystkich... Tylu teraz mamy przybyśców, że rozeznac się nie sposób.

Pan Jarząbek spojrział na mnie nieco spode łba. Twarz miał czerstwą, ale pooraną bruzdami zmarszczek. Para

siwych, zwisających ku dołowi wąsów nadawała jej nieco melancholijny wyraz. Wiedziałem już o nim coś niecoś. Między innymi o jego wszechstronnych uzdolnieniach rzemieślniczych, a nawet i medycznych, gdyż podobno jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej pełnił funkcję felczera w rosyjskiej armii. W każdym razie zorientowałem się, że cieszył się wśród lokatorów opinią człowieka zacnego.

— Chodzi mi raczej o stałych mieszkańców tego domu.

Pan Jarząbek popatrzył przed siebie, jakby zaciekawiły go raptem plamy słońca i cieni igrające pomiędzy krzakami.

— Dlaczego pana interesują?

— Sądzę, że domyśla się pan. Wczoraj zabito mi z zasadzki żołnierza, szukam więc sprawcy. Musi znajdować się w tym domu, bo innych zamieszkałych w pobliżu nie ma.

— Rozumiem... Sam bym tego drania zadusił własnymi rękami. Zabił Radziejka, a potem syna starej Wróblowej. Ludzie podejrzewają się wzajemnie, obrzucają oskarżeniami... A o kogo panu chodzi?

— Przecież nikogo tu nie znam. Właśnie od pana spodziewałem się usłyszeć nieco informacji, które mogłyby mi pomóc w znalezieniu punktów wyjścia. Niestety, czasu nie mamy zbyt wiele. Mogą nas stąd ściągnąć każdego dnia. Musimy więc działać możliwie szybko.

Pan Jarząbek zastanawiał się przez chwilę.

— Jak panu mówiłem, mieliśmy już dwa zabójstwa...

— Gdzie padały strzały?

— W obu wypadkach w pobliżu naszej kamienicy.

— Podejrzewam, że strzelano z balkonu. Dom z balkonami na tym odcinku ulicy jest tylko jeden.

— Mógł strzelać z dachu.

— Tor pocisku raczej temu przeczy. Czy nie

próbowaliście złapać mordercy? Pozwalacie mu na bezkarne zabójstwa?

— Trzeba by go odnaleźć, a to niełatwa sprawa... I z czym na uzbrojonego mordercę? Cała nasza broń, jaką posiadamy w tym domu, to stary bębenkowiec z trzema nabojami. Komendant domu daje go posterunkowi przy barykadzie. Ale mówiąc między nami, jest to bezużyteczny grat.

— Powiedział pan „jedyna broń, jaką w tym domu posiadamy”. Nie należy zapominać o wyjątku.

— Co pan ma na myśli?

— Broń mordercy.

Dozorca uśmiechnął się pod wąsem.

— Nie mamy pewności, że jest to któryś z mieszkańców.

— Jestem gotów połknąć własny pas, jeśli okaże się, że tak nie jest.

— Skąd ma pan takie przeświadczenie?

— Bo to jedyny zamieszkały dom w tej części dzielnicy i ten człowiek tu jest. To daje mu większą rękomię bezpieczeństwa i wygody niż samotne przebywanie wśród ruin. — Jarząbek milczał, więc go ponagliłem: — A więc, panie dozorco?

— To delikatna materia... Tylko pierwsze piętro frontu jest zamieszkane, bo ludzie boją się wyżej położonych. Sklepy pozamykane na głucho. Pod trójką mieszka emerytowany profesor z żoną. Kilka tygodni temu lokal naprzeciwko zajęli niejacy Mizerscy. Nie wiem o nich nic bliższego, bo są uchodźcami z innego zburzonego już domu. Rodzina składa się z kilku osób. Jest tam dwóch chłopaków. On, taki sobie człeczyna, starający się nie wchodzić nikomu w drogę.

— W jakim wieku są ci chłopcy?

— Piętnaście, szesnaście lat. Jak powiedziałem, wyższe piętra są nie zamieszkane. Mieszkanie na drugim właśnie wy zajęliście. Trzecie stoi puste. Zresztą jest

zdeastowane jeszcze bardziej niż drugie, bo wpadł tam artyleryjski pocisk.

— A oficyny?

— Tam są dwie klatki schodowe, po osiem mieszkań każda. Nie zapamięta pan wszystkich nazwisk ich lokatorów.

— Interesują mnie przede wszystkim ci, którzy wprowadzili się w czasie okupacji, a zwłaszcza powstania. No i oczywiście tacy, których pan uzna za podejrzanych.

Dozorca skinął głową.

— Większość znam od wielu lat.

— O nich więc nie mówmy. A inni?

— Na pierwszym piętrze pierwszej klatki, pod dwunastką mieszka Poletko, właściciel restauracji. Cwaniak dbający przede wszystkim o bezpieczeństwo i kieszeń. W jego knajpie wolno było bywać Niemcom.

— Jak wygląda?

— Nie więcej niż czterdziestka. Rumiany blondyn, zawsze uśmiechnięty, ale ślepiec ma przebiegłe.

— A dalej?

— Pod dziesiątką dwupokojowe mieszkanie zajmuje niejaki Bergman. Pracował w miejskiej rzeźni. Podejrzewaliśmy, że jest volksdeutschem. W jego mieszkaniu odbywały się pijatyki z Niemcami. Nad nim mieszkają Kabulscy. On jakiś bliżej nieokreślony spekulant. — Jarząbek obejrzał się za siebie. — Tu, w tej szopie za nami, ma jeszcze jakieś towary. Ona, fertyczna blondynka, taka, co to oczami mówi, że nie ma nic przeciw temu. Sprytna babka, trzyma krótko męża, chociaż zdaje się, że małżeństwem nie są...

— A więc Poletko, Bergman, Kabulscy... Ale to raczej aferzyści lub spekulanci, a nie strzelcy. A reszta?

— Pozostaje druga klatka schodowa. Tam na trzecim, piętrze mieszka niejaki Hulewicz. Wprowadził się nie tak dawno, ludzi raczej unika, z domu wychodzi rzadko, małomówny i zamknięty w sobie.



- Nie tak dawno... To znaczy kiedy?
- Chyba tuż przed powstaniem.
- Gdzie pracował?
- Obiło mi się o uszy, że ma wytwórnię zabawek.

Do mieszkania nikogo nie wpuszcza, gotuje i sprząta sobie sam.

- Czy to już wszyscy?
- Chyba tak... Aha, byłbym zapomniiał! Mieszkanie pod dwudziestką, naprzeciw Hulewicza, stało puste, bo właściciele jeszcze na początku lipca wyjechali na wieś. Ale wkrótce po wybuchu powstania zgłosił się jakiś młody człowiek, powiedział mi, że jest ich krewnym i ma pozwolenie na zamieszkanie, przy czym pokazał klucze. Nie robiłem trudności, bo kto by sobie zawracał teraz głowę takimi głupstwami.

- Jak się nazywa?
- Łoza. Zajął mieszkanie Białowasów.
- Mówi pan, że miał klucze?
- A miał.
- Co to za gość?
- Młody, przyzwoicie ubrany. Do schronu nie scho-  
dzi, facet wygląda na oblatanego.

Nic więcej pan Jarząbek nie umiał o Łozie powiedzieć. Słuchając jego słów, w pewnej chwili przesunąłem spojrzeniem po oknach oficyny wychodzących na tyły kamienicy. Na czarnym tle jednego z nich dostrzegłem zarys ludzkiej twarzy za szybą. Jakiś czas trwała nieruchomo, a potem, kiedy patrzący zapewne dostrzegł, że jest obserwowany, zniknęła w ciemnej głębi wnętrza.

- Czyje to okna na trzecim piętrze wychodzą na ten teren? — przerwałem dozorczy.

Ten popatrzył w górę.

- A właśnie tego Łozy. Czemu?
- Nic ważnego, tak sobie pytam — wróciłem do tematu. — Kabulski dawał panu spore napiwki za otwieranie bramy?

- A spore. Nieraz to i papierek wetknął...
- Zatem wracał nocą? Musiał więc mieć przepustkę?
- Bez przepustki by nie chodził. To było zbyt niebezpieczne!
- Niemcy nie dawali jednak przepustek wszystkim...  
Czy wracał sam, czy z nią?
- Sam.

Jeszcze dużo pytań nasuwało się w związku z usłyszonymi informacjami, ale doszedłem do wniosku, że odpowiedzi nie rozjaśnią obrazu, a raczej zagmatwają kontury postaci, jakie zarysowała mi relacja dozorczy. Teraz należało samemu przyjrzeć się każdej z nich i wyrobić sobie własny sąd. Ale ciekawość, tym razem osobista, skłoniła mnie do zadania jeszcze jednego pytania.

— A ci... Jakże tam... Rodzina tej łączniczki? — Starłem się, aby tonacja wypowiedzanych słów była jak najobjętniejsza.

— Pyta pan o Czerskich? Matka jest wdową po znanym pianiście. Ma dwoje dzieci. Córkę pan chyba zna, bo to ona nadała wam kwatery. Jej młodszy brat, osiemnastoletni chłopak, jest ułomny...

— Jak to? Co mu jest?

— Miał biedak w dzieciństwie jakiś wypadek i stąd krzywa łopatka i niedowład ręki. Bardzo miły i wybitnie inteligentny. A siostra to doprawdy dzielna dziewczyna.

Wstałem z ławki.

— Bardzo pana proszę, aby wszystko, o czym mówiliśmy, pozostało między nami.

## Sroda — południe

Po rozmowie z dozorcą wróciłem na kwatery, by zgodnie z zapowiedzią odbyć kolejną naradę ze swymi ludźmi, których uważałem zresztą bardziej za kolegów niż podkomendnych.

Zanim odezwałem się, powiodłem po nich spojrzeniem. Podobnie jak ubiegłego wieczora porozsiadali się na stojących kręgiem fotelach. Barczysty, o kwadratowej głowie i mocno zarysowanych szczękach Gnat; szczupły, zgrabny, o falujących włosach i dużych, ciemnych oczach — chłopiec z dziewczęcych marzeń — Bicz; wysoki, kościsty Kruszyna o wysokim czole intelektualisty i uważnym, chociaż nieco sennym spojrzeniu szarych oczu, którym jednak nie uchodził żaden szczegół otoczenia, i wreszcie, młodziutki Świergot o jasnej, zwichrzonej czuprynie nad dziecięcą jeszcze twarzą.

— Byłem u majora — rozpocząłem — i mało brakowało, a musielibyśmy poniechać sprawy.

— A to dlaczego? — odezwali się nieomal wszyscy naraz.

— Po wysłuchaniu meldunku, Garda oświadczył mi, że skieruje tu kogoś z kontrwywiadu. My mamy dni parę odpocząć i wracać na linię.

— No, a co ty na to? — zainteresował się Kruszyna.

— W odpowiedzi nie starałem się zbytnio o dobór słów, bo mnie poniosło. Nie zbeształ mnie jednak, a raczej nieco zmiękł. Wskazałem mu między innymi, co szczęśliwie już przedtem przyszło mi na myśl, że najprędzej uda się złapać sprawcę, ustanawiając stałe warty w ruinach tamtego domu, a na to on nie ma ludzi. Niech więc nam poruczy to zadanie, skoro i tak jesteśmy już na miejscu. To zapewne skłoniło go ostatecznie do wyrażenia zgody, byśmy spróbowali upolować tego ptaszka. Chce jednak mieć codziennie meldunki; w ważniejszych wypadkach osobiście.

— To jeszcze nie tak źle — mruknął Gnat. — Ale czasu cholernie mało. Tylko parę dni...

— Będzie to zależało od osiągniętych przez nas wyników. Ten odcinek jest względnie spokojny... — Kruszyna próbował nas pocieszyć. — Może Garda dołoży dzień lub dwa. A co z dozorcą?

Z kolei powtórzyłem im treść rozmowy z Jarząbkim. Na koniec dodałem:

— Przemyślałem cały problem i doszedłem do wniosku, że zabójca znajduje się w tym domu. Przemawia za tym parę względów: ochrona, jaką mu daje duże skupisko, możliwość korzystania przynajmniej z elementarnych wygód i wreszcie względ trzeci, wcale nie mniej ważny, to zabezpieczenie przed samotnością.

— E, tam... — zaczął Gnat.

— Nie przeszkadzaj — uciął krótko Kruszyna.

— Samotność to nie taka błaha sprawa, jak się może wydawać — ciągnąłem. — Przebywanie w opuszczonym, na wpół rozwalonym domu i do tego w piwnicy, pokonywanie wlokących się godzin w samotności, bez ciepłej strawy, na byle jakim pośłaniu... I po co? By co pewien czas wyjść, położyć się na balkonie i czekać, czy ktoś podsunie się pod muszkę? Nie, w to nie wierzę. I dlatego twierdzę, że jest to człowiek żyjący normalnym życiem, w otoczeniu znanych sobie ludzi, który tylko od czasu do czasu wymyka się i z jakichś, sobie tylko znanych, pobudek szuka okazji do popełnienia mordu.

— Te pobudki są ważne — wtrącił Bicz. — Gdybyśmy je znali, łatwiej byłoby ptaszka złapać.

— Jakie to mogą być pobudki?! — prychnął Gnat. — Zwyczajny szwabski dywersant strzelający zza komina czy z balkonu. Co za różnica!

— Zatem sądzisz, że to „gołębiarz”?

— A któż by inny? Jak słyszeliście, zabił już dwóch ludzi. A teraz Surmę...

— Diabli wiedzą... — Kruszyna pokręcił głową. — W istniejącej sytuacji nie bardzo mi pasuje koncepcja „gołębiarza”.

— O jaką sytuację ci chodzi?

— Tej kamienicy. Stoi samotnie wśród otaczających ją ruin. I to już jest dziwne, bo jak zdołałem zorientować się, do najbliższych zamieszkałych domów jest cały

kwartał. Jeśli mamy zatem do czynienia ze zwykłym „gołębiarzem”, musi to być wyjątkowy desperat, bo strzela zawsze z tego samego miejsca, w razie niebezpieczeństwa nie mając możliwości zakonspirowania się parą domów dalej.

— Tak, trochę racji w tym jest — przyznałem po namyśle. — Ale może powoduje nim wyjątkowa nienawiść, tak silna, że zaspokojenie jej stawia przed wymogami własnego bezpieczeństwa... Zresztą to jest tylko moje przypuszczenie. Przecież to niebezpieczeństwo przy bliższym rozpatrzeniu nie jest tak duże. Bo kto może mu zagrażać? Wszyscy mieszkańcy są bezbronni i zastraszeni, więc w takich warunkach może bez zbytniego ryzyka wymykać się i zaspokajać swoje pragnienie zemsty czy też zwykłą żądzą mordu.

— Pozostawiłbym na uboczu sprawę pobudek, bo to obecnie jest mniej ważne — zabrał głos Bicz. — Zastanówmy się raczej, jak on to robi? Przecież nie wymyka się z domu z karabinem pod pachą?

— O tym również myślałem — podchwyciłem. — Przypuszczam, że broń ma ukrytą na miejscu, dlatego przeszukamy tamte ruiny. Najpierw jednak należy przyjrzeć się mieszkającym tu typom. Może uda się coś wywąchać. Rozmowę z Łozą biorę na siebie. Restauratora i Bergmana przydzielam Kruszynie. Z Hulewiczem pogada Bicz, a Gnat z Kabulskimi. Sądzę, że z nas wszystkich najbardziej spodoba się tej babce...

— A ja? — w głosie Świergota zadrgało rozczarowanie.

— Ty odwiedzisz Mizerskich i pogadasz z ich synami.

— Pod jakim pretekstem mam do nich pójść?

— Pod jakim chcesz, tak jak i reszta. Nie mamy żywności, więc Poletkę i Bergmana przyciśnij, Kruszyna, bez pardonu! Nażarli się dość przy szwabach, nie baw się z nimi w żadne ceregiele!

— Zrobi się — mruknął Kruszyna. — Koniec odprawy? — Spojrzał na mnie pytająco.

— Nie... Jest jeszcze jeden punkt, a mianowicie ta zasadzka w ruinach. Dziś nie mamy już czasu, ale po przeskaniu tamtego domu ustalimy kolejność wart. Przy odrobinie szczęścia może nam się uda szybko zakończyć sprawę.

— A jeśli znajdziemy broń, to co wtedy? — zatroszczył się Gnat.

— Sprawca nie będzie przecież o tym wiedział — Kruszyna wyręczył mnie w odpowiedzi. — A jeśli poznamy miejsce kryjówki, to zadanie będzie znacznie łatwiejsze...

— To jasne — zgodził się Gnat wstając z fotela.

Po naradzie chłopcy rozeszli się, a ja postanowiłem najpierw udać się do Maruty, Łozę pozostawiając na później. Punkt dowodzenia znajdował się blisko, istniała więc nadzieja, że po skończeniu służby mogła już być u siebie.

Nieomal natychmiast po dzwonku otworzyły się drzwi i na tle mrocznego wnętrza przedpokoju ukazał się wysoki, młody człowiek o pociągłej twarzy i, falujących włosach, z których jeden lok opadał mu na czoło. Spojrzenie dużych, ciemnych oczu o łagodnym, nieomal kobiecym wyrazie, utkwił w mojej twarzy i milczał wyczekująco.

Dostrzegłem od razu, że jedno z ramion ma nieco niższe, a dłoń spoczywająca na klamce jest zupełnie bez mięśni. Chude, długie palce obciągała jedynie skóra.

Spojrzenie chłopaka przesunęło się po chwili z mojej twarzy na kolbę pistoletu tkwiącego mi za pasem. Nie odrywał od niej wzroku.

— Jesteś zapewne bratem Maruty? Czy ona jest w domu?

— Tak, ale wróciła niedawno i śpi.

— Nazywam się Bitny — wyciągnąłem dłoń, którą chłopak ujął w kościste palce.

— Michał Czernski. Czy obudzić siostrę?

— Ależ nie, przyjdę później!

— Może pan jednak wejdzie... — Odstąpił krok do tyłu. — Chciałbym z panem porozmawiać, panie podchorąży. Jeśli nie ma pan nic lepszego do roboty. — Uśmiechnął się, po czym dodał wyjaśniająco: — Siostra mówiła mi o waszym przybyciu...

— Chętnie, ale obawiam się, że ją obudzimy.

— Mam swój pokój. Zresztą Maruta nauczyła się spać nawet przy artyleryjskim ogniu.

Chłopak mógł coś wiedzieć lub zaobserwować, toteż postanowiłem przyjąć zaproszenie.

— Prowadź zatem — zgodziłem się przekraczając próg.

Pokój był mały, o jednym oknie. Pod ścianą stało żelazne łóżko przykryte kocem, w rogu staroświecka toaleta z lustrem, w drugim fotel, a obok, pod oknem, stół i krzesło.

Skromność umeblowania rekompensowały jednak ściany, na których wisiała różnoraka broń, przeważnie egzotycznego pochodzenia. Długa skałkowa strzelba arabska z zakrzywioną kolbą, parę noży o różnie zdobionych rękojeściach, murzyńska tarcza malowana w jaskrawe wzory, dzirynt, a obok stary bębenkowiec z sześciokątną lufą. Pośrodku zaś, niejako na centralnym miejscu, tkwiła maska wykonana z drzewa. Wielki, mięsisty nos opadał ku dołowi, a pod nim szeroko rozciągnięte usta, sięgające końcami nieomal aż do uszu, wykrzywiały się jakimś rozwiązłym, pełnym jadu uśmiechem. Nieco skośne oczy, na wpół przykryte powiekami, nie ukazywały spojrzenia, mimo to nieznany mistrz samą ich linią potrafił podkreślić pełne zadowolenia z siebie zło, jakim zionęła twarz.

Przyglądałem się masce, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Michał musiał zauważyć, jak wielkie wrażenie na mnie wywarła, bo powiedział z uśmiechem:

— Fajna, nie? To wszystko, co pan widzi, poza kilku obiektami, które zdobyłem sam, to resztki zbiorów ojca.

Było tego znacznie więcej, ale podczas okupacji trzeba było z wolna je wyprzedawać.

— Dawno umarł twój ojciec? — Przeniosłem wzrok na chłopca.

Ten odpowiedział z wyraźną niechęcią.

— Tuż przed wybuchem wojny.

Teraz dopiero przypomniałem sobie o notatkach prasowych dotyczących śmierci Czernieckiego. Był on na tyle znanym pianistą, że wiadomość o jego samobójstwie ukazała się we wszystkich gazetach.

— Proszę, niech pan siada. — Michał wskazał mi fotel.

Skorzystałem ze sposobności, by zmienić temat rozmowy.

— Muszę ci wyznać, że twoje zaproszenie przyjąłem nie bez powodów — oświadczyłem siadając — przyszło mi bowiem na myśl, że mógłbyś mi pomóc.

— W czym, panie podchorąży? — Odsunął krzesło i usiadł.

— Zapewne wiesz, co tu zaszło?

— Tak, wiem... Mówiła mi Maruta. Niestety, to już nie pierwszy wypadek. Żal mi tego żołnierza... — W głosie chłopca zadrgała nuta wzruszenia.

— Postanowiłem odnaleźć jego mordercę. I to jest ta przyczyna, dla której i ja chciałem z tobą pogadać.

— Dlaczego ze mną? — Michał uniósł brwi, a na jego bladej twarzy ukazał się wyraz zaskoczenia.

— Może coś tu zwróciło twoją uwagę, może ktoś zachowywał się w sposób podejrzany?

Chłopiec zastanawiał się chwilę, patrząc w okno nieruchomym spojrzeniem, wreszcie odwrócił głowę.

— Nie... Niestety, niczego takiego sobie nie przypominam.

— No cóż, trudno. A o czym chciałeś ze mną mówić?

Opuścił wzrok i zaczął mówić z pewnym onieśmieniem.



— Nie wiem, czy... czy to będzie możliwe... Bo wie pan, ja prawą rękę mam niezupełnie sprawną. Ale ćwiczyłem lewą i... i dałbym sobie na pewno radę...

— Z czym? Co masz na myśli?

— Gdyby zechciał pan przyjąć mnie do swojego oddziału. — Uniósł na mnie wzrok z wyrazem prośby i nadziei.

Zaskoczony, zastanawiałem się nad odpowiedzią.

— Nie wątpię, że byłbyś dzielnym żołnierzem — rzuciłem wreszcie z uśmiechem — ale i najdzielniejszy bez broni niczego nie dokaże. A tej, niestety, nie mam...

— Broń zdobędę sobie na Niemcach!

— Nie bądź dziecinny! Czym? Pięcioma palcami?

— Pomogą mi pana chłopcy...

— To nie takie łatwe, jak sadzisz. Celem walki jest zniszczenie przeciwnika, a nie zdobycie jego broni. To następuje w sprzyjających okolicznościach, ale nie z reguły! A na samo szczęście trudno liczyć. Gdyby zawiodło, co miałbym z tobą robić?

W oczach Michała pojawił się dziwny błysk. Jakiś czas milczał, a potem cicho wyrzucił z siebie słowa:

— Nienawidzę was... nienawidzę... Silnych, zdrowych i pewnych siebie... Ale poczekajcie! Jeszcze przekonacie się, że ja coś potrafię!

— Nie wątpię w twoją dzielność. Gdybym miał broń, nie wahałbym się wziąć cię do oddziału.

Starłem się go pocieszyć, ale wyczuł tę intencję.

— To tylko słodzenie gorzkiej pigułki, proszę pana...

— odezwał się bez poprzedniej zaciętości i z uśmiechem

— No trudno, nikt swojemu losowi nie ujdzie...

To zakończenie zostało wypowiedziane już bez uśmiechu.

Zdziwiły mnie jego ostatnie słowa.

— Co masz na myśli?

— Myślałem... — Zawahał się, po czym ciągnął urywanymi słowami — Chciałem opuścić ten dom... Wydostać

się stąd... Może wówczas pozbyłbym się swego lęku...

W zachowaniu się i słowach tego chłopca było coś niaturalnego. I to coś budziło niepokój.

— Obecnie wszędzie groza niebezpieczeństwo, nie tylko w tym domu.

— Ale w tym domu śmierć wyszukuje sobie ofiary, nie działa na ślepo. A wiem, że przyjdzie i moja kolej...

— Co ty wygadujesz? — rozżłościłem się. — Chcesz walczyć, a zachowujesz się jak histeryk!

Michał zdawał się nie dostrzegać mojej irytacji.

— A jednak wiem to z całą pewnością — oświadczył z powagą.

— Ciekawym skąd?! — Rzuciłem ostro wciąż poirytowany, bo zdałem sobie sprawę, że mimo woli zaczynam ulegać nastrojowi, jaki narzucił naszej rozmowie ten chłopak.

Michał skierował spojrzenie na maskę.

— Ona wie o mnie wszystko — powiedział cicho z lekkim, nieco gorzkim uśmiechem.

Miałem już dość tej rozmowy. Wstałem z fotela. — Jeszcze pogadamy sobie przy okazji, a teraz bądź zdrow. — Starłem się nadać swoim słowom swobodny ton. — Zajdę tu zresztą nieco później, bo muszę pomówić z twoją siostrą.

— Proszę bardzo. — Michał wstał. Jego spojrzenie powędrowało znów ku pistoletowi tkwiącemu za moim pasem.

— To niemiecki parabellum?

— Tak. Widzę, że znasz się na pistoletach.

— Kocham broń. Ile naboji mieści się w magazynku?

Rozmawialiśmy stojąc już w otwartych drzwiach przedpokoju. Uśmiechnąłem się.

— Obecnie jest ich tam tylko siedem.

— Zatem siedem śmierci tkwi za pańskim pasem... Jest pan władcą siedmiu ludzkich żywotów! Czy nie czuje pan podniecenia z tego powodu?

— Nigdy nie myślałem w ten sposób o tym kawałku żelaza. Że też chodzą ci po głowie takie myśli.

— Może dlatego, że... że jest to dziedzina dla mnie niedostępna... Przez to moje kalectwo. Gdyby nie ono, wzięłby mnie pan do oddziału, walczyłbym wspólnie z wami i strzelał do szwabów jak do kaczek!

Skinąłem chłopcu ręką i zbiegłem ze schodów. Już za plecami usłyszałem jego zapraszające słowa:

— Niech pan przyjdzie za godzinę. Maruta już nie będzie spać. Jej zazwyczaj wystarcza godzinka albo dwie, aby była wypoczęta.

Udałem się do Łozy. Musiałem dwukrotnie sięgać do pokręta mechanicznego dzwonka zanim wreszcie otworzono drzwi.

Ujrzałem przed sobą wysokiego, dobrze zbudowanego blondyna w kąpielowym płaszczu, ze zmierzwionymi nad czołem włosami i zaspanym wyrazem twarzy.

— Pan Łoza?

— Ano, ja. A pan kto? — Łoza obrzucił mnie zgoła nie sennym spojrzeniem.

— Zaraz panu powiem — bezceremonialnie pchnąłem drzwi. — Chcę z panem porozmawiać...

Pokój, do którego zostałem wprowadzony, był obszerny, umeblowany dostatnio, ale nie sprzątnięty. Na tapczanie kotłowała się pościel, a z krzeseł zwisały części garderoby.

Podszedłem bez słowa do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Ujrzałem w dole Jarząbka i częściowo zakryty gałęziami drzew szerniały dach szopy. Dalszą perspektywę zasłaniały na wpół rozwalone ściany domu następnej posesji, ale ławka pod krzakami była dobrze widoczna.

Odwróciłem się od okna i usiadłem na wolnym, najbliższej stojącym krześle.

— Dawno pan wstał? — spytałem nie spuszczając wzroku z twarzy Łozy.

— Co to pana obchodzi? — warknął ten unosząc na

moment brwi. — Może wreszcie dowiem się, kim pan jest i po jaką cholere pan tu wlaź?

— Podchorąży Bitny. Jestem dowódcą oddziału, który stanął tu na kwaterze.

— No dobrze, ale czego pan ode mnie chce?

— Jak powiedziałem, nieco porozmawiać — odparłem ugodowo, okraszając te słowa uśmiechem. — Między innymi po to, by dowiedzieć się, jak dawno pan wstał.

— I po to pan tu przyszedł? Może interesuje pana również, co mi się śniło? — Mimo mojej próby wprowadzenia bardziej pogodnego nastroju, ton gospodarza był nadal opryskliwy.

— Czy udzielenie mi odpowiedzi sprawia panu trudność?

Łoza zmrużył nieco powieki i przyglądał mi się chwilę z ironicznym uśmiechem na ustach. — A jeśli w ogóle nie będę chciał jej udzielić?

— Wówczas pójdzie pan ze mną do dowództwa. Tam pana zachęcą do mówienia.

Łoza siadł na tapczanie i ziewnął nonszalancko.

— Dlaczego to pana tak interesuje? — Ton słów nie był już tak impertynencki. Wyczułem w nim raczej nutę ciekawości.

— Wczoraj wieczorem w pobliżu tego domu został zastrzelony jeden z moich ludzi. Morderca znajduje się wśród tutejszych mieszkańców. Dziś rano w czasie rozmowy z dozorcą dostrzegłem za szybą trzeciego piętra czyjąś twarz. Ten człowiek obserwował nas.

Łoza spojrział na mnie spod oka, po czym przeniósł spojrzenie na zaśmiecony dywan u swoich stóp.

— Całą noc bolały mnie zęby i zasnąłem dopiero nad ranem, a pańskie natrętne dzwonienie wyrwało mnie właśnie ze snu.

— Nie wiem, czy mogę panu wierzyć... — zawiesiłem głos.

— Skądże ta wątpliwość...?

— Bo jednak pana twarz widziałem w oknie kwadrans temu...

— Ejże, czy pan jest pewny, że to była moja twarz i moje okno?

W tej chwili nasza mnie wątpliwość. Łoza w chwili otwierania drzwi robił naprawdę wrażenie na wpół przebudzonego. Rysy tamtej twarzy były zamazane, a okno istotnie mogło należeć do pobliskiego mieszkania.

— Kto mieszka obok pana?

— Hulewicz.

— Co to za jegomość?

Łoza chwilę milczał, po czym wzruszył ramionami.

— A kto go wie... Jakiś fabrykant zabawek.

— I o panu niewiele wiadomo... — stwierdziłem spokojnie. — Sprowadził się pan po wybuchu powstania i objął mieszkanie tylko na zasadzie posiadania do niego kluczy. A właściwie jak je pan zdobył, panie Łoza?

— Wyjaśniłem dozorczy, skąd je mam. Zapewne już panu o tym powiedział.

— Pana wyjaśnienie jest bardzo prawdopodobne. Takie właśnie, jakie obmyślono by dla pana po odebraniu ich aresztowanym Białowąsom.

— Obmyślono by? O kim pan mówi?

— Nie wiem dokładnie, w czyjej gestii leżą sprawy dywersji na naszym terenie. Może gestapo, może Abwehry.

Łoza cicho gwizdnął. Potem, kiedy zaczął mówić, już wyraźnie starał się o dobieranie słów.

— Nie przypuszczałem, że dana ciotce obietnica, do której zresztą nie przywiązywałem większej wagi, narazi mnie na takie podejrzenia. Białowąsowie przyjechali w Kieleckie do mojej matki na letni wypoczynek. Akurat byłem tam również, a ponieważ wracałem do Warszawy znacznie wcześniej niż oni, ciotka dała mi te klucze z prośbą, bym zaglądał do mieszkania między innymi, żeby

podlewać jej kwiatki. — Łoza uśmiechnął się, po czym ciągnął dalej. — Klucze wsunąłem do kieszeni i, prawdę mówiąc, zapomniałem o tym poleceniu. Przypomniałem sobie o nim, kiedy moje własne mieszkanie uległo zniszczeniu. Przedostanie się tu nie sprawiło mi większych trudności.

— Gdzie pan mieszkał?

— Na Wilczej, niedaleko Marszałkowskiej.

— Hm... Wersja bardzo wiarygodna. A co pan robił przed powstaniem?

Łoza wstał i zaczął przerzucać rzeczy zalegające kredens.

— Czy to takie ważne, co robiłem? Handlowało się...

— Gdzie ten przeklęty pędzel? — mruknął, po czym obrócił się do mnie. — Pozwoli pan, że w czasie naszej miłej pogawędki będę się golił?

— Czekam na odpowiedź, panie Łoza...

— Przecież powiedziałem. Handlowało się tym i owym, a głównie walutą.

— Czemu pan nie walczył?

Łoza ziewnął ostentacyjnie.

— To zbyt fatygujące... No i można zdrowo oberwać, a desperatem nie jestem... — Znalazł wreszcie pędzel i, umoczywszy go w miednicy, zaczął mydlić twarz. — Jak nie jestem też — dodał po chwili — dobrym strzelcem... Wbrew temu, co pan sądzi, panie podchorąży, jakoś nie miałem dotąd z bronią do czynienia.

— W trzydziestym dziewiątym też nie?

Łoza nie zdążył już odpowiedzieć, bo w tej chwili rozległ się warkot nadlatujących samolotów. Dźwięk szybko przybierał na sile. Ogłuszający grzmot pełen wysokich, wibrujących tonów stawał się coraz wyższy, coraz bardziej przenikliwy. Potem ostry gwizd przerwała eksplozja. I znów ryk silników, znów spazmatyczne wycie, przenikliwy gwizd i nagły zryw powietrza od potężnego wybuchu, który wstrząsnął domem. Szyby okien posypały się z

brzękiem na podłogę, a płaty tynku z łoskotem zwały na meble, wypełniając pokój kłębamii wapiennego pyłu. Poczujęm, że mam zalepione gardło i nos, a płuca rozdziera mi brak powietrza. Rzuciłem się na oślep ku oknu, zderywszy się ramieniem z Łozą, który z ręcznikiem przy twarzy również szukał tam ratunku przed uduszeniem się.

Zawiśliśmy razem nad parapetem, z trudem łapiąc oddechy.

Następny wybuch zakotysał podłogą, rzucając nas o ścianę.

— Sztukasy, i to całkiem blisko... — usłyszałem spokojny głos Łozy w mlecznej mgłę tynkowego pyłu.

Pęd powietrza wdarł się do pokoju, skłębił tę mgłę i nieco rozrzedził.

— Są tylko trzy — odparłem. — Powinni zaraz skończyć...

Już widzieliśmy siebie. Biały tuman częściowo opadł, częściowo wy płynął kłębamii przez okno. Wnętrze pokoju stawało się coraz wyraźniej widoczne.

— Czyżby nas wzięli za cel? — zainteresował się Łoza.

— Nie sądzę. W pobliżu znajdują się nasze barykady.

— I punkt dowodzenia...

— Jest pan nieźle zorientowany. — Wychyliłem się przez okno. — No, zdaje się, że już odleciały. Trzeba zobaczyć, co się dzieje na dole. Sądzę, że jeszcze się zobaczymy — usiłowałem nadać głosowi przyjacielski ton. — Może w wolnej chwili wpadnie pan do naszej kwatery? Drugie piętro od frontu. Teraz muszę już iść, ale chętnie utrzymałbym z panem kontakt.

— Czy to zaproszenie mam uważać za pozbycie się podejrzeń — Łoza uśmiechnął się bez troski. — Czy też chce pan w ten sposób mieć mnie na oku?

— Czyżby pan wołał, abym mu się bliżej nie przyglądał? — Odwzajemniłem uśmiech.

— Może i tak...

Odwrociłem się i ruszyłem do wyjścia, pełen niepokoju o Marutę, otworzyła, mi sama.

— Jak się masz? Coś się tak zasapał? — Przywitała mnie żartobliwie, jakby chcąc tym tonem uprzedzić słowa mego niepokoju.

— Goniłem na górę jak zając! Nic ci się nie stało?

— Jak widzisz — rzuciła przekornie. — Chodź! — Cofnęła się, zapraszając tym samym do przekroczenia progu. Ruszyłem za nią mijając zamknięte drzwi do pokoju Michała. Poprowadziła mnie w głąb mieszkania.

Było umeblowane po staroświecku, ale ze smakiem. Szereg fotografii i pamiątek z okresu artystycznej kariery ojca zdobił jedną ze ścian.

— Czemu nie zeszłaś do schronu? — spytałem z wyrzutem.

— Nigdy nie schodzę. Zbyt nikła różnica szans.

— Byłem tu rano, ale spałaś. Przy okazji poznałem twego brata.

— Mówił mi o tym.

Przysiadłem na poręczu jednego z klubowych foteli.

— Przychodzę do ciebie z prośbą o informację. Czy znasz tu dobrze wszystkie podziemne przejścia?

Na moment uniosła brwi do góry.

— Oczywiście! Dlaczego to cię interesuje?

— Czy do tego domu z balkonami można dostać się takim przejściem?

Zastanowiła się przez chwilę.

— Tak, można. Ale sam nie trafisz. Zgubisz się w rozgałęzieniach. Będę cię musiała tam zaprowadzić.

— Chcę poznać to przejście i obejrzeć tamten dom. Czy moglibyśmy ruszyć zaraz?

— Ależ oczywiście! Napiszę tylko parę słów mamie.

Zostawiła kartkę na stole i zeszliśmy na dół.

W piwnicach mimo zakończenia lotniczego ataku jeszcze wrzało. Cucono zemdlonych, biegano po wodę,



użyczano sobie lekarstw. Modlitwy mieszały się z przekleństwami. Obchodziliśmy rozłożone na ceglanej podłodze postania, bezceremonialnie odsuwając stojących na drodze. Wojskowa bluza dziewczyny oraz mój hełm i panterka gasiły w zarodku rodzące się protesty.

Minąwszy załamanie piwnicznego korytarza, oświetlonego tu i ówdzie przylepionymi do ścian świecami, znaleźliśmy się przed wybitym w murze otworem. Z jego czerni ziało wilgocią. Wyjąłem latarkę i rzuciłem snop światła w tę czerń.

— Szkoda baterii — upomniała mnie Maruta — Drogę znam na pamięć.

Przeszliśmy przez otwór i znaleźliśmy się w korytarzu podobnym do poprzedniego. Mimo uwagi dziewczyny znów zapaliłem latarkę.

Przejsie zawałały pokruszone cegły, jakieś części garderoby, bielizna, kuchenne sprzęty, obuwie, gdzieś zamigotał nikiel maszyny do pisania, walizy i walizki walały się pod ścianami. Niektóre otwarte sypały na ziemię swoją ubogą zawartość.

Wkrótce znaleźliśmy się w kolejnym rozgałęzieniu korytarza. Na ceglanej ścianie wisiał kawałek białego kartonu z wymalowaną strzałką i napisem „Do Marszałkowskiej”. Maruta minęła to rozgałęzienie i prowadziła mnie dalej w milczeniu.

W pewnej chwili odezwała się.

— Po co tam idziemy?

— Chcę zorientować się, skąd strzelano. Dopiero ustalenie tego miejsca umożliwi dalsze poczynania.

— Co zamierzasz?

— Nad dalszą akcją pomyślimy dopiero po zorientowaniu się na miejscu. W każdym razie decyzja będzie stanowiła tajemnicę.

— Czy i dla mnie też?

— Nie. Ale spodziewam się, że zachowasz dyskrecję, nawet przed bratem.

— Dlaczego? On tak chce brać udział w walce, okazać swą przydatność!

— Ale może się wygadać.

— O to się nie bój. Miś gadułą nie jest, ręczę za niego. Powtórzył mi waszą rozmowę i był bardzo rozgoryczony twoją odmową. Jeśli odsuniecie go i teraz, będzie to dla niego cios jeszcze bardziej bolesny!

— Bardzo go kochasz?

— Więcej niż możesz sobie wyobrazić — powiedziała i milczała przez chwilę, po czym odezwała się, zniżając głos: — On bardzo przeżywa swoje kalectwo... Bardzo głęboko... Najpierw nie przyjęto go do organizacji, potem, już po wybuchu powstania, nawet do służby pomocniczej. Wywołało to w nim rozgoryczenie, które stara się maskować, ale znam go i wiem, jak nad tym cierpi.

— Skrywanie takiego uczucia, zwłaszcza jeśli jest ono istotnie tak silne, jak mówisz, może wywołać rozmaite skutki.

— Co masz na myśli? — Odwróciła szybko głowę w moją stronę.

— Z dzisiejszej rozmowy odniosłem wrażenie, że hoduje w sobie coś gorszego niż rozgoryczenie. On chyba zaczyna wszystkich nienawidzić...

— Ależ skąd! — zaprzeczyła żywo. — Miś nie jest zdolny do nienawiści! To bardzo uczuciowy chłopak!

— No właśnie — i mruknąłem — ale uczucia są rozmaite...

— Przykro mi, że tak sądzisz. Bo wiem, jak niesprawiedliwy jest ten sąd!

Szliśmy nadal w milczeniu. W pewnej chwili dziewczyna zatrzymała się wskazując rozgałęzienie korytarza, które kończyło się betonowymi schodami i jasnym prostokątem nieba u góry.

— Jesteśmy na miejscu — rzuciła półgłosem.

— Kiedy szedłem ulicą, wydawało mi się, że ten dom jest znacznie bliżej.

— To zwykłe wrażenie przy korzystaniu z piwnic. Zresztą nałożyliśmy również nieco drogi.

Przystanąłem, przytrzymując Marutę i rozejrzałem się uważnie dokoła. Teraz, kiedy byliśmy już na miejscu, objąłem ja przewodnictwo wyprawy.

Staliśmy u dna głębokiej studni podwórka okolonego pnącymi się w górę murami. Panowała tu cisza i spokój cmentarza. Pokaleczone odłamkami pocisków ściany czerwieniały plamami gołej cegły, okrągłe otwory od kul niby ślady po ospie pokrywały tynk. Tylko środkowy skrawek podwórza był wolny od gruzu, który zalegał tu wokoło, sięgając stromymi stokami okien pierwszego piętra. Wejścia na klatki schodowe zawałało rumowisko. Jedyne wyjście z piwnicy czyjeś ręce oczyściły z cegieł.

Stałem dłuższą chwilę nasłuchując. Wreszcie pociągnąłem za sobą dziewczynę. Zaczęliśmy wspinać się na stok rumowiska po obsuwających się ceglach.

W ten sposób dotarliśmy do okien pierwszego piętra, a przez nie do domu. I tu cegły i kawały betonu wypełniały wnętrze. Znaleźliśmy wyrwę w murze, poprzez którą można było przejść na klatkę schodową.

Poręcz schodów zerwana siłą wybuchu zwisała z górnego podestu niby strzęp żelaznej koronki. Stopnie, częściowo potraskane, częściowo również zawałone ceglami, stwarzały coraz nowe pułapki. W pewnej chwili obejrzałem się za siebie.

— Jeśli boisz się wysokości, zostań na dole — powiedziałem do idącej za mną Maruty. — Zbadam wnętrze i wrócę do ciebie.

— Nie miewam zawrotów głowy — uspokoiła mnie. — Idziemy razem.

Wreszcie znaleźliśmy się na podeście drugiego piętra. Gruzu było tu nieco mniej. Otwory wejściowe, pozbawione drzwi, ziały pustką, ukazując mroczną głębię wnętrza z podłogami zawałonymi odłamkami cegieł, płytami tynku i resztkami potraskanych mebli.

Skierowałem się w lewo. Minęliśmy korytarz, ale kiedy chciałem wejść do jednego z pokoi, zatrzymałem się na progu. Po zawalonej podłodze pozostały w nim jedynie żelazne belki. Nie było tu balkonu. Cofnąłem się więc i ruszyłem do następnego przejścia, a nim do pokoju, którego szeroko otwarte drzwi ukazywały kawałek betonowej balustrady.

Obejrzałem uważnie wnętrze, a zwłaszcza zagraconą podłogę i wyszedłem na balkon. Po prawej stronie tkwiły w ścianie dalsze balkony położonych obok mieszkań, przesłaniając widok w głąb ulicy.

Wróciłem do oczekującej mnie dziewczyny. Nie spuszczała ze mnie zaciekawionego spojrzenia.

— Ta strona klatki nie wchodzi w rachubę. On strzela gdzieś z prawej strony. Chodźmy tam.

Skinęła bez słowa głową i ruszyła za mną.

Sprawdziliśmy mieszkania drugiego i trzeciego piętra. Kamienica miała ich cztery, ale na ostatnie nie mogliśmy się dostać, gdyż schodów do niego już nie było. Czworobok ścian klatki schodowej obejmował tu pustkę kończącą się u góry płachtą błękitnego nieba, widocznego przez wielką wyrwę w dachu.

I właśnie na trzecim piętrze, w świetle padającym z otwartych na balkon drzwi, ujrzałem na wapiennym kurzu to, czego szukałem. Ślady stóp, splątane i biegnące w obu kierunkach.

Wskazałem je Marucie.

— Widzisz? Oto masz potwierdzenie moich podejrzeń. Przed nami miejsce, z którego strzela morderca.

Wyszedłem na balkon i jakiś czas spoglądałem w dół. Betonowa płaszczyzna, na której stałem, była oczyszczona z odłamków cegieł — nowy dowód obecności nieznanego strzelca, jak i potwierdzenie przypuszczenia, że czatując na swoje ofiary, leżał schowany za balustradą.

Cofnąłem się do wnętrza i kolejno obejrzałem pokoje. Gdzie mógł być ukryty karabin? I czy właśnie w tym

mieszkanii? Złomy betonu i zwałone cegły tworzyły tyle doskonałych kryjówek, których sprawdzenie było wręcz niemożliwe. Mimo to trzeba będzie tu przyjść i dokonać szczegółowej rewizji, nieomal cegła po cegle...

Zniechęcony, przysiadłem na poręczu jakiejś kanapy i, odsunąwszy hełm na tył głowy, mruknąłem:

— Trzeba to będzie zrobić dokładniej, przyjdę tu z chłopcami.

— Szukałeś broni?

— Tak, ale, jak widziałas, powierzchownie.

W ciszy ruin, gdzieś z góry dochodziło pobrzękiwanie blachy trącanej przez wiatr. Lekki podmuch ciągnął również i przez drzwi balkonowe, przynosząc zapach spaleni-ny. Gdzieś daleko zaterkotała krótka seria erkaemu, a potem kilka pojedynczych strzałów. Urwały się nagle i znów wróciła cisza pomiędzy wymarłe mury kamienicy. Siedzieliśmy tak w milczeniu, kiedy raptem usłyszeliśmy wyraźny szmer osypującego się gruzu, jak gdyby poruszonego czyjąś stopą. Maruta znieruchomiała, wpatrując się w mrok korytarza, ja wyszarpnąłem zza pasa pistolet i z wolna ruszyłem ku drzwiom.

Zachowując ostrożność, znów zbadałem cały dom. Przejrzałem wszystkie pokoje, zaglądałem do wszystkich kątów, toteż wydawało się niemożliwe, bym nie spostrzegł intruza. A jednak słyszeliśmy wyraźnie szmer osuwającej się cegły...

— Nikogo nie ma — oznajmiłem po powrocie z uśmiechem. — Po prostu gruz osypywał się sam. Widocznie przechodząc narusziliśmy jego statyczną równowagę.

— Jesteś tego pewny? — Ściszyła głos.

— Kawałek cegły osunął się na moich oczach — skłamałem chcąc uspokoić dziewczynę.

— Ale czy to po nas osuwały się te cegły? Byliśmy w tamtej części dość dawno...

— Nie ma tu drugiego wejścia. Gdyby ktoś nas śle-  
dził, musiałbym go nakryć.

— Ten dom działa mi na nerwy... Ta pustka, cisza i te  
zniszczenia...

Roześmiałem się.

— Maruta, ty, taka dzielna?

— Nie śmieję się. Przed chwilą przeżyłam moment,  
przerażenia. Jak gdyby miało się tu wkrótce stać coś  
okropnego...

Podszedłem do niej i objąłem jej plecy ramieniem.

— Otrząśnij się, kochanie. Broniłbym cię przed ca-  
łym złem świata, gdybyś tylko zechciała...

Uniosła głowę i przez chwilę patrzyła mi w twarz z za-  
ciekawieniem dziecka i przenikliwością zimnego obserwa-  
tora. Jej wzrok przesuwiał się po moich rysach, jak gdyby  
badając każdą ich linię, każdą plamę światła i cienia. Po-  
tem lekkim ruchem ramion oswobodziła się z uścisku.

— Na chwilę zawiodły mnie nerwy. To zapewne  
zmęczenie, bo miałam ciężką noc, a potem prawie nie  
spałam.

Zawahałem się, zanim rzuciłem pytanie:

— Nawiązując do naszej wczorajszej rozmowy...  
Czy... Czy... nic mi nie masz do powiedzenia?

Potrząsnęła głową.

— Nie — odparowała krótko, po czym jak gdyby  
sama chciała upewnić się w swojej decyzji, powtórzyła  
dwukrotnie: — Nie, nie!

— Mimo to ciągle tli się we mnie iskierka nadziei, że,  
być może, uda mi się znów cię zdobyć... Wierzę w jakąś  
logikę ludzkich losów. Bo przecież chyba nie po to spotka-  
liśmy się powtórnie, abym raz jeszcze przeżył utratę...  
Abym spotkał się tylko z twoją obojętnością... Ale jakkol-  
wiek by się między nami ułożyły sprawy, wiedz, że nigdy  
nie przestałem cię kochać, nigdy twój obraz nie zatarł mi  
się w pamięci. Były inne, ale zawsze trwało to krótko, bo

wspomnienie o tobie nie pozwalało na głębsze uczucie. Bo żadna nie miała twego wdzięku, twojej urody, twego czaru... Rozgadałem się, ale chciałem to powiedzieć, aby zastraszyć ci furtkę z napisem „nie wiedziałam”!

— Nie zwykłam korzystać z furtek ani bocznych ścieżek — powiedziała z lekkim dąsem. — Dlatego też od razu postawiłam sprawę jasno.

— Ależ jesteś zawzięta.

— To nie zawziętość. Po prostu piękna przygoda skończyła się. Teraz przeżywam nasze spotkanie trochę jak widz obojętny na to, co ogląda.

— Nie chcę tracić nadziei, że zdołam cię odzyskać. Nie mogę jej stracić! — Nie umiałem opanować ogarniającej mnie na nowo rozpaczy.

Skłoniła na bok głowę swoim charakterystycznym gestem. Milczała.

— Maruta... — powiedziałem cicho — będę czekał... Może się ockniesz... Może to tylko śmierć, o którą ocieramy się co dzień, zmroziła ci serce...

Z kolei ona wybuchnęła gwałtownymi słowami.

— Och, daj mi spokój! Po co znów się zjawiłeś?...

— Drażnię cię? Może źle zrobiłem, mówiąc ci to wszystko, ale tracę głowę, kiedy jesteś przy mnie...

— Chodź, idziemy. I nie miej mi za złe tego rozdrażnienia. To ten dom tak działa mi na nerwy.

Po rozstaniu z Marutą, obejrzałem sobie bliżej szopę Kabulskich. Tuż za rogiem znalazłem obluźowane deski, co pozwoliło mi dostać się do środka. Piętrzyły się tam skrzynie, a tuż pod ścianami stały rzędy beczek.

### Środa — popołudnie

Na kwaterze byli już wszyscy. Porozsiadali się na kanapach i fotelach, zabijając czas gadaniną. Brakowało jedynie Gnata, który, sądząc z woni, pichcił coś w kuchni.

— Nieźle tu pachnie — mruknąłem, zajmując wolny fotel. — Zdobyliście coś niecoś?

— Kabulscy — sól i trochę grochu. Bergman — po-  
leć boczku. Poletko — woreczek kaszy i woreczek mąki  
— raportował Bicz.

— To nieźle, ale najpierw wysłuchajcie, z czym ja  
przychodzę. Potem wy mi opowiecie, co ciekawego za-  
uważyliście.

Zrelacjonowałem im przebieg wizyty u Łozy oraz swo-  
ją wyprawę do opustoszałego domu i odkrycia dokonane  
w szpie Kabulskich.

— Skoro wiemy, skąd strzelał, łatwo go nakryć —  
ucieszył się Świergot.

— Bagatelka — mruknął Kruszyna, a po chwili mil-  
czenia dorzucił: — A ten Łoza? Wygląda, że odważny  
facet...

— Otóż to. No, zobaczymy... A teraz — wy. Świer-  
got, zaczynaj.

— Zastałem tylko matkę i obydwóch chłopców. Po-  
prosiłem o pożyczenie garnka. Właśnie Gnat wziął go do  
kuchni. A dalej to już poszło gładko, bo chłopcy zaczęli  
mnie od razu wypytywać o Stare Miasto.

— O nic więcej?

— Nie. Interesowały ich tylko walki.

Skinąłem głową.

— Nie warci uwagi. Kto następny? Może ty, Bicz?

Wezwany zastanowił się przez chwilę.

— Ten Hulewicz to dziwny jegomość... — rozpoczął.

— W dwóch pokojach, które zajmuje, dwa różne światy.  
W jednym panuje idealny porządek, wszystko poukładane  
jak w pudełeczku. Poza tym firaneczki, kwiatuszki, serwet-  
teczki, aż rzygać się chce. W drugim natomiast zupełnie  
bałagan. Tam właśnie jest, względnie był warsztat pracy,  
bo on istotnie robi zabawki. Dwa stoły zavalone figurkami  
z celulozy, farbami, klejem i skrawkami materiałów, któ-  
rych pełno i na podłodze. Chodzi się po nich, jak po dy-  
wanie.



- Pokazał ci mieszkanie sam?
- Nie, do drugiego pokoju wepchnąłem się nieomal na siłę.
- Protestował?
- Tak, ale z zażenowaniem. Był mocno speszony, nie wiedział, jak ma się zachować.
- Okazywał strach?
- Raczej nie. Chwilami nawet się zaperzał, ale zarazem, jakby sam przerażony własną odwagą, robił się przesadnie ugrzeczniejszy. Początkowo te zmiany w zachowaniu nieco mnie zaskoczyły, a nawet zdziwiły, potem zaczęły bawić. W sumie zrobił na mnie dodatnie wrażenie.
- Jak wygląda?
- Średni wzrost, szczupły, nawet chudy, długi nos, oczy lekko wypukłe, duża grdyka, policzki zapadnięte.
- Nie nosi szkieł?
- Nie. Nie robi też wrażenia, aby był krótkowidzem.
- O czym rozmawialiście?
- Po obejrzeniu jego warsztatu zacząłem mówić o tym i owym, między innymi i o sprawach produkcji. Ale wówczas stawał się mrukliwy lub po prostu unikał odpowiedzi, jakby obawiał się, że chcę z niego wyciągnąć zawodowe tajemnice.
- Hm... Trzeba będzie więc przyjrzeć mu się bliżej. Wybiorę się do niego. No, a ty, Kruszyna?
- Zaczynam od Poletka. Od razu ci powiem, że opinię mam całkowicie wyrobioną. To miód nie człowiek. Wszystko rozumie, ze wszystkimi się zgadza, chciałby przychylić rozmówcy nieba, ale z jednego oka patrzy na ciebie wilk, a z drugiego lis. Toteż nie bawiłem się z nim w zbytne ceregiele. — Potrzebujemy żywności, panie Poletko. — Kto jej dziś nie potrzebuje? — Ci, którzy się obłowili przy szwabach! — Ach, panie drogi, co też pan mówi, cóż to za aluzja? — To nie żadna aluzja, tylko stwierdzenie. — To już powiedziałem ostro. — Takich

jak pan należy stawiać pod mur. — Ależ to jakieś nieporozumienie, że niby mnie? Ależ ja należałem tu, pomagałem tam! Ja? Skądże znowu? — O tym to będzie pan gadał z naszymi kanarkami!\* — O czym mam gadać? A jeśli chodzi o żywność, to wiele nie mam, ale mimo to i ostatkiem się podzielę z naszymi żołnierzami... — Tu pan Poletko zakrzętnął się i przytaszczył coś niecoś, ale przyznaję, że gdyby nie nasze puste żołądki, walnąłbym go torbami po łbie...

\* Tak nazywano przed wojną żandarmerię wojskową z powodu złotych otoków na czapkach.

— Twoje opanowanie jest godne uznania — mruknął Bicz.

— Jaką masz o nim opinię? Zdolny do strzału z za węgła?

Kruszyna zdecydowanie zaprzeczył ruchem głowy. — Nawet z za dwóch węglów nie. On z tych, którzy bronią nie walczą, nawet z ukrycia. Donos, intryga — tak, ale karabin nie wchodzi w rachubę.

— A Bergman?

— Zupełnie inny typ. Niski, szczupły, twarz nijaka, oczy jakieś wyblakłe, ale spojrzenie ostre, zaczepne. Rozmowę z nim przeprowadziłem nieco inaczej — spokojnie i po trosze kpiąco. Początkowo próbował koturnowej postawy, ale szybko go osadziłem. Potem mimochodem wspomniałem, o co go pomawiają. Oburzył się tak gwałtownie, że od razu zorientowałem się, iż strzeliłem w dziesiątkę. Napałem więc nieco mocniej i facet okazał się nie taki znów twardy. Ostatecznie udał się do kuchni, by rozejrzeć się, co może ofiarować. I tu mam dla was bombę, gdyż zostawszy sam rozejrzałem się meco i w szufladzie kredensowej znalazłem ten papierek.

Kruszyna podał mi kartkę żywnościową z częściowo uciętymi kuponami.

Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że była to

kartka przydziału dla volksdeutscha. Figurowało na niej nazwisko właściciela. Gwizdnąłem z cicha.

— Że też tego nie zniszczył.

— Widocznie zapomniał, bo to stara karta.

— To niezły połów, brawo! Wie, żeś ją zabrał?

— Nie. Schowałem ją zaraz do kieszeni, a kiedy wróciłem, siedziałem grzecznie na krześle. Potem pożegnałem go bez zbytej wrogości, tym bardziej że przytaszczył kawał boczkę.

— Pomijając tę kartę, czy uważasz go za zdolnego do zdecydowanego działania?

— Robi wrażenie niebezpiecznego człowieka.

Zastanawiałem się przez chwilę.

— A to ci zagryz... — mruknąłem wreszcie. — Nie wiem sam, co robić.

— Z czym?

— Ano z Bergmanem. Powinniśmy odstawić go do dowództwa. Ale jeśli to on zabił Surmę, wówczas wymknie się nam z rąk.

Tam go też po główce nie pogłaszczą — wtrącił Bicz.

— I co z tego? A moje słowo?

— To proś Bożi, aby to nie był Bergman, bo dowodów przeciw niemu nie masz. A zresztą i talk sam go sądzić nie możesz — zaopiniował Kruszyna.

— Gdybym miał dowody, nie byłoby problemu.

— Byłoby może wyjście... — wtrącił nieśmiało Świergot.

— Jakie, ptaszyno? — zainteresował się Kruszyna.

— Nie odstawiajcie go do dowództwa. Udawajmy, że nic nie wiemy, a skoro mamy zrobić zasadzkę, może dostaniemy go wówczas już na dobre... jeśli to on.

— Będzie z ciebie jeszcze dobry krętacz, Świergot — stwierdził Kruszyna z powagą. — Ale to chyba nie najgorsza rada...

Spojrzał pytająco na mnie.

— Tak, innego wyjścia nie widzę — zgodziłem się po chwilowym namyśle. — Dzień czy dwa, nie ma to

znaczenia. A jeśli zasadzka powiedzie się i zdemaskujemy innego, Bergmana oddamy już bez obawy, że wypuszczamy z rąk mordercę. A teraz nadszedł czas, by obgadać tę zasadzkę. I to zanim Gnat skończy pitraszenie.

Ten jednak zjawił się właśnie z garnkiem pełnym klusek, okraszonych dawno nie widzianymi skwarkami. Obiedliśmy więc wokoło stół, każdy z łyżką w ręku. Ale w chwilę później rozległo się stuknięcie otwieranych drzwi wejściowych i doszedł nas głos Maruty.

— Ej, pomóżcie Misiowi! Przysłano wam z dowództwa żywność. Pozostawili ją u mnie.

Istotnie, pojawił się Michał objuczony workiem... Chłopcy zerwali się na nogi, z ochotą przejmując ciężar. Gnat zainteresował się przede wszystkim zawartością worka.

— Co tam masz, święty Mikołaju?

— Kasza, zbożowa kawa i dwa chleby — wyrecytował przybyły.

— Dobre i to — ucieszył się Gnat. — Ale mamy tu coś lepszego, zrobiłem tych kluch tyle, że starczy i dla was!

Nie dali się prosić.

— Czuję się jak pyton po połknięciu cielaka — westchnęła Maruta, odkładając wypożyczoną łyżkę. — I teraz dopiero mam wyrzuty sumienia, że tak bezceremonialnie was objedliśmy. Ale skąd zdobyliście wędzonkę? I

— Kontrybucja wojenna — objaśnił Gnat, nie dodając nic więcej.

— Teraz kolej na ciebie — zwróciłem się do niego. — Jak tam było u Kabulskich?

Spojrzał na mnie pytająco.

— Opowiadaj, to przecież swoi — zachęciłem go, zrozumiawszy to spojrzenie. — Sądzę, że potrafia milczeć.

— Macie jakieś informacje? — Maruta spojrzała na obecnych.

— Złożyliśmy tu parę wizyt i omawiamy wyniki — objaśniłem ją, po czym spojrzałem na Michała. — Chyba umiesz trzymać język za zębami?

— Nic z tego, co usłyszę, nie powtórzę nikomu. Daję na to słowo — w głosie chłopca zabrzmiał uroczysty akcent. — Możecie być zupełnie spokojni...

— Zanim poszedłem z tą wizytą — rozpoczął po tym zapewnieniu Gnat — i mnie przyszło na myśl, aby zajrzeć najpierw do tej szopy. Rosną tam krzaki, mogłem więc działać z ukrycia. Znalazłem tę parę obluźowanych desek i wkrótce byłem już w środku. Są tam skrzynie, a w nich, jak zdołałem stwierdzić, świece i jakieś farby czy chemikalia. Dopiero po tym rekonesansie ruszyłem do Kabulskich. Otworzyła mi ta babka. Istotnie nie najgorsza. Ja grzeczniutko, że chciałbym mówić z małżonkiem. To ona: „Zeneczku, do ciebie jakiś pan żołnierz”. Zjawia się Zeneczek. Na jego widok zapomniałem, że właśnie mamy powstanie. Kanciki u spodni, koszulka świeża, gładziutko wygolony, przedziałek równy jak autostrada i pachnie facet niby ogródek pełen fiołków i konwalii. Wyciągnąłem grabę i walę: „Gnat jestem”. On popatrzył najpierw na moją rękę — zbyt czysta po tej szopie nie była — ale nic, nawet okiem nie mrugnął. Funduje mi łapę i pyta grzecznie, czym może służyć. Mną już cholera zaczęła ciskać, ale nie pokazuję po sobie i salonowo klaruję, że z powodu chwilowych trudności chętnie pożyczylbym nieco soli. On po pańsku podnosi brwi i sztywno, że bardzo mu przykro, ale nie ma... Zmieniam więc gadkę i pytam, czy się w domu nie nudzi, może by przyszedł do nas, to nauczymy po strzelać... On znów, że bardzo chętnie, ale nie może walczyć, bo nie pozwala mu wada serca. Potem wyciąga wojskową książeczkę i pokazuje, że nie buja. Przeczytałem — istotnie ma kategorię C. Więc ja znów o czym innym.

Ubolewam, że nie ma prowiantu, on mi żywo przytakuje, to ja tak od niechcienia proponuję, że może dałoby się

po szukać chętnych do wymiany na świece... Teraz to artykuł równie poszukiwany jak żywność... On na to popatrzył na mnie oczami jak sople lodu, ale w rezultacie serce mu zmiękło...

— A więc twoje zdanie? — spytałem, kiedy Gnat skończył. — Zdolny do akcji?

— Nie — stwierdził ten bez wahania. — To facet, który nie wyciągnie się na betonie bez podłożenia sobie dwóch koców.

— Kładł się na betonie? — odezwał się ze zdziwieniem Michał. — Co macie na myśli?

— Ptaszek, którego szukamy strzela z balkonu — objaśnił go Bicz.

— Teraz należy sprecyzować nasze podejrzenia — zabrał głos Kruszyna. — Z relacji wynika, że mamy trzech osobników, którym należy bliżej się przyjrzeć, a to: Łoza, Bergman i Hulewicz.

— Toteż obejrzę ich sam i to dokładnie — zdecydowałem. — Teraz zaś trzeba przeszukać ruiny, bo gdzieś tam musi być ukryty karabin, którym posługuje się morderca. Od jutra zaś obejmujemy warty.

— Może i ja mógłbym w czymś pomóc? — odezwał się z pewnym zażenowaniem Michał, a po chwili dorzucił z goryczą: — Czasu mam dość, bo do walki podobno nie nadaję się...

Popatrzyłem na chłopca ze współczuciem. Zrobiło mi się nieswojo.

— Nie przejmuj się tym. Nikt z nas nie wątpi, że byłbyś doskonałym żołnierzem, gdyby to tylko zależało od ciebie...

— O, na pewno, panie podchorąży! — wykrzyknął gorąco chłopak z błyskiem w oczach. — Gdybym był tylko taki sprawny jak pan albo taki mocny jak Gnat! Ale tak... — urwał raptownie i odwrócił się, by ukryć łzy, jakie pojawiły się w jego oczach.

Popatrzyłem na Marutę. Spoglądała na brata z bólem w oczach, ale nie zabrała głosu. Nastąpiło kłopotliwe milczenie. Przerwał je dopiero Kruszyna.

— Jestem pewien, że twoje niedomaganie jest do usunięcia. Czy przed powstaniem byłeś u lekarza?

— Nie u jednego — wykrzyknęła dziewczyna. — Stosowaliśmy wszystkie wskazane zabiegi!

— Z jakim skutkiem?

— Lekarz, który się opiekował Michasiem, wiele nie obiecywał, ale poprawa dała się zauważyć. Mógł już jako tako poruszać ramieniem, a i palce zaczęły uzyskiwać pewną sprawność, co stwarzało jakieś nadzieje. Powstanie przerwało jednak tę kurację.

— Powinien nadal sam ćwiczyć rękę. Zapewne miał przepisaną jakąś gimnastykę?

— Przestańcie wreszcie o tym mówić! — krzyknął nieomal ze złością chłopak. — Nie macie innych tematów? — Zerwał się na nogi i skierował do drzwi.

— Czekaj, Michasiu! — wstrzymała go Maruta. — Idę z tobą. I nie zachowuj się jak histeryk!

Michał zatrzymał się i popatrzył na siostrę nieufnie, spod oka.

— Bo przyglądacie mi się wszyscy jak królikowi — bąknął.

— Nie pleć głupstw — rzuciłem ostro. — Czyżbyś nie rozumiał intencji?

— Zrozumiałem aż za dobrze... Każdy z was patrząc na mnie myślał, jaki to on sam jest chwyt! Jaki dzielny, jaki silny! Ale... ale... — zająknął się i nie kończąc, zwrócił się do siostry — chodźmy, skoro mamy iść...

— Proponowałaś swoją pomoc — odezwał się pojednawczo Kruszyna. — Sądzę, że Bitny zgodzi się, abyś pomógł nam w poszukiwaniu tego karabinu.

— Oczywiście. Może iść z nami — zaakceptowałem propozycję Kruszyny.

— Kiedy wybieracie się? — Michał raptownie zmienił ton.

— Za jakieś pół godziny. A może i ty pójdziesz z nami? — zwróciłem się z kolei do Maruty.

— Niestety, muszę wracać na odcinek, ale część drogi mamy wspólną. Nie marudźcie, my zaraz będziemy gotowi.

Po wyjściu rodzeństwa jakiś czas nikt nie odzywał się. Po pewnym czasie milczenie przerwał Świergot.

— Swoją drogą jakiś dziwny jest ten Michał — rzucił półgłosem.

— Ma wyraźny uraz na tle swego kalectwa — zaopiniował Bicz. — W jakiś sposób na pewno odbiło się ono na jego psychice.

— I to może w większym stopniu, niż przypuszczamy — mruknął w zamyśleniu Kruszyna.

— A teraz do rzeczy — zabrałem głos. — Podzielimy między sobą piętra i każdy przydzielony sobie teren przewróci cegła po cegle. Gdzieś ten karabin musi tam być.

— Jeśli go znajdziemy, utrudnimy sobie zadanie... Stwierdził Kruszyna.

— Wiem, co masz na myśli. Toteż, jak powiedziałem, pozostawimy go na miejscu. Wysypimy jedynie proch z nabojów...

— Jeśli będą w magazynku. A jeżeli, co bardziej prawdopodobne, nosi je w kieszeni? Zabranie karabinu podważa szanse zasadzki, pozostawienie stwarza niebezpieczeństwo dalszych zabójstw.

— Tak czy inaczej, karabinu nie ruszymy — rozstrzygnąłem — ale trzeba go będzie czujnie pilnować. Wiadomość, gdzie jest ukryty, bardzo nam ułatwi to zadanie.

— A więc ruszamy?

— Jeszcze chwileczkę — wstrzymałem go. — Jak powiedziałem, od jutra rozpoczniemy warty. Każdy będzie je pełnił po pół dnia. Kolejność chcę ustalić już teraz.

— Idę pierwszy — Bicz uniósł ramię.



— Ja po nim — zapiszczał Świergot.

— Może być — zgodziłem się. — Potem Kruszyna, Gnat i ja. Nie potrzebuję chyba mówić, że nieuwaga może kosztować życie. I jeszcze jedno... — Sięgnąłem ręką pod fotel i wyciągnąłem papierową torbę, z której wysypałem nieco bladofioletowego proszku.

— Ato co? — zainteresował się Kruszyna.

— Zabrałem z szopy Kabulskiego nieco gipsu i farby. — Rozsypujemy tę mieszkankę w tamtym domu i niech wartownicy uważają, by nie pozostawili śladów własnymi butami!

Kiedy znaleźliśmy się już w podziemnym korytarzu, nawiązałem błahą rozmowę z Marutą, umyślnie nieco zwalniając kroku. W ten sposób po chwili pozostaliśmy nieco w tyle. Oddział idący przed nami luźną grupą rysował się czarnymi konturami na tle nikłych refleksów światła elektrycznej latarki.

Po rozmowie odbytej z dziewczyną w czasie wyprawy w ruiny, rozsądek nakazywał mi, przynajmniej na razie, poniechać dalszych prób zbliżenia. No cóż, ale rozsądek mało ma do gadania tam, gdzie chodzi o uczucie. Toteż wciąż kołatała we mnie myśl, że być może uda mi się przełamać tę barierę obojętności, jaką Marutą odgrodziła się ode mnie.

Ta nikła nadzieja z jednej strony, a trzeźwy osąd z drugiej, wprowadziły mnie w stan niepewności i rozdrażnienia. Postanowiłem jednak dokonać jeszcze jednej próby i albo wyzbyć się reszty tej nadziei, albo, być może, otworzyć przed sobą jakąś perspektywę na przyszłość.

— Tak mało mam okazji, żeby z tobą porozmawiać — rozpocząłem, kiedy już byłem pewny, że nie będziemy słyszani przez resztę — że umyślnie nieco zwolniłem, by złapać chociaż te kilka minut.

Nie widziałem jej twarzy. Usłyszałem jedynie cichą odpowiedź skierowaną raczej ku własnym myślom niż pod moim adresem.

— Nie wiem, czy nasza rozmowa ma jakiś sens...

Nie był to wstąpienie zbyt zachęcające, jednak postanowiłem nie zmieniać zamiaru. Każda godzina mogła przynieść rozkaz powrotu na linię, a wówczas nawet ta znikoma szansa, jaką podarował mi los, zniknie bezpowrotnie.

— O tym, co ja czuję, wiesz dobrze, natomiast ja nie mogę poradzić sobie z oceną swoich szans u ciebie.

— Po prostu nie chcesz dostrzec rzeczywistości. A może umyślnie zamykasz na nią oczy?

— I łudzę się?

— Właśnie.

— Czyż bez żadnych podstaw? — wybuchnąłem. — Czy naprawdę to tylko złudzenie? Złudzenie oparte na wspomnieniu tych chwil, które przeżyliśmy..?

— Tak, Andrzeju... — dobiegły mnie z ciemności jej słowa. — Wolalabym uniknąć wyjaśnień, ale zmuszasz mnie do nich. Niechże więc tak będzie, bo to pozwoli nam wyczerpać ten temat. Nie jest on zbyt przyjemny.

— Przyjemny? — rzuciłem z sarkazmem. — To takie błahe słowo! Tym tematem żyję, on stanowi dla mnie treść wszystkiego, jedyną wartość i cel. Spodziewałem się... Miałem nadzieję, że jednak... — urwałem, a potem spytałem usiłując się opanować: — Czy... Czy jest ktoś... kto zajął moje miejsce?

Milczała przez chwilę.

— Odpowiadając na to pytanie — mówiła spokojnie i powoli — uznałabym twoje prawo do postawienia go, czyli zaprzeczyłabym temu wszystkiemu, co już powiedziałam...

— Miażdżący wywód. — Już wiedziałem, że przegrałem. — No cóż, widać jest mi przeznaczona ta miłość bez wzajemności.

Przystanąła.

— Tu rozchodzą się przejścia. Musimy się pożegnać, moje prowadzi na prawo. Wiem, że nie to chciałeś ode mnie usłyszeć, ale miłość do ciebie, Andrzeju, wygasła,

choć przyznaję, że pozostałeś mi bliski, gdyż przeżyliśmy naprawdę piękne chwile. To już jednak tylko wspomnienie... W każdym razie na pewno nie myślę o tobie (z niechęcią).

— Przestań — zachnąłem się. — Nie chcę żadnych namiastek. Przetrzymam to... Może czas coś zmieni... Obiecuj mi chociaż, że będziesz ostrożna, że będziesz się strzegła... Żyję w ciągłym strachu o ciebie!

— Przecież to wojna. Wszystko może się zdarzyć.

Uniosła rękę i poczułem na twarzy dotyk jej palców muskających md policzek. Rozumiałem, że był to tylko gest pożegnania.

### Sroda — wieczór

Poszukiwania trwały do zmierzchu i nie dały rezultatu, mimo że nie poniechaliśmy żadnego ze zwalów betonu, żadnej kupy cegieł, przejrzelśmy wszystkie meble i inne schowki w każdej części domu.

Wróciliśmy na kwatery zniechęceni i źli. Michał towarzyszył nam nadal. Nadzieja, którą każdy z nas żywił w głębi serca, okazała się złudna, tym silniejszy więc był zawód i rozgoryczenie. Gnat po zapaleniu świecy udał się do kuchni, a reszta jak zwykle porozsiadała się w fotelach, milcząca i nieskora do zabierania głosu.

Wreszcie Kruszyna przesunął hełm na tył głowy i prze-rwał milczenie.

— No i klops... — zobrazował lapidarnie sytuację.

— Broni tam nie ma, jestem tego pewny — zaopiniował Bicz. — Zbyt dokładnie przeszukaliśmy wszystko!

— Więc gdzie jest? Przecież z sobą jej nie nosi — rzucił z gniewem Kruszyna.

Bicz wzruszył ramionami.

— Cholera go wie...

— Chowa ją wyjątkowo sprytnie — mruknął Gnat, który wrócił właśnie z kuchni — W tym cała rzecz...

Pochłonięty myślami krążyłem po pokoju. Teraz przystanąłem.

— Właśnie o tym myślałem. Broń musi być ukryta w jakimś niedostępnym miejscu, do którego dojdzie zna tylko morderca...

Urwałem, gdyż w tej chwili rozległo się krótkie pukanie, stuk otwieranych drzwi, a potem odgłos kroków i na progu ukazał się Łoza. Chwilę spoglądał po obecnych, a spostrzegłszy mnie lekko się skłonił.

— Czy można?

Nie ukrywałem zdziwienia.

— O, proszę... To pan Łoza, chłopcy — zaprezentowałem przybyłego. — Z przyjemnością konstatuje, że skorzystał pan z mego zaproszenia...

— To nuda samotności i przygnębienie, jakiemu ulegam od czasu pana odwiedzin, skłoniły mnie do przyjścia. — Kpiący ton tych słów nie potwierdzał nastroju, o jakim mówił.

Podchwyciłem ten ton.

— I u nas szuka pan odprężenia?

— Właśnie. Ale nie tylko dlatego. Obudził pan moją ciekawość i ona głównie stanowiła podniecie do złożenia tej wizyty.

— Ciekawość?

— No tak. Czy pana to dziwi? To tragiczna, ale i pasjonująca sprawa. Życzę wam z całego serca, abyście złapali tego drania! Choć nie wydaje mi się, aby to było zadanie łatwe...

Uśmiechnąłem się.

— Proszę, niech pan siada... Trudności są i to niemałe, ale je pokonamy.

Łoza podszedł do kozetki, odsunął leżący na niej automat i usiadł. Milczałem wyczekująco, pozostawiając gościowi trud nawiązania rozmowy.

Reszta obecnych również nic nie mówiła. Zapanowała więc cisza przerywana jedynie ledwie dosłyszalnym skwierczeniem knota nierówno palącej się świecy. Wszystkie spojrzenia skoncentrowały się na twarzy Łozy, po której przesuwają się refleksy chwiejnego światła. Z jego ust, mimo że musiał wyczuć te spojrzenia, nie schodził nieco kpiący uśmiech. Widzieć jednak ich nie mógł, bo rysy twarzy siedzących zacierał półmrok i były ledwo widoczne.

— Pańska wizyta u mnie, panie podchorąży — przerwał milczenie gość — jak i niektóre pytania dotyczące mojej osoby skłoniły mnie, aby tu przyjść.

— Tak czy inaczej jest pan miłym gościem — odpowiedziałem kurtuazyjnie, trzymając się obranej linii postępowania.

Łoza roześmiał się.

— Biorę pana słowa za dobrą monetę, chociaż sytuacja wcale mnie do tego nie skłania.

— Co ma z tym wspólnego sytuacja?

— Postaram się to wyjaśnić. Szukacie winnego śmierci waszego towarzysza. Domyślam się tego. Zresztą coś już, zdaje się od pana, na ten temat słyszałem. Nie orientując się w tutejszym terenie, siłą rzeczy musicie podejrzewać każdego. Znalazłem się więc w dość trudnej sytuacji, bo interesuje mnie przebieg sprawy, ale jednocześnie wasze podejrzenia obejmują i mnie. Nie mogę więc o nic pytać ani dowiadywać się o szczegóły, nie pogłębiając tych podejrzeń, gdyż oczywiście pobudki takiej ciekawości będziecie oceniać po swojemu.

— Po co panu potrzebne te szczegóły?

Chcę zorientować się w bliższych okolicznościach zabójstwa. Zwracam pańską uwagę, że jeśli sam jestem jego sprawcą, to znam szczegóły lepiej od was. Nie zrobicie więc błędu mówiąc mi o tym. Niewykluczone, że mógłbym w czymś wam pomóc.

— Poradzimy sobie i bez pana pomocy.

— Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć lwu — westchnął Łoza — niech więc nie lekceważy małej myszy...

— Czego więc chciałby się pan dowiedzieć? — Popatrzyłem w twarz gościa, nie maskując natarczywości spojrzenia. Ten jednak zdawał się tego nie dostrzegać, więc po krótkim namyśle podjąłem tok rozmowy. — Nasz kolega został zabity o sto metrów stąd. Strzelano z balkonu. W pobliżu tylko jeden dom ma tu balkony. Stąd znamy kryjówkę zabójcy.

— I wychodzicie z założenia, że morderca pochodzi z tej kamienicy.

— Wszystkie inne dookoła są bądź wypalone, bądź rozbite.

— Może ukrywa się w piwnicach?

— Rozważyliśmy i to. Ale taka możliwość nie wydaje się prawdopodobna...

— Hm... — Łoza spoglądał na podłogę u swoich stóp. Potem uniósł głowę i spojrzał na mnie spod oka. — Ale przecież poza tym ciemnym typem Łozą są chyba i inni podejrzani? Interesował pana również i Hulewicz. Dlaczego?

Rozległ się śmiech Kruszyny.

— Andrzej! Właściwie kto prowadzi śledztwo?

Spojrzałem na niego marszcząc brwi.,

— Nie przeszkadzaj! Nie zaszkodzi wiedzieć, co interesuje pana Łozę! Wróćmy jednak do pana Hulewicza. Wie pan coś o nim?

Łoza zastanawiał się przez chwilę.

— Mało, gdyż jego sąsiadem stałem się niedawno. A czy przeszukaliście ruiny tamtego domu? — Zmienił temat. — Trudno sobie wyobrazić, by ten figlarz za każdym razem taszczył karabin za sobą.

— To przypuszczenie okazało się dostępne i dla naszych umysłów. Wróciliśmy stamtąd przed godziną, tracąc pięć na bezowocne poszukiwania.

Łoza zmrużył powieki i zapatrzył się przed siebie.

— O ile pamiętam, to wielka kamienica. Pięć godzin to nie jest za dużo, zważywszy na różnorodność kryjówek, jakie dają ruiny.

— Było nas sześciu i każdy miał do przeszukania swoją część.

— Hm... I broni nie znaleźliście?... To ciekawe... — Chwilę siedział zamyślony, po czym dorzucił, znów wracając do kpiącego tonu: — A może strzelcem jest ktoś z nas?

— Któryś z nas? Czy sądzi pan, że moi chłopcy wchodzi w rachubę? — Nie zdołałem opanować tonu groźby w głosie.

— Ależ nie! Miałem na myśli siebie, no i Michała Czarskiego...

Chłopak uniósł wzrok na mówiącego i przez chwilę wpatrywał się w niego bez słowa. Potem wargi zaczęły mu drżeć ukazując chwilami biel zębów, aż wreszcie poderwał się i rzucił ku Łozi.

— Jak śmiesz? — Silne wzburzenie ścieniło mu głos nieomal do pisku.

Łoza przechylił się do przodu rzucając ostrzegawczo:

— Spokojnie, młodzieńcze... Opanuj nerwy i zwróć uwagę, że wspomniałem również i o sobie...

Michał zatrzymał się i stanął w miejscu, dysząc szybko. Podeszedł do niego, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Uspokój się, Michale. Istotnie nie warto tak się oburzać z powodu swoistych żartów pana Łozy!

Zaabsorbowani rozgrywającą się sceną nie zwróciliśmy uwagi na stuk drzwí i kroki w przedpokoju. Obróciliśmy się dopiero na dźwięk kobiecego głosu. Na progu stała Maruta.

— Co wy wyprawiacie? Jak się masz Nik — dorzuciła na widok Łozy. — Co to za kłótnie?

Łoza wstał z fotela.

— Tylko ożywiona wymiana poglądów — wyjaśnił, podchodząc do dziewczyny.

Obserwowałem to powitanie nie zabierając głosu, zaskoczony nie tyle tą znajomością, ile jej przyjacielskim charakterem.

Z kolei dziewczyna zwróciła się do mnie.

— Przychodzę służbowo. Garda chce cię zobaczyć.

— Nie wiesz, o co chodzi?

— Nie mam pojęcia. Masz być u niego o siódmej.

— Rozkaz. A teraz siadaj, bo wyglądasz na bardzo zmęczoną. Gnat zaraz da nam jeść.

— Nie mogę. Muszę iść z powrotem.

— Usiądź więc przynajmniej na chwilę — podsunąłem jej fotel.

Podziękowała mi z uśmiechem.

— Dobrze, odsapnę pięć minut.

Łoza spoglądał na nas chwilę.

— Z pana podchorążego troskliwa niania... — rzucił.

Obróciłem się ku niemu i jakiś czas mierzyliśmy się wzrokiem.

— Nie podoba się?

— Jeszcze jak się podoba. — Łoza wstał z fotela. — No, czas na mnie, spać mi się chce... — ziewnął ostentacyjnie.

— Nie zatrzymuję — mruknąłem. i

— Andrzej, dlaczego jesteś tak niegrzeczny? — upomniała mnie Maruta. — Czy pokłóciliście się?

— Nie, ale żarty pana Łozy nie są w moim guście!

— Nik już taki jest! Nie przejmuj się!

— Widzę, że znasz go dobrze... — stwierdziłem z przekąsem.

— Zatem cześć, panie podchorąży — przerwał nam Łoza. — Zapewne jeszcze pana odwiedzę, zwłaszcza jeśli czegoś się dowiem — dorzucił, jak gdyby incydent sprzed chwili nie miał miejsca.

— Poczekaj, Nik — zatrzymała go dziewczyna. — Na mnie już czas! Chodź i ty, Misiu, bo mama jest sama... — Maruta zbliżyła się do minie i spytała cicho: — No i co? Znaleźliście?



— Nie. Zresztą możesz mówić głośno, bo on też wie, że szukaliśmy — skinąłem głową w stronę Łozy. — I nie wiem, czy dobrze zrobiłem, że gadałem z nim o tej sprawie...

— Bez takich obaw. Jego możesz być pewny.

— Skąd wiesz? Dawno go znasz? — Nadal rozmawialiśmy szeptem.

— Od paru tygodni... — zawahała się, a potem dorzuciła z figlarnym uśmiechem. — Ale kobiecie to wystarczy...

Spojrzałem na nią ze zmarszczonymi brwiami.

— A więc to on?

— E tam! Głuptas jesteś. No, chłopcy — zwróciła się już głośno do swoich towarzyszy — maszerujemy!

Kiedy zostaliśmy sami, Kruszyna podrapał się za uchem i mruknął:

— Niebezpieczny facet. Ciekawe, czego tu szukał?

— Rozznania sytuacji. Przecież przyznał to — powiedział Bicz. — Zresztą to co mówił, trzymało się kupy...

— Chyba tak. Ale zapewne miał i jakiś konkretny cel. Tylko jaki?

— Diabli z nim. Zaczął mi działać na nerwy — warknąłem.

— Rozsypałeś ten kolorowy gips? — Kruszyna zmienił temat. — Nie jest widoczny?

— Starąłem się zrobić to tak, by niełatwo było go dostrzec.

Rozmowę przerwało zjawienie się Gnata z garnkiem w ręku.

### **Czwartek — rano**

Kiedy wróciłem z punktu dowodzenia, dochodziła już dziesiąta. W kwaterze zastałem tylko Gnata i Świergota. Bicz wyruszył, by zgodnie z ustaloną kolejnością objąć posterunek w ruinach. Natomiast

Kruszyna zszedł na dół, gdyż jak oświadczył: „pragnął nieco rozprostować nogi”.

— Co chciał od ciebie Garda? — spytał Gnat.

— Raportu z naszych poczynań. Warty zaakceptował.

— Wspomniałeś coś o Bergmanie?

— Musiałem. Zgodził się, by chwilowo go nie ruszać. Idę teraz do niego. Nie opuszczajcie kwatery, dopóki nie wróci Kruszyna. Potem powtórnie przeszukamy tamten dom.

Po otwarciu drzwi przez Bergmana już na pierwszy rzut oka dostrzegłem, że moje zjawienie się wywołało na twarzy gospodarza wyraz popłochu, który usilnie starał się opanować. Wreszcie udało mu się zdobyć na uśmiech.

Starałem się nie dostrzegać tych objawów.

— Chciałbym zamienić z panem parę słów — oświadczyłem, zatrzymując się w przedpokoju. — Jestem dowódcą oddziału, który ma tu kwaterę.

Mówiąc to, bez zaproszenia przekroczyłem próg.

— Niestety, niczym nie mogę pana poczęstować — rozpoczął Bergman, kiedy usiedliśmy za stołem, starając się w ten sposób nadać mojej wizycie towarzyski charakter. — Ale pan rozumie...

— Nie po to tu przyszedłem — uciąłem krótko jego tłumaczenie.

— Zapewne dalsze trudności aprowizacyjne? — Bergman uśmiechnął się nie bez przymusu. — Był tu jeden z pańskich ludzi. Co mogłem, to ofiarowałem...

— Tym razem nie. Jak również nie po to, aby panu podziękować, gdyż posyłając go do pana, nie zrobiłem tego przypadkowo...

Bergman nie spuszczał wzroku z mojej twarzy. Ale kiedy odwzajemniłem spojrzenie, spłoszony uciekł oczami w bok.

— Więc czym mogę służyć? — zapytał z niepewnym uśmiechem.

— Wie pan, co się stało onegdaj?

— Wiem. Jestem wstrząśnięty i oburzony. Co innego przecież walka, a co innego strzał w plecy.

— Otóż to! Świetnie pan to ujął, panie Bergman. Być może i dalsze pana opinie okażą się również celne. Bo chciałyby się dowiedzieć, kto z tego domu, według pana, mógł oddać ten strzał. Musiał to być doskonały strzelec, zważywszy na niewygodną pozycję, z jakiej strzelał, i zapadający już zmrok.

Ręce Bergmana złożone na stole drgnęły raptownie, a potem zsunęły się poza blat, jak gdyby chciały ukryć się pod nim. Nadal udawałem jednak, że niczego nie dostrzegam, tym bardziej, że lustrowałem spojrzeniem pokój.

— Bardzo trudne pytanie, panie...

— Podchorąży Bitny.

— A więc, panie podchorąży, to trudne pytanie. Odpowiadając na nie rzucalibyśmy podejrzenia, nie mając żadnych innych podstaw, jak tylko własne widzimi się.

— A więc zmieńmy je. Czy według pana są w tym domu ludzie, którzy potencjalnie byłiby zdolni do takiego czynu?

— Tak, są, — Tym razem odpowiedź była zdecydowana.

— Wobec tego może naświetli pan nieco ich sylwetki? Czy mieli kontakty z Niemcami? A może któryś z nich jest nawet volksdeutschem?

Bergman, usłyszawszy to pytanie, uniósł wzrok i przez chwilę patrzył mi w twarz. W spojrzeniu tym na sekundę pojawił się błysk wściekłości. Nie chcąc zapewne zdradzić swoich uczuć, zwrócił głowę w kierunku okna i wpatrywał się w widoczne poza nim rozciągnięte ponad dachami domów obłoki.

Siedziałem bez słowa czekając na odpowiedź. Wreszcie przestał patrzeć w okno.

— Czy to aluzja do mnie? — zapytał.

— A czy pan jest volksdeutschem?

— Nie, nie jestem ani nie byłem! A to, co ludzie pło-  
tą, to zwykła, pusta gadanina!

— Mam na to dowody, panie Bergman.

— Jakie? Proszę mi je pokazać.

— Zrobię to w swoim czasie. Gdyby zaś miała miej-  
sce nową zbrodnia, pana los byłby przesądzony.

Bergman zerwał się na nogi.

— Protestuję! — krzyczał już nie panując nad sobą.

— Ja nie mam z tym nic wspólnego! Protestuję przeciw  
obarczaniu mnie odpowiedzialnością za czyjeś postęпки!

Wstałem wolno z krzesła.

— Będzie pan odpowiadał tylko za siebie, panie  
Bergman... — Skierowałem się ku drzwiom. Wychodząc  
już, zamiast pożegnania, dorzuciłem z nutą groźby w gło-  
sie: — Sądzę, że jeszcze się zobaczymy...

Zszedłem na dół i wstąpiłem do pana Jarząbka. Zasta-  
łem go w mieszkaniu i odbyłem kolejną rozmowę.

— Nie zajmę dużo czasu — zagałęm od razu, korzy-  
stając, że byliśmy sami. — Sprawa, z którą przychodzę,  
nie wymaga dłuższego omawiania. Wracam właśnie od  
Bergmana. Po drodze zająłem do pana, by prosić o po-  
moc.

— O co chodzi? — Jarząbek popatrzył na mnie spod  
oka.

— Czy był pan w jego mieszkaniu?

— Albo raz? Lokatorzy proszą mnie często o pomoc,  
jeśli dymi piec albo kran stracił szczelność. Pan Bergman  
wzywał mnie też kilka razy.

— Czy pamięta pan może, co wisiało u niego na  
ścianie, po prawej stronie okna?

— Sam pan nie mógł dojrzeć? — Dozorca uśmiech-  
nął się.

— Na tapecie pozostało jedynie ciemniejsze miejsce  
po jakimś obrazie albo fotografii. Musiało to być zdjęte  
niedawno. Może to był pan Bergman? Na przykład w  
pięknym niemieckim mundurze?

Jarząbek zastanawiał się przez chwilę.

— Nie tak dawno, ale jeszcze przed powstaniem, zakładałem mu nowe firany — zaczął wolno, po czym nagle ożywił się. — Wiem, przypominam sobie! Ale to nie była fotografia! A to drań! Więc jednak to on! Miał pan dobrego nosa.

— Ale co to było?

— Dyplom! Dyplom za pierwsze miejsce w jakimś konkursie strzeleckim! — Jarząbek nagle spochmurniał. Spojrzał na drzwi i ścisząc głos, przechylił się ku mnie. — Ale co z tego? Teraz, kiedy go już zdjął, wyprze się wszystkiego i co mu zrobicie? Rozwalić tylko na takiej zasadzie nie można.

— Wiem jednak, kogo należy pilnować, a to już dużo. Może uda się go przyłapać z bronią w ręku!

— To byłoby coś. Wtedy pod ścianę drania i po krzyku.

— Jest jeszcze druga sprawa, którą chciałbym z panem omówić. W domu, skąd strzelano, rozsypałem gips zabarwiony na fioletowo. Gdyby spostrzegł pan jakies ślady tego koloru, proszę zaraz o wiadomość. Specjalnej zaś uwadze polecam klatkę schodową, przy której mieszka Bergman.

Po wyjściu od dozorca zatrzymałem się niezdecydowany na podwórku. Po niezbyt sutym i wczesnym śniadaniu czułem się mocno głodny. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dwunasta; Gnat dopiero zabierał się do robienia obiadu. Było więc nieco czasu na złożenie dalszych wizyt. Na podeście trzeciego piętra najpierw chwilę nasłuchiwałem pod drzwiami Łozy. Panowała jednak zupełna cisza. Mimo upodobania do snu, lokator już musiał o tej porze być na nogach. Czyżby wyszedł? Ale dokąd? Skierowałem się do drzwi Hulewicza. Na pukanie przez dłuższy czas nikt nie odpowiadał. Dopiero kiedy zniecierpliwiony powtórzyłem je, już w sposób bezceremonialnie głośny, dały się słyszeć wolne kroki i pytanie nieco zaleźnionym głosem:

— Kto tam?

— Podchorąży Bitny w ważnej sprawie. Proszę otworzyć.

Nuta groźby w moim głosie musiała wywrzeć wrażenie, bo rozległy się ugrzecznione słowa:

— Chwileczkę, panie podchorąży. Już otwieram!

Szczęknął łańcuch, potem dwukrotnie stuknęły odsuwane rygle. W uchylonych drzwiach ukazała się chuda twarz o ptasim nosie i nieco wytrzeszczonych ciemnych oczach.

— Pan Hulewicz?

— Tak — gospodarz uchylił szerzej drzwi.

— Czego pan się boi? Siedzi pan na worku z dolarami? — Wszedłem do przedpokoju. — Nie odbiorę ich panu.

— Pan raczy żartować... — Hulewicz zasunął z powrotem rygle i udał się za mną w głąb mieszkania.

Relacja Kruszyny okazała się ścisła. Istotnie, pokój robił wrażenie ekspozycji na pokazie ładu i porządku. Było to tym dziwniejsze, że niedawno w pobliżu padały bomby i pamiętałem jeszcze jak potem wyglądało mieszkanie Łoży. Jedynie książka była jak rzucona na podłogę obok wygodnego fotela psuła tę niezwykłą harmonię pomieszczenia.

Zatrzymałem się na środku pokoju, rozglądając się chwilę, a następnie wskazałem drugie drzwi.

— Czy tam ktoś jest?

— Nie ma nikogo. Następny pokój służy mi za pracownię.

— Ach, prawda. Mówiono mi już o tym. — Udałem, że dopiero teraz przypomniałem sobie ten szczegół. — Można tam zajrzeć?

Nie czekając na odpowiedź, podszedłem do drzwi i uchyliwszy je, zajrzałem do wnętrza.

I tu znalazłem potwierdzenie relacji Kruszyny. Wielki stół, umieszczony pod oknem, był zawalony skrawkami

gałganów, celuloidowymi figurkami lalek, szeregiem stały słoiki umazane farbami, zeschnięte pędzle tkwiły w starym, glinianym, garnku, walały się elementy jakichś zabawek. Skrawki kolorowych materiałów zaścielały podłogę. Na szybach dawno nie mytego okna osiadły pasma brudu, kąty pokoju zasnuwała pajęczyna. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny.

Cofnąłem się zamykając drzwi. Istotnie, kontrast pomiędzy tymi dwoma pomieszczeniami był uderzający. Co się za tym kryło?

Zbliżyłem się do biurka i rzuciłem jeszcze raz okiem na jego uporządkowaną powierzchnię, podsunąłem sobie krzesło.

— Pozwoli pan, że usiądę? Chcę o coś pana spytać.

— Ależ proszę — Hulewicz, który dotąd w milczeniu obserwował moje poruszenia, nagle się ożywił. — O co chodzi?!

— Pali pan? — wyciągnąłem papierosy i podsunąłem paczkę w stronę gospodarza.

— Nie. I stąd brak popielniczek. Ale zaraz poszukam czegoś w zastępstwie.

Przeszedł do przedpokoju, a stamtąd do kuchni, niknąc mi z pola widzenia. Nachyliłem się nad książką leżącą na podłodze i uniosłem jej okładkę. Był to „Pan Tadeusz”.

Wyprostowałem się na krześle na sekundę przed powrotem gospodarza. Ten wszedł ze spodeczkiem w rękę. Postawił go obok mnie, a następnie siadł na brzegu fotela. Była to poza zdradzająca napięcie, które starał się zamaskować uśmiechem uprzejmości. Wyczuwając ten nastrój, postanowiłem nieco wzmóc.

Wolno zapaliłem papierosa i nie śpiesząc się odłożyłem zapalną na spodek. Skinąłem głową w stronę drzwi do pracowni.

— Teraz chyba nic pan nie robi?

— Czasami, raczej dla zabicia czasu, jeśli dzień jest spokojniejszy i nie trzeba siedzieć w piwnicy.

— A przed powstaniem? Czy taka domowa produkcja zapewniała panu utrzymanie?

— Przed powstaniem miałem kilka pracowników. Zbyt był duży i zarobki nie najgorsze...

— Gdzie pan sprzedawał swoje wyroby? Bezpośrednio do sklepów czy też miał pan jednego stałego odbiorcę?

— A różnie... — w głosie Hulewicza zadrgało zniecierpliwienie.

— Dawno pan trudni się tą produkcją?

Hulewicz przykrył wypukłe oczy powiekami i westchnął szybko, jak gdyby chciał zaczerpnąć tchu przed odpowiedzią.

— Czy przyszedł pan po to, aby zaznajomić się z produkcją zabawek? — W jego głosie była zaczepność.

Uśmiechnąłem się pojednawczo i zmieniłem temat.

— Ma pan tu krewnych, panie Hulewicz?

— Tu? To znaczy gdzie?

— W Warszawie.

— Nie, nie mam.

— Ani żadnych znajomych, przyjaciół?

— Też nie.

— Musi panu dokuczać taka samotność. Mówiono mi, że jest pan przysięgłym domatorem.

— Mówiono? A więc wypytywał pan o mnie? — W głosie Hulewicza zadrgała nuta ironii. — Któż to pana tak objaśnił?

— To nieważne. Dlaczego unika pan ludzi?

— Co to za indagacja, proszę pana? — Tym razem gospodarz już zupełnie nie panował nad sobą i dał upust podnieceniu. — Czuję się jak na policyjnym przesłuchaniu!

— Tak, do pewnego stopnia jest to przesłuchanie.

— Jakim prawem pan go dokonuje?

— Mój żołnierz został zastrzelony z ukrycia w pobliżu tego domu.

— Co to ma wspólnego ze mną?



— Tego właśnie chcę dociec. O ile mi się uda... — Spojrzałem spod oka na Hulewicza.

Zmarszczył brwi, jak gdyby zastanawiał się nad moimi słowami i sytuacją. Zapanowało chwilowe milczenie, zakłócanie jedynie odgłosem Strzelaniny dochodzącej gdzieś z oddali.

— Dlaczego upatrzył pan sobie właśnie mnie? — zapytał po dość długiej przerwie Hulewicz. — To duży dom i ma licznych mieszkańców, panie podchorąży. A poza tym trudno mieć pewność, że zabójca kryje się wśród nich.

— To nie ulega wątpliwości. A jeśli chodzi o pana, to pański tryb życia stworzył wokół pana osoby nieco tajemniczą atmosferę.

— To niestychane! — oburzył się Hulewicz. — Wystarczy więc, aby człowiek miał dość ludzi, którzy go drażnią, a już staje się podejrzany. Jesteś jednym ze stada — wszystko w porządku! Chodzisz w pojedynkę — bądź potępiony!

— Jak dawno pan tu mieszka? — przerwałem spokojnie ten wywód.

Hulewicz spojrzał na mnie, jakby nie dosłyszał pytania.

— Od... od kilku miesięcy... — odpowiedział po pewnej chwili.

— Przez ten cały czas nikt pana nie odwiedził, nikt pan u siebie nie przyjmował?

— Starłem się już wyjaśnić...

— Ludzie prowadzą taki tryb życia również i z innych powodów. Mam na myśli tych, którzy z różnych przyczyn zmienili nazwisko...

— Kogo na przykład?

— Na przykład ukrywających się Żydów. Ale oni mnie nie interesują. Natomiast może zachodzić i inna ewentualność. Ci zaś, których ona dotyczy, nie byłoby mi obojętni...

— Mianowicie?

— Mianowicie zdrajcy, którzy otrzymali wyroki naszych podziemnych sądów i chronią się przed egzekucją.

— Nie jestem żadnym z nich. Jestem tylko producentem zabawek. A co do ludzi, to zbyt dali mi się we znaki, by pożądać ich towarzystwa...

— A zatem mam wierzyć, że to tylko obsesja, za którą nic się nie kryje?

Hulewicz uśmiechnął się porozumiewawczo i rzucił schlebiająco.

— Rozumiem, że zabójstwo towarzysza broni, dokonane w tak nieczy sposób, zmusza pana do szukania sprawcy i nieufności. Boleję jedynie, że objął pan i mnie swoimi podejrzeniami, mając tylu innych zasługujących na większą uwagę.

— Co pan powie? — Okazałem przesadne zainteresowanie. — I kogóż ma pan na myśli?

Hulewicz przechylił się ku mnie i widać dla dodania wagi swoim słowom ściszył głos.

— Dużo dałoby się powiedzieć o różnych typkach, które tu mieszkają, ale zaznaczam, że byłyby to tylko domysły. Natomiast jest człowiek, o którym mogą mówić fakty.

— Pan mnie bardzo zaciekawił, panie Hulewicz. Do prawdy nie żałuję, że przyszedłem do pana na tę pogawędkę. Cóż to za człowiek?

— Mój najbliższy sąsiad. Łoza...

— Nie powiem, aby to nazwisko nic mi nie mówiło. Cóż to za fakty, które świadczą przeciw niemu?

— A więc po pierwsze, jego zagadkowe zjawienie się w tym domu. Po drugie, podejrzanе zachowanie się. Sam widziałem, jak wciągał do rozmów różnych ludzi. O co ich wypytywał, co go interesowało, warto byłoby dojść... Ale to jeszcze nie wszystko...

— Słucham z całą uwagą — zachęciłem go.

— To, co powiedziałem, można by ostatecznie określić jako tło ogólne, chociaż bardzo istotne. Natomiast

moje ostatnie spostrzeżenie już nie ma takiego charakteru, bo jest konkretnym faktem. Otóż zupełnie przypadkowo stwierdziłem, że pan Łoza jest uzbrojony. Widziałem u niego rewolwer.

— Jak się to stało?

— Zdarzyło się przed kilkoma dniami, że razem wracaliśmy do siebie, a właściwie ja szedłem za nim, czego nie słyszał, bo czasami noszę sandały na gumowych podszwach. W ten sposób weszliśmy na nasze piętro. Podchodząc do drzwi Łoza zaczął szukać czegoś po kieszeniach płaszcza, zapewne kluczy. Widocznie rewolwer przeszkadzał mu w tym, bo w pewnej chwili wyjął go z płaszcza i wsunął w kieszeń marynarki. Spostrzegłem mnie dopiero w chwilę potem, a więc zapewne nawet nie przyszło mu na myśl, że mogłem to widzieć.

— Hm... To istotnie ciekawe, tym bardziej że, jak sam oświadczył, nie należy do żadnej formacji i udziału w walce nie bierze.

— Wyciągnięcie dalszych wniosków pozostawiam już panu. Nie uważam też za wskazane podkreślać wagi tej informacji.

— To nie ulega wątpliwości. Wiem przecież, jak wielu niemieckich szpiegów kręci się wśród cywilnej ludności. Donoszą o wszystkim, co się u nas dzieje.

— Niestety, ma pan rację. Może być, że moja informacja przyczyni się do złapania jednego z nich...

— Toteż niech pan nie spuszcza Łozy z oczu. Jeśli zaś dostrzeże pan coś podejrzanego, proszę zaraz o wiadomość.

— Oczywiście, panie podchorąży. Proszę na mnie liczyć.

### **Czwartek — południe**

Było już po pierwszej, kiedy wróciłem do kwatery. Wszyscy siedzieli przy kaszy. Po skończonym posiłku posłałem Świergota, by złuzował Bicza,

po czym opowiedziałem pozostałym przebieg obu wizyt.

Kruszyna siedział przy stole rozbierając automat. Kiedy skończyłem, jakiś czas nie odzywał się, przecierając lufę kawałkiem szmaty. Wreszcie spojrzął pod światło i widać stwierdził, że błyszczą należycie, bo odłożył gałgan.

— Mówisz, że Bergman okazywał zdenerwowanie?  
— zagadnął.

— Bardzo duże. Udawałem jednak, że tego nie widzę.

— Ma więc coś na sumieniu — wtrącił Gnat, który z kolei ulokował się przy oknie a łakomie obserwował gołębie siedzące na resztkach murów przeciwległej kamienicy.

— Co, to wiemy. Ale czy tylko dlatego tak bał się tej rozmowy?

— O to właśnie chodzi — Kruszyna odłożył lufę na stół. — Owe usunięcie dyplomu ze ściany wskazywałoby, że nasze poszukiwania idą we właściwym kierunku.

Przeszedłem się po pokoju, omijając porozstawiane chaotycznie fotele.

— Niech to diabli. Może da się go jednak dostać.

— To nie takie proste...

— Nie zapominajmy i o innych — wtrącił Gnat. — Na przykład taki Łoza... Dlaczego nosi pistolet i skąd go ma? A ta jego ostatnia wizyta? Przecież wyraźnie przyszedł tu, by nieco powęszyc.

— Ależ sytuacja — rzuciłem z przekąsem. — Kupa podejrzanych i kupa poszlak, ale niezbitego dowodu nie można zdobyć.

— Zdobędziemy i dowód, nie martw się! Morderca przyjdzie do tamtego domu — pocieszył mnie Gnat.

— Oby...

— Wróćmy jednak do twojej wizyty u tego Hulewicza — odezwał się Kruszyna. Odłożył na w pół złożony

automat i wyciągnął przed siebie długie nogi. — Chodzi mi o tę książkę, którą dostrzegłeś na podłodze. Ten szczegół jakoś mi nie pasuje do obrazka, jaki sobie stworzyłem o Hulewiczu i jego mieszkaniu na podstawie twego opisu...

— Co masz na myśli? — zainteresował się Gnat.

— Pedant, producent zabawek i poezje? Coś tu nie gra.

— Nowy dowód dwoistości upodobań. Porządek i bałagan, rzemiosło i poematy... — powiedziałem z rozdrażnieniem.

— Z nudów można czytać wszystko, nawet książkę telefoniczną — zaopiniował Gnat. Podszedł do stołu, chwilę przyglądał się Kruszynie, który zabierał się znów do składania automatu, i dorzucił: — Zajmujecie się głupstwami, zamiast brać za tyłek Bergmana. Dobrze go przycisnąć, to puści farbę. A najlepiej odstawić go do dowództwa, bo jeśli znów kogoś zastrzeli, będziemy współwinni.

Popatrzyłem na Gnata.

— To jest punkt widzenia nie pozbawiony słuszności. Ale w ten sposób wyrzekamy się odnalezienia zabójcy Surmy. Wybieramy łatwiznę zamiast doprowadzić sprawę do końca.

— Ależ to nie znaczy, że uważamy ją za wyjaśnioną — zaprotestował Kruszyna. — Nie mamy przecież pewności co do winy Bergmana. Jeśli to nie on, rezygnacja z dalszej akcji dałaby szansę właściwemu mordercy.

— Zatem podzielasz opinię Gnata?

— Tak, z tym że nadal będziemy szli za pozostałymi śladami.

— No dobrze. Zgadza się

Chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale przerwało mi nadejście Bicza.

— Wynudziłem się jak diabli — rzucił już w progu. — W tym kącie, który wybraliśmy, jest diabelnie

niewygodnie. Na następny dyżur upatrzyłem sobie inne miejsce. Gnat dawaj żarcie, bo w przeciwnym razie zdechnę z głodu!

W czasie posiłku Bicza wyjaśniłem mu, do jakich wniosków doszliśmy. Ale cicha nadzieja na jego opozycję zgasła już po pierwszych słowach.

— Macie rację — powiedział przytrzymując menażkę na kolanach. — W dowództwie potrafią wycisnąć z niego prawdę. A wówczas, kto go rozwali — oni czy my — to nieważne.

Wobec tego oświadczenia zwróciłem się do Gnata.

— Sprowadź tu Bergmana. Odprowadzicie go z Kruszyna. A po drodze zajdź do Łozy i nie mówiąc, o co chodzi, poproś, by tu wstąpił. Trzeba pogadać o tym pistolecie. — Słyszałem, że wychodziłeś? — zagadnąłem Kruszynę, kiedy Gnat opuścił kwaterę.

— Tak, odbyłem parę wizyt i ja...

— Wizyt?

— Przyszło mi do głowy, by odwiedzić innych naszych znajomych, o których zapomnieliśmy, zajmując się tymi trzema. Byłem u Poletki i Kabulskich. Zajrzałem również i do Mizerskich...

— No i?

Kruszyna wzruszył ramionami.

— Nic szczególnego. Zdaje się, że nadal możemy ich pomijać. Ci dwaj chłopcy to jeszcze zupełne dzieciuchy. Poletko leży obłożony kompresami, bo w czasie ostatniego nalotu dostał cegłą w głowę. Jeśli zaś chodzi o Kabulskiego, to ten również musiał oberwać, bo rękę miał na temblaku. Opinia zaś Gnata była chyba słuszna. To istotnie gość nie z tych, którzy kładliby się na balkonie i czekali na ofiarę. Po pierwsze, pobrudziłby portki, a po drugie, za bardzo tam wieje.. — Kruszona umilkł i chwilę patrzył przed siebie, zanim odezwał się ponownie. — Ale to dziwny typ. W czasie rozmowy z nim człowiekowi mimo woli robi się zimno. To trudne do sprecyzowania odczucie,

ale kiedy spotkaliśmy się wzrokiem, zdawało mi się, że szuka on we mnie miejsca, w które najłatwiej mógłby ugodzić. W jego spojrzeniu dostrzegłem coś okrutnego, jakiegoś chłodnego taksowanie człowieka.

Były to zaskakujące słowa, zupełnie nie w stylu Kruzszy, tym bardziej więc zrobiły na mnie wrażenie. Nie chcąc tego okazać, spróbowałem obrócić je w żart.

— Czułeś się jak kurczak pod wzrokiem węża... — powiedziałem kpiąco.

— Nie jesteś daleki od prawdy — odpowiedział mi z zupełną powagą — bo Kabulski istotnie zrobił na mnie wrażenie węża. Zimnej, okrutnej żmii.

Dalszą rozmowę przerwało nam zjawienie się Gnata i Łoza, który zawołał od progu:

— Witam waszmościów! Zaszło zapewne coś nowego i pragniecie mojej światłej rady?

— Proszę, niech pan siada, zaraz pogadamy — uciałem zimno to powitanie. — A Bergman? — zwróciłem się z kolei do Gnata.

— Nie zastałem go w domu. Pukałem dłuższą chwilę, ale nikt nie odpowiadał.

— No, trudno. Za godzinę pójdziesz jeszcze raz.

— Chcecie widzieć się z Bergmanem? — wtrącił się do rozmowy Łoza.

— Tak — odpowiedziałem krótko, nie chcąc wdawać się w bliższe wyjaśnienia.

Łoza jednak okazał zainteresowanie tematem i nie daj się zbyć.

— Można wiedzieć, dlaczego?

— A można wiedzieć, dlaczego to pana interesuje?

— Robicie błąd, nie chcąc przyjąć mojej pomocy — westchnął z przesadą.

— Może dlatego, że zbyt się pan z nią narzuca...

— Taki z pana Sherlock Holmes? — dorzucił kpiąco Gnat.

— Zatem moja sytuacja jest nadal podła?

— Gorsza niż była. Doszła mnie wiadomość, którą muszę wyjaśnić. Dlatego prosiłem pana o przybycie.

Rozmawialiśmy stojąc na środku pokoju. Wskazałem gościowi jeden z wolnych foteli.

— Niech pan siada — zaproponowałem — tak szybko tematu nie wyczerpiemy.

Łoza usłuchał bez słowa.

— W czasie naszej pierwszej pogawędki — zagailem — dowiedziałem się, że nie bierze pan udziału w naszej walce. Wolno mi zatem wnioskować, że nie należy pan do żadnej wojskowej organizacji.

— Wniosek zupełnie słuszny.

— Zatem dlaczego nosi pan przy sobie broń?

Powieki Łozy zwężyły się na moment.

— Skąd pan to wie?

— Czy to prawda?

— Bez odpowiedzi na pytanie, skąd to wiecie, nie usłyszysz pan ode mnie ani słowa.

Pomyślałem, że taki ton rozmowy nie sprzyja wyjaśnieniu czegokolwiek, mimo więc niechęci i zastrzeżeń, jakie miałem w stosunku do Łozy, powiedziałem pojednawczo:

— No dobrze, ostatecznie dyskrekcja mnie nie obowiązuje. Wiadomość tę mam od pana najbliższego, sąsiada, Hulewicza, który widział, jak przekładał pan pistolet z kieszeni płaszcza do marynarki. Było to przed drzwiami pańskiego mieszkania.

Z kolei Łoza nie odzywał się przez chwilę.

— Więc jednak Hulewicz? — mruknął wreszcie.

— Czy to prawda?

— Owszem. Mam pistolet.

— Po co go pan nosi?

— No, wie pan! — prychnął Łoza. — To też pana interesuje? Jest to belgijski Browning kalibru 6,35. Jak panu zapewne wiadomo, skuteczność tej broni, mam na myśli celność strzału po przekroczeniu odległości dziesięciu



metrów, jest żadna. W każdym bądź razie nie może zastąpić karabinu.

— Po co panu pistolet, skoro jest pan tak, pacyfistycznie, jak to pan nam przedstawił, usposobiony?

— Mimo to lubię broń. Kto wie, czy nie zajmę się kiedyś kolekcjonerstwem. — Łoza powrócił do swego zwykłego, kpiącego tonu.

— I to ma być pierwszy obiekt tej przyszłej kolekcji? A może należy już do niej i karabin z lunetą?

— Jeszcze nie. Ale wracając do Hulewicza, jakie zrobił na panu wrażenie?

Pytanie to było mi na rękę, bo pozwalało na wszczęcie tematu, który interesował mnie również.

— Odniosłem wrażenie — powiedziałem — że wołałby o sobie mówić jak najmniej, natomiast o panu nieco więcej. Poza tym jest to osobnik zdradzający dwoistość natury...

— Co pan ma na myśli?

— Wrażenie trudne do sprecyzowania. Nie wiem, czy był pan w jego mieszkaniu. Składa się ono z dwóch pokoi. W jednym panuje idealny porządek, w drugim niesłychany bałagan. Trudni się wytwórczością rzemieślniczą, a jednocześnie interesuje się poezją...

— Poezją? — przerwał ze zdziwieniem Łoza, który słuchał z uwagą rzucającą się w oczy.

Uśmiechnąłem się.

— Znalazłem u niego egzemplarz „Pana Tadeusza”. Na podłodze.

— „Pana Tadeusza”? — Zaciekawienie Łozy wyraźnie wzrosło. — Mówi pan, że był to „Pan Tadeusz”?

Spojrzałem ze zdziwieniem na swego gościa.

— Skąd to zainteresowanie takim głupstwem? O co tu chodzi?

Łoza wyciągnął papierosy i podsunął mi paczkę.

— Wiem tyle, co pan... — rzucił zdawkowo, nachylając się nad podanym ogniem. — Po prostu jestem

zaskoczony zarówno upodobaniem pana Hulewicza do poezji, jak i uwagą, jaką mi poświęca.

— A jaka jest pańska opinia o tym człowieku?

Łoza zamyślił się. Jakiś czas obracał papierosa w palcach, zanim odpowiedział.

— Zbyttno mnie dotąd nie interesował, ale sądzę, że nie jest człowiekiem, który by coś robił bez ściśle określonego celu... Natomiast wszystkie te morderstwa mają swoją cechę charakterystyczną, której zdaję się dotąd nie spostrzeżliście.

Spojrzałem z zaciekawieniem na swego rozmówcę.

— Co pan ma na myśli?

— Ich pozorny bezsens. Ktoś ryzykuje skórą, skazuje się na niewygody i uciążliwość oczekiwania w zasadzce, aby dokonać zabójstwa, z którego nie ma żadnej korzyści. Te morderstwa musi więc popełniać człowiek ulegający jakiejś pasji, a nie konieczności działania w określonym celu...

— Ale zabójstwa tego typu stały się tak częste, że ci, którzy je popełniają, mają już wśród ludności swoją nazwę.

— „Gołębiarze”? Dlatego, że strzelają przeważnie z dachów.

— No właśnie. Czyżby takie maniactwo przybrało rozmiary epidemii? Jakoś nie trafia mi to do przekonania. Jest to po prostu jedna z form walki, jaką prowadzi z nami nieprzyjaciel. W działaniach frontowych nasi „gołębiarze” nazywani są snajperami. Rodzaj polowania „na upatrzonego”, które praktykują na ochotnika dobrzy strzelcy...

— Ano właśnie, na ochotnika... — dorzucił Łoza. — W tak niesprzyjających warunkach, jakie istnieją tutaj — mam na myśli szczupłość terenu i związane z tym ryzyko — może to robić tylko maniak.

Spojrzałem na zegarek i zwróciłem się do Gnata.

— Skocz no jeszcze raz. Już chyba powinien być u

siebie, bo gdzieżby polazł na dłużej? Kruszyna, idź od razu z Gnatem.

— Przyrowadzić go tu, czy od razu...

— Najpierw tu. Muszę napisać meldunek.

Kiedy Gnat i Kruszyna wyszli, Łoza spojrział pytająco na mnie.

— Sądząc z tego, co usłyszałem, macie coś konkretnego? Zdobył pan przeciw Bergmanowi dowody?

— Tak, ale nie takie, jakich bym pragnął. Stwierdziliśmy, że jest volksdeutschem i do tego dobrym strzelcem. A to już wystarczy, by zajęło się nim dowództwo.

— A więc nie pod zarzutem morderstwa?

— Gdybym miał na to dowody, rozwaliłbym go od razu — zawołałem ze złością. — Niestety obracam się nadal w kręgu poszlak. Tyle tylko że ich przybywa.

— Mianowicie?

— A chociażby cień, który gęstnieje wokół pana, panie Łoza. Nie przypuszcza pan chyba, że wyjaśnienie dotyczące pistoletu uznałem za wiarygodne...?

W tej chwili na progu stanęła Maruta.

— Jak się macie, chłopcy? — powitała nas pogodnie.

— Czy nie za często przychodzi? Wracam ze służby i wstąpiłam do was, bo jestem ciekawa nowości.

— Cieszę się, że cię widzę. — Podszedłem do dziewczyny. — Chodź, właśnie te nowości obgadywaliśmy z panem Łozą.

Zajęła pusty fotel.

— Mów, jestem ogromnie ciekawa! Zatem posuwacie się naprzód?

W paru słowach zobrazowałem sytuację. Dalsze zachowywanie tajemnicy nie miało już sensu, bo ujęcie Bergmana i tak wkrótce będzie znane całej kamienicy.

— A więc to Bergman? Słyszałam o nim, że jest volksdeutschem, ale uważałam to za plotkę!

— W tym wypadku była to prawda... — Ograniczyłem się do tej zdawkowej uwagi, mimo wszystko nie

chcąc mówić zbyt wiele.

Dalszą rozmowę przerwało zjawienie się obu wystaników.

— Gdzie Bergman? — rzuciłem zaskoczony widząc, że przychodzą sami.

— Chcielibyśmy również to wiedzieć — mruknął zgryźliwie Kruszyna. — Drzwi zamknięte i nikt ich nie otworzył, mimo że waleniem poderwaliśmy na nogi całą klatkę schodową.

— Ładny gips... — mruknałem rozczarowany. — Już go zatem nie zobaczymy. Zwiął drań!

— Jedyna pociecha w tym — zawołała dziewczyna — że uwolniliście przynajmniej kamienicę od nękającej zmory.

— Niekoniecznie... Po mojej wizycie postanowił uciekać, ale to nie znaczy, że poniecha zabójstw.

— Cholera jasna — zaklął Gnat, rzucając karabin na kozetkę. — Teraz skryje się gdzieś w pobliżu i będzie polował nadal.

— A więc nic się nie zmieniło — wtrącił Bicz. — Ten znak zapytania pozostaje nadal bez odpowiedzi, bo nie ma szans na złapanie tego... — Spojrzał na dziewczynę i nie dokończył rozpoczętego zdania.

— Tę szansę dają warty. Ale może byłaby i inna... — mruknał Łoza.

Obrócili się ku niemu z zaciekawieniem.

— Masz jakiś, pomysł? — spytała z ożywieniem Maruta.

— Bergman, uciekając, musiał bardzo się śpieszyć, zresztą nie bez racji. W pośpiechu mógł zapomnieć o wielu potrzebnych rzeczach. Istnieje zatem szansa, że spróbuje wrócić nocą. Ma klucze od mieszkania, a po ciemku przemknąć się nie sztuka...

— To istotnie możliwe — podchwyciłem myśl Łozy — Zrobimy więc zasadzkę, tym razem nocą.

— Tak, to niezły pomysł — zgodził się Kruszyna.

Gnat i Bicz z uznaniem spojrzeli na Łozę.

— Ten posterunek na dzisiejszą noc obejmę sam — zdecydowałem.

— Jesteś dowódcą i wykonawstwo pozostaw nam — sprzeciwił się Gnat. — Ja spędzę noc w gniazdku ptaszy-ny.

— Masz jutro od rana wartę w ruinach — zawahałem się.

— Zamienię się z nim, bo ma rację — oświadczył Kruszyna. — Ja pójdę rano, a on prześpi się do obiadu i pójdzie po mnie.

— Mam nadzieję, że nie dasz się zaskoczyć? — Pytaniem tym wyraziłem zgodę.

— O to się nie martw. Jak się zjawi, podsunę mu pod nos tę armatę — Gnat wyjął zza pasa dziewięciomilimetro-owy steyer z długą lufą. — Karabin w mieszkaniu na nic mi się nie zda.

— Kawał gnata — rzucił z uznaniem Łoza.

— Stąd pochodzi przezwisko właściciela. Ma go jeszcze z czasów konspiracji!

— Trudno teraz o amunicję do takiej broni.

— Mam jeszcze parę zapasowych magazynków, starczy mi — roześmiał się Gnat.

— Ale co z drzwiami? Przecież są zamknięte na klucz — przypomniałem sobie.

Gnat podrapał się w głowę.

— A niech to diabli...

— Pogadaj z dozorcą. Jeśli nie ma jakiegoś wytrycha, niech ostrożnie wyważy zamek. Tak, by nie zostawić zbyt wyraźnych śladów.

— Nocą Bergman i tak ich nie dostrzeże. Idę — oświadczył Gnat ruszając do wyjścia.

Łoza podniósł się z fotela.

— Pójdę i ja... Rano wpadnę, jeśli nie macie nic przeciw temu...

— Nie mamy — odpowiedział mu z lekkim uśmiechem. — Nie jestem przeciwny utrzymaniu kontaktu.

— Sądzi pan, że dam się na czymś przyłapać? — od-  
wzajemnił uśmiech. — Czy też to tylko pana zwykła, uj-  
mująca uprzejmość, panie podchorąży?

### Czwartek —wieczór

Zaczynało już ciemnieć. Przez po-  
zbawione szyb okno, ciągnęły podmuchy przeciągów,  
przynosząc z zewnątrz woń spalenizny.

Maruta podeszła do okna i spoglądała na rozciągającą  
się poza nim ponurą panoramę zburzonego miasta. Dymy  
pożarów zaciągały niebo wielką, czarną chmurą podobną  
do uniesionej kurtyny, spod której ukazywał się gasnący  
blask niewidocznego słońca. Na tle pasa czerwieni rys-  
wały się ostro kontury pogruchotanych domów i samot-  
nych ścian tkwiących tu i ówdzie wśród pogorzeliisk. Hał-  
dy rumowisk szły jedna za drugą, jak wodne garby rozko-  
łysanego morza.

— Tragiczny obraz... — Nie odwracając głowy ode-  
zwała się cicho. — Czy widzisz w tym jakiś sens?

— Przeżywasz chwilę zwątpienia?

— Może... Czuję się taka zmęczona. Nie fizycznie.  
Ale wiem, że ta walka musi skończyć się przegraną mimo  
tyłu naszych ofiar i wysiłków...

— Żaden wysiłek ani ofiara nigdy nie są daremne.  
Nawet jeśli przegramy, nawet jeśli sami zginiemy, zwy-  
ciężą nasi towarzysze czy następcy.

— Jeśli zginiemy... — powtórzyła ledwie dosłyszal-  
nie. — Dlaczego tak chętnie i beztrudnie o tym mówimy?  
Czy to właśnie nie jest dowodem, że podświadomie liczy-  
my się z przegraną?

— Poniechajmy tych rozważań, to nie żołnierska  
rzecz... — mruknął niechętnie.

Nie odpowiedziała. Reszta obecnych też się nie odzy-  
wała. Ich sylwetki zaczęły zacierać się w coraz bardziej  
gęstniejącym mi Oku wielkiego salonu.

Maruta odwróciła się od okna.

— Zimno mi... — Wstrząsnęła ramionami.

— Weź moją kurtkę. — Zdjąłem z wieszaka okrycie i narzuciłem je na plecy dziewczyny.

— Dziękuję — rzuciła mi krótkie spojrzenie, uśmiechając się lekko. — Ale chyba już pójdę...

— Posiedź jeszcze. O, jest Świergot! — zawołałem na widok wchodzącego chłopca.

Ten z, wolna odłożył automat i westchnął ciężko.

— No, nareszcie jestem z wami. Te ruiny wcale nie są przyjemne.

— Zdrętwiał ci tyłek, co, biedaku? — odezwał się Kruszyna.

— Istotnie, Bicz miał rację, wygodnie na tych ceglach nie jest, ale poza tym ta cisza między ścianami pustych mieszkań, te ruiny wokoło, a jednocześnie jakieś szelesty, szmery... To działa na nerwy, zobaczycie sami. Co chwila zdawało mi się, że ktoś chodzi to za tą, to za tamtą ścianą. Przysięgnęłbym, że słyszę stąpnięcia, ale kiedy sprawdzałem, wszędzie było pusto, cicho i tak jakoś martwo...

— Następnym razem przysięgniesz, żeś widział ducha!

— Żartuj sobie, a ja wcale nie jestem taki pewny, czy ktoś tam nie łąził.

— Poniosły cię nerwy — zaopiniował Bicz. — I mnie zdawało się, że ktoś łązi w pobliżu, ale okazało się, że to przeciągi. Wieje tam ze wszystkich stron.

Świergot nic już nie odpowiedział. Zapalił świecę i przylepił ją do blatu stołu.

Kończyliśmy właśnie kolację, którą w zastępstwie Gnat zajął się Bicz, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Po głośnym „wejść” Kruszyny na progu ujrzeliśmy pana Jarząbka. Dozorca rozejrzał się w pierw po mrocznym pokoju, potem przesunął spojrzeniem po naszych twarzach, oświetlonych stojącą pomiędzy nami świecą, wreszcie ruszył do mnie. Na jego widok podniosłem się.

— No jak tam, panie Jarząbek? Daliście sobie radę z drzwiami Bergmana?

— Co nie miałem dać? Nie takim drzwiom potrafię poradzić. Ale ja w innej sprawie, panie podchorąży... Poproszę pana na chwilkę... dozorca zawrócił w stronę wyjścia.

Zaciekawiony, ruszyłem za nim. W przedpokoju pan Jarząbek zatrzymał się i nachylając ku mnie spytał cicho:

— Ma pan latarkę?

— Mam.

— To weź ją pan. Coś panu pokażę.

— Są ślady?!

— Właśnie. Chodźmy, zobaczy pan sam...

— Gdzie je pan znalazł?

— W drugiej klatce schodowej. Myślę, że to te, o które panu chodziło...

Szybko mineliśmy ciemne podwórze i skierowaliśmy się do drugiego wejścia. Dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że prowadzi ono nie do mieszkania Bergmana, lecz Łoży i Hulewicza. Czyżby więc któryś z tych dwóch był w ruinach?

— Niech pan świeci — rzucił w pewnej chwili Jarząbek. — Ślady widać najlepiej na schodach. Sprytnie pan to urządził, panie podchorąży, tylko że los lubi płać różne figle.

Nie zwracając uwagi na te słowa, skierowałem strumień światła na stopnie schodów.

Istotnie, od razu ujrzałem nieznaczne wprawdzie i nikłe, ale przecież dostrzegalne plamy jasnioletowego koloru. Nie miały określonego kształtu. Tworzyły drobne, rzadkie plamki ni to kurzu, ni to białawego proszku o fioletowym odcieniu. Na niektórych stopniach było ich więcej, na innych były ledwo, ledwo widoczne. Miejscami znikały zupełnie, by po chwili znów ukazać się wyżej.

Tak doszliśmy do drugiego piętra i zaczęliśmy wchodzić



na trzeciej. Na pierwszych stopniach ślad widniał wyraźnie, potem zniknął, ale pojawił się na podeście półpiętra. Potem ukazywał się jeszcze gdzieś, ale coraz bardziej nisko i drobny, nieomal nie do wykrycia, gdyby oko nie nauczyło się go dostrzegać. Wreszcie zniknął zupełnie. I to tam, gdzie miał odpowiedzieć na pytanie, do którego mieszkania prowadzi. Podest był czysty.

— A niech to cholera — zakląłem, rozumiejąc dopiero teraz, co miały znaczyć ostatnie słowa Jarząbka.

— Dobre i to — mruknął ten na pocieszenie. — Przynajmniej wie pan teraz, że to któryś z tych dwóch.

— Tak, ale który?

— To pan musi rozgryźć. I tak dużo już pan wie.

— Kiedy je pan dostrzegł?

— Jeszcze za widna. Miałem właśnie iść do pana, ale zamarudziłem przez pańskiego człowieka.

— Został tam?

— Tak.

— A jak z zamknięciem drzwi? Jeśli zostały otwarte, Bergman może się domyślić, że ktoś jest w środku.

— Na wieszaku znaleźliśmy zapasowy komplet kluczy. Pana kolega zamknął drzwi tak, jak były. Ale po co wam Bergman, skoro te ślady mówią, że to nie on?

— Na pewno wiedzieć nie można, panie Jarząbek, póki nie wyjaśni się wszystkiego. Bergman cuchnie najbardziej, ale tak samo i ci dwaj. A zwłaszcza jeden z nich... — dorzuciłem półgłosem raczej już sam do siebie.

Wreszcie podziękowałem dozorczy za pomoc i ruszyłem do siebie. Maruty już nie zastałem.

### **Piątek — nad ranem**

Była piąta rano. Bicz krzątał się już po kuchni, słyszeliśmy, jak rąbał szczapy na ogień. Krużyna mył się, a ja goliłem się przed kawałkiem lustra

opartym o stojącą na stole menażkę. Jedyne Świergot, przykryty kurtką, spał jeszcze na kozetce.

Z zewnątrz dochodziły co i raz odgłosy wybuchów nękającego ognia granatników. Pociski rozrywały się to bliżej, to dalej, a w zależności od tego resztki szyb dzwoniły silniej lub słabiej. Wystraszone stado gołębi kołowało na tle błękitnego nieba, przyspieszając lot za każdym nowym grzmotem detonacji. Granaty rozrywały się gdzieś blisko, ale resztki potrzaskanych murów zasłaniały miejsca ich upadków.

Kruszyna sięgnął po ręcznik i wycierając się, zawołał w stronę kuchni, skąd rozlegało się pogwizdywanie.

— Dasz wreszcie tę kawę?! Muszę zaraz iść!

— Niedługo powinien zjawić się Gnat. — Odłożyłem brzytwę i wodziłem palcami po policzku, sprawdzając efekt golenia.

— Co on tam jeszcze robi? Za widno, nikt przecież nie przyjdzie! — Zniecierpliwił się Kruszyna.

Sięgnąłem po bluzę.

— Zapewne śpi. Po drodze obudź tego pilnego wartownika.

— Musiał usnąć o świcie, kiedy doszedł do wniosku, że Bergman już nie przyjdzie. — Kruszyna starał się usprawiedliwić kolegę.

— Spać powinien w kwaterze po złożeniu meldunku — powiedziałem z irytacją. — Ej, kuchto, dawaj wreszcie swoją lurę! — krzyknąłem w stronę kuchni.

— Już niosę, wasza wysokość. — Bicz zjawił się z czajnikiem w ręku.

Po szybko zjedzonym śniadaniu Kruszyna wyszedł. Świergot wstał i zabrał się do porannej toalety.

Właśnie dopinałem pas, by zejść na dół, kiedy raptem pchnięte gwałtownie drzwi w przedpokoju otworzyły się z trzaskiem i do salonu wpadł Kruszyna. Wyraz jego twarzy kazał mi znieruchomieć w miejscu.

— Gnat zabity — rzucił zduszonym głosem.

— Zabity? — Zdołałem powtórzyć tylko to słowo.

— Może ranny? — krzyknął Świergot.

Kruszyna zaprzeczył głową.

— Nie ma wątpliwości.

— Jak zginął?

— Od uderzenia nożem. Leży w kałuży krwi...

— Idziemy, Kruszyna! — Poderwałem się z miejsca, a widząc, że Świergot i Bicz idą za nami, rozkazałem: — Na razie musicie zostać. Ty, Świergot, nie opuszczaj kwatery, Bicz, obejmij posterunek zamiast Kruszyny. I do diabła, uważaj, żebyś nie był następny.

Zbiegliśmy ze schodów i szybko minęliśmy podwórze. Odezwałem się dopiero na schodach prowadzących do mieszkania Bergmana.

— Drzwi były otwarte?

— Zamknięte, ale nie na klucz.

— A klucze? Były w zamku?

— Nie, Te, którymi zamknął mieszkanie, leżały na stole. Mam je teraz w kieszeni.

— Gdzie?! — rzuciłem, kiedy znaleźliśmy się w przedpokoju.

— Zaraz koło drzwi. Nic nie ruszałem.

Istotnie Gnat leżał parę kroków od progu, obok wywróconego krzesła.

Nachyliłem się nad ciałem. Od razu spostrzegłem ranę. Bluza na boku była rozcięta i przesiąknięta krwią, która już skrzepła, tworząc wielką, ciemną plamę, połyskującą czerwienią w świetle padającym z pobliskiego okna. Dotknąłem ciała, po czym wyprostowałem się i obróciłem do Kruszyny, który z ponurym wyrazem twarzy wpatrywał się w zabitego.

— Zginął kilka godzin temu. Zapewne przed północą. Masz rację, to nie jest rana od kuli.

— Uderzono go nożem lub bagnetem. Cios musiał być silny, skoro sięgnął do serca, bo nie wydaje mi się, by zmarł od upływu krwi.

Rozejrzałem się po pokoju. Poza przewróconym krzesłem nic nie wskazywało, by odbyła się tu walka.

Po uderzeniu Gnat, padając, musiał je potracić lub w ostatnim przeblýsku świadomości próbował oprzeć się o nie. Parę much poderwało się z ciała i okrążywszy je siało zaraz z powrotem. Panowała cisza, której nie mąciły nawet odgłosy z zewnątrz. Na stole, zatknięta w pustą butelkę, tkwiła resztką świecy. Warkocze zastygłej stearyny oblepiały szyjkę butelki, a na wierzchu leżał wtopiony strzép knota. Obok stała popielniczka, a na niej kilka niedopałków machorkowych papierosów, które wówczas paliliśmy. W pobliżu popielniczki leżało pudełko zapalek.

Odwrociłem się do Kruszyny i jakiś czas spoglądaliśmy na siebie bez słowa. Po chwili wargi Kruszyny drgnęły, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz zacisnęły się znów, a mięśnie policzków stężyły. Kiedy wreszcie odezwał się, głos mu się łamał tak, że słowa były trudne do rozeznania.

— Głupie Gnacisko... Dał... dał się zaskoczyć...

— Zawsze był pewny siebie — mruknąłem, po czym na chwilę uległem wzbierającej pasji: — Kiedy dopadnę tego psa, nie będzie żadnej procedury, żadnych sądów! — krzyknąłem z wściekłością. — Opanowałem się jednak i po chwili zakończyłem cicho: — Uff... poniosło mnie... Dałbym teraz wiele za szklanę wódki...

Kruszyna podszedł do stołu i opadł ciężko na najbliższej stojące krzesło.

— Mnie też ponosi... Ale trzeba spokojnie rozważyć wszystko. Jak myślisz, co tu zaszło?

Odwrociłem się od ciała i wyjąłem papierosy. Potem, zaciągnąwszy się głęboko, usiadłem również.

— Chyba nie potrzebujemy się zastanawiać, kto to zrobił, bo nareszcie znamy już sprawcę — powiedziałem prawie szeptem. — Przypuszczam, że Gnat dał się zaskoczyć. Sprzyjał temu brak światła, bo przecież musiał siedzieć po ciemku...

— A ta wypalona świeca?

— Sądzisz, że ją zapalił przed przybyciem Bergmana?

Uważam to za wykluczone. On ją przygotował, ale nie zapalał. Przecież musiał zdawać sobie sprawę, że Bergman przed wejściem na klatkę schodową rzuci okiem na swoje okna. Nie spodziewał się chyba zasadzki, ale takie spojrzenie to odruchowa ostrożność. A zatem Gnat na pewno siedział po ciemku. W jakiej sytuacji nastąpiło potem uderzenie, tego bez Bergmana nie dowiemy się. Ale jak zapalił świecę trzymając przybysza pod bronią? Może zrobił to Bergman, już po zabójstwie, by ułatwić sobie przeszukanie mieszkania, a potem, śpiesząc się Z odejściem, nie zgasił jej i dopaliła się sama?

Kruszyna skinął twierdząco głową, wstał i bez słowa zaczął przeszukiwać zwłoki. Wreszcie rozejrzał się po pokoju.

— Co z pistoletem? Nigdzie go nie ma.

— Zabrał go... — mruknąłem.

— I zapasowe magazynki też. Widziałem, że Gnat wziął je ze sobą.

Zerwałem się na nogi.

— Niech biedak nie leży na podłodze. Chodź, przeniesiemy go na łóżko. Pogrzeb trzeba będzie zrobić jutro i to o samym świcie, żeby nie zwracać uwagi mieszkańców.

— Jaki powód zgonu?

— Śmierć od zabłąkanej kuli. I tak dość gadają o tym „gołębiarzu”. Nie wzmagajmy paniki.

Po umieszczeniu zwłok w sypialni, wróciliśmy do pierwszego pokoju.

— Siadaj jeszcze na chwilę... Trzeba zastanowić się, co teraz robić, jak złapać ślad tego drania.

Kruszyna kiwnął głową.

— Jedna szansa na sto, że go dostaniemy.

— Gnat zapłacił życiem za rozwiązanie zagadki. Jego śmierć rozprasza wszystkie wątpliwości, jakie mieliśmy... I co za ironia losu! Wiemy już, kto jest mordercą, ale niewiele mamy szans na dostanie go w ręce. Wie, że była

zasadka, nie ma więc co liczyć, aby zjawił się tu powtórnie.

— Trzeba przyznać Łozie, że miał nosa.

Zakląłem.

— A niech to diabli. Że też zgodziłem się, by Gnat objął ten posterunek. Gdybym poszedł sam, mielibyśmy Bergmana w rękę, bo nie dałbym się zaskoczyć.

— Skąd to można wiedzieć? Odtworzyłeś wypadki na zasadzie prawdopodobieństwa, ale czy taki był ich przebieg, tego nie wiemy i wiedzieć nie będziemy. Może wszystko stało się inaczej, w sytuacji której nie sposób było przewidzieć...

— Na przykład? — Spojrzałem na Kruszynę.

Siedział zamyślony, dopalając resztkę papierosa. Wreszcie zdusił go w popielniczkę.

— A jeśli to nie Bergman jest zabójcą? A jeśli to nie on był tu w nocy? Nie zapominaj o tych śladach, które pokazał ci dozorca...

Zastanawiałem się przez chwilę.

— Ależ to dowodziłoby — wybuchnąłem — że zabójcą jest któryś z uczestników naszej narady! Kto w niej brał udział poza nami? Maruta i Łoza. Tylko oni wiedzieli, że robimy tę zasadzkę.

— Tak — zgodził się spokojnie Kruszyna. — I ślady widniały na podeście Łozy... Ale o zasadzce wiedziała również i Maruta.

Rzuciłem ostre, krótkie spojrzenie na towarzysza.

— Nie pleć głupstw.

— Nikogo nie wolno zwalniać od podejrzeń. — W głosie Kruszyny zabrzmiał twardy akcent. — Musimy brać pod uwagę wszystkie możliwości...

Zerwałem się na nogi.

— Równie dobrze mógłbyś podejrzewać i któregoś z nas.

— Nie, bo Surma szedł ostatni.

O nieba! Więc i taką możliwość rozważałeś?

— Rozważałem.

Krążyłem wzburzony po pokoju. Wreszcie zatrzymałem się przed Kruszną i powiedziałem z sarkazmem:

— Odrzucasz oczywiste, rzucające się w oczy i logiczne wyjaśnienie na rzecz mglistych i nierealnych przypuszczeń. Zgoda, że kolejnym podejrzanym może być Łoza, tym bardziej że to on podsunął nam pomysł tej zasadzki. Ale jaka przyczyna morderstwa? W dalszym ciągu ta sama? Maniacka żądza zabijania?

— W tym wypadku może i nie.

— Widzisz inny powód?

Kruszna bez słowa skinął głową.

— No to gadaj, do diabła! — zniecierpliwilem się.

Kruszna milczał obracając w palcach papierosa i z uwagą przyglądając się tej czynności. Wreszcie uniósł głowę i popatrzył na mnie.

— Zabójca stwierdził — zaczął wolno — że w ruinach jest posterunek. Został więc odcięty od swej broni. Z gołymi rękami nie można pokusić się o zamach na wartownika, a musi domyślać się, że Gnat jest uzbrojony...

— Zabił więc dla zdobycia broni?

— Właśnie.

— Ależ w ten sposób eliminujesz Łozę, bo on ma przecież pistolet.

— Jest to broń małokalibrowa, więc nieprzydatna na większą odległość. A przecież musi się liczyć, że wartownik nie dopuści go do siebie zbyt blisko...

— Tak, to słuszne. — Stwierdziłem po zastanowieniu się. — Suma tych poszlak ma swoją wagę.

Kruszna skinął głową.

— Ale nie zapominajmy, że są to tylko poszlaki i insynuacje, a u Bergmana poszczególne fragmenty tworzą wyraźną całość.

— Wskazując jednocześnie na naszą bezradność. — Uśmiechnąłem się z sarkazmem. — Bo teraz, kiedy zdarczenia potwierdziły podejrzenia, zaczynamy szukać nowego rozwiązania.

Kruszyna spojrział na mnie z niepokojem.

— Posterunek w ruinach musi teraz jeszcze bardziej wzmocnić czujność. Bo jeżeli...

— Rozumiem. Obecnie morderca ma możliwość usunięcia przeszkody, która zagradzała mu drogę do karabinu...

### **Piątek — przed południem**

Wiadomość o kolejnej śmierci, która nawiedziła kamienicę, mimo wszystko rozeszła się wśród jej mieszkańców. Nasze milczenie bądź wyjaśnienia przyczyn zgonu zabłąkaną kulą niewiele pomogły. Instynkt tłumu, jak zwykle, był niezawodny i wersji tej nie daino wiary. Wywołało to jednak nie tylko współczucie, ale i strach. Komentarze, przypuszczenia i snucie różnych podejrzeń stały się teraz głównymi tematami rozmów.

Po zamknięciu mieszkania Bergmana wróciliśmy z Kruszną do kwatery. Bicza już nie było, gdyż zgodnie z rozkazem udał się na wartę w ruinach. Powitał nas Świergot, którego zaczerwienione oczy zdradzały, jak głęboko chłopak przeżył śmierć towarzysza.

— Zostawiliście go tam? — przywitał nas obserwując, jak z ponurymi twarzami zdejmowaliśmy pancerki.

— Mieliśmy go nieść przez podwórko i robić widowisko? — mruknął Kruszyzna.

— Nie... nie mogę uwierzyć, że Gnat nie żyje — chlipnął Świergot.

— Tylko się nie rozbecz — rzuciłem opadając na fotel. — Łzami go nie wskrzesisz.

— Żeby przynajmniej go pomścić. Jak myślicie, złapiemy Bergmana?

— Bardzo wątpię. Chyba że krąży gdzieś w pobliżu. Ale to znikoma szansa.



— Krąży w pobliżu? — powtórzył Świergot. — Aby z kolei dosięgnąć któregoś z nas?

— Nie uśmiecha ci się rola zwierzyny?

— A więc warty w ruinach stają się jeszcze bardziej niebezpieczne.

— Słusznieś to wywnioskował. I dlatego, pełniąc je, musisz teraz uważać jak diabli, bo zabraknie wieńców na trumny.

— Jak możesz w takiej chwili kpić? — oburzył się chłopak.

— Chciałbyś, żebym trząśniętym ze strachu czy płakał z żalu?

Zajęci rozmową, nie zwróciliśmy uwagi na odgłosy z przedpokoju. Obróciliśmy głowy dopiero w chwili, kiedy Michał zatrzymał się przy drzwiach.

— Po twojej minie widzę, że wiesz? — zagadnąłem go.

— Tak, wiem... I dlatego przyszedłem... To straszne...

— Od kogo dowiedziałeś się?

— W całej kamienicy aż huczy. O niczym innym nie mówią.

— Siostra też już wie?

— Jeszcze nie, bo wyszła o świcie i dotąd nie wróciła.

— Wejdz na chwilę, skoro już jesteś.

Michał ruszył z miejsca i zajął jeden z foteli.

— Jak to się stało? — zapytał ściszone głosem.

— Został zabity w nocy. Urządziliśmy w mieszkaniu Bergmana zasadzkę w przewidywaniu, że wróci. Istotnie tak się stało, ale udało mu się zaskoczyć Gnata.

— Jak zginął?

— Pchnięto go nożem.

— Co macie zamiar teraz robić? Czy jest nadzieja, że złapiecie Bergmana?

Wzruszyłem ramionami.

— Teraz prawie żadnej. Chyba że nadal zechce uprawiać swój proceder. Wtedy może uda się go przyłapać.

Michał skinął głową.

— Ale stąd wiosek, że posterunek w ruinach musicie utrzymać...

— Oczywiście. Ten posterunek — to nasz prosiak na sznurku. A i karabin gdzieś tam musi być. Powinien wrócić chociażby po to, aby go zabrać. Ale ponieważ zdobył pistolet Gnata, zagrożenie wartownika wzrosło bardzo.

Wkrótce po wyjściu Michała przybycie nowego gościa poprzedziło pukanie do drzwi. Po zapraszającym okrzyku Kruszyny rozległy się w przedpokoju kroki i na progu salonu ukazała się Kabulska. Trzymała w rękach dwie spore paczki i uśmiechała się z zakłopotaniem. Kruszyna podszedł do niej.

— Czemu zawdzięczamy zaszczyt tych odwiedzin?

— Przyniosłam panom nieco żywności — powiedziała to z ożywieniem. — Zrobiłam to bez wiedzy męża, ale przyszło mi na myśl, że może panowie głodujecie, więc...

— Serdeczne dzięki. — Kruszyna przyjął paczki. — Proszę, może zechce pani dotrzymać nam towarzystwa — zmusił się do uśmiechu, którym starał się zamaskować przygnębienie. — Kobieta, i do tego tak urocza, to do prawdy dar losu. Przedstawię pani swych towarzyszy...

Po dokonanej prezentacji Kabulska z wdziękiem osunęła się na podsunięty przez Świergota fotel.

— Przydałaby się wam kobieca ręka — stwierdziła rozglądając się dokoła. — Typowo męska gospodarka...

— Bardzo by się przydała — zgodził się Kruszyna odkładając paczki. — A może pani zechce zostać z nami?

Kobieta roześmiała się, ukazując nieskazitelną biel zębów i pogroziła mu palcem.

— Nie kuś, szatanie... — Nagle spowaźniała. — Sądzę, że powinnam przede wszystkim złożyć wam kondolencje z powodu śmierci towarzysza. Dowiedziałam się o tym po drodze. Podobno zginął w mieszkaniu Bergmana, czy to prawda?

— Ciekaw jestem, skąd ludzie wiedzą nawet takie szczegóły? — zapytałem wolno. — Kto pani to powiedział?

— Znajoma, która mieszka pod Bergmanem.

— Skąd ona to wie?

— Podobno byliście tam. Być może uchyliła drzwi i słyszała jakiś urywek rozmowy.

Zamieniłem krótkie spojrzenie z Kruszyną.

— Może coś mówiliśmy — powiedziałem obojętnie. A przy okazji tego daru chciała pani zasięgnąć informacji u źródła?

Kabulska zwróciła na mnie spojrzenie wielkich, ciemnych oczu.

— Dzawi pana kobieca ciekawość?

— A więc szczerłość za szczerłość. Tak, to prawda, nasz towarzysz został zabity w mieszkaniu Bergmana. Początkowo mieliśmy zamiar wyjaśnić tę śmierć zabłąkaną kulą, aby nie wzniecać w kamienicy paniki. Ale skoro już wiadomo, gdzie i jak to się stało, wersji tej nie da się utrzymać.

— Czy... Czy to Bergman go zabił?

— Ma pani wątpliwości?

— Może i tak... Dlaczego miałby to zrobić?

— Chcielibyśmy bardzo to wiedzieć.

— A więc nie złapaliście go?

Zamiast odpowiedzi zaprzeczyłem głową. Mimo że gest ten nie zachęcał do dalszych pytań, Kabulska nie dała za wygraną.

— Jak to się stało, że morderstwo zostało popełnione w mieszkaniu Bergmana? Czy wasz towarzysz został tam zwabiony?

Spróbowałem uśmiechnąć się.

— Cóż za dociekliwość. Zainteresowanie godne sędziego śledczego.

— Proszę się nie dziwić. To przecież znów morderstwo. Przerażające. Przysięgłam sobie, że nie wysunę z mieszkania nosa po zmroku. A pan zamiast mnie uspokoić, kpi sobie z mego strachu — dorzuciła z lekkim dąsem.

— Sami jesteśmy wstrząśnięci.

Kabulska siedziała chwilę w milczeniu, obserwując swoje splecione dłonie. Raptem uniosła głowę.

— Czy jesteście pewni, że stało się to w mieszkaniu Bergmana? — Zadała nieoczekiwane pytanie.

Spojrzałem na nią ze zdumieniem.

— Gdzież mogło by to się stać, skoro tam znaleźliśmy zwłoki?

— Zupełnie nie mogę uwierzyć, że Bergman jest mordercą. Znalіśmy go nieco. Oczywiście, niezbyt blisko, bo plotki, że jest volksdeutschem dotarły i do nas. A mimo to mogę przysiąc, że nie jest do tego zdolny.

— W jaki sposób inny sprawca mógłby dostać się do obcego mieszkania?

— Może wasz kolega czekał na Bergmana, a drzwi były otwarte? Lub został zabity na schodach, a potem morderca zwłoki wciągnął do środka?

— To są wersje zbyt naciągane. Dlaczego zatem Bergman uciekł z domu? Musi pani postarać się o nową koncepcję, chcąc bronić go nadal.

Kobieta przez chwilę patrzyła mi w twarz szeroko rozwartymi oczami. Nie mogłem nie dostrzec, że były to piękne oczy, o fascynującym wyrazie.

— Ależ ja wcale nie mam zamiaru go bronić. Przecież to człowiek, którego prawie nie znam. Po prostu rozważałam, jak się to mogło stać.

— Wykluczając osobę najbardziej podejrzaną?

— Wcale nie jestem tego taka pewna, zważywszy na inne możliwości...

— Inne możliwości? Kogo pani ma na myśli?

— Różnych ludzi, którzy tu się kręcą. A zwłaszcza pewnego jegomościa, o którym wiele dałoby się powiedzieć...

— Może go znamy? Kto to taki?

— Jeśli nie znacie, to źle, bo od niego trzeba zacząć poszukiwania sprawy.

— Mówi pani z dużym przekonaniem, ale wciąż nie wiem, o kogo chodzi.

— Zna pan niejakiego Łozę? Zamieszkał tu nie tak dawno.

— Owszem, znam. Ale nie chciałbym jednak wyrażać sobie opinii na podstawie ogólników czy cudzych powierzchownych obserwacji.

— Moje obserwacje nie są powierzchowne, ale zatrzymam je raczej dla siebie.

— Sądziłem, że chciała pani podzielić się nimi.

— Może... Ale boję się...

— A więc doprawdy uważa pani, że jest on aż tak niebezpieczny?

— Jestem tego pewna.

— Skoro jednak wymieniła już pani jego nazwisko?

Kabulska zastanowiła się przez chwilę.

— A więc dobrze. Miało to miejsce parę dni przed waszym przybyciem. Byłam zajęta porządkami w szopie, kiedy raptem usłyszałam za ścianą strzępy rozmowy. Nie zwróciłam na nią uwagi, gdyby nie to, że prowadzona była w języku niemieckim. Zaciekawilo mnie, kto może posługiwać się tym językiem. Przynęłam się więc do ściany i, wykorzystując dziurę po sęku, wyjrzałam na zewnątrz. W polu widzenia dostrzegłam wyraźnie Łozę, natomiast jego rozmówca stał nieco z boku i nie był widoczny. W pewnej chwili dostrzegłam tylko jego rękę, która podawała Łozie rewolwer.

— O czym mówili?

— Niestety, nie znam niemieckiego, więc nic z tej rozmowy nie mogłam zrozumieć.

— Czy ręka podająca pistolet była ręką mężczyzny, czy kobiety?

— Mężczyzny. Zresztą tak jak i głos, chociaż rozmawiali niezbyt głośno.

— Szkoda, że nie zna pani niemieckiego.

— Ale sam fakt takiej rozmowy wystarczy, aby wyrobić sobie sąd o panu Łozie. Teraz nie będzie pan chyba się dziwił, że szukam innych rozwiązań wypadku... Jak i temu, że się go boję... — dorzuciła unosząc się z fotela.

— Może jeszcze chwileczkę, proszę pani — wstrzymałem ją: — Korzystając z pani życzliwego nastawienia, chciałbym zadać jeszcze parę pytań. Jako dawna lokatorka tego domu zna pani lepiej jego mieszkańców niż my...

— Chyba tak... A o kogo panu chodzi?

— Chciałbym usłyszeć pani opinię o Hulewiczu. Czy pani go zna? Mieszka drzwi w drzwi z Łozą.

Kabulska zastanawiała się przez chwilę.

— Hulewicz... Hulewicz.. Aha, to ten fabrykant zabawek! Znam go jedynie z widzenia, bo nieomal codziennie spotykamy się przecież w piwnicach. Podobno to spokojny człowiek, który stara się nikomu nie wchodzić w drogę.

— Zatem nic bliższego nie może pani o nim powiedzieć?

— Niestety, nie — Kabulska wstała. — Muszę już iść, bo mąż zacznie się wypytywać, gdzie tak długo siedziałam.

— Nie wątpię, że da pani sobie z nim radę. A za żywność i informacje składam podziękowanie.

Po wyjściu gościa spojrzeliśmy z Kruszyną po sobie.

— Nowy kamyczek do łamigłówki — odezwał się Kruszyna. — Obraz staje się coraz pełniejszy.

— Tak. Uraczyła nas bzdurnymi pomysłami, ale i mocno podbudowała naszą opinię o panu Łozie. Wiem już prawdę o tym pistolecie. Kolekcjoner, psiakrew!

— Zobaczmy, co nam przyniosła? — wtrącił z zacięciem Świergot, zaglądając do paczek. — Mąka i groch! A więc na szczęście nie kasza!

— Cena za zaspokojenie ciekawości — uśmiechnąłem się.

— I podzielenie się wiadomościami, co jak wiadomo jest babską pasją — uzupełnił Kruszyna.

Były to jednak tylko przypuszczenia, bo istotny sens tych odwiedzin, bardzo różnych od naszych domysłów zrozumieliśmy znacznie później.

### **Piątek — po południu**

Pogrzeb Gnata odbył się po południu. Znów w milczeniu wyrzucaliśmy łopatami żółty piasek, znów z zaciętymi twarzami opuszczaliśmy na sznurach zbitą byle jak skrzynię ze zwłokami następnego towarzysza. Milcząca grupa ludzi towarzyszyła ceremonii, a nieznany ksiądz kreślił w powietrzu znaki krzyża szepcząc słowa łacińskiej modlitwy.

A potem jedna tylko salwa, bo amunicja była na wagę złota, i pozostawiliśmy drugą mogiłę na podwórku przy-padkowej kamienicy, którą jako kres drogi wyznaczył zabitemu wojenny los.

Wśród zebranych dostrzegłem mizerną twarzyczkę Maruty. Kiedy zetknąłem się z nią wzrokiem, zauważyłem wyraz popłochu w jej oczach. Myśl o tym, nie opuściła mnie już do końca ceremonii. Kiedy więc krzyż z dwóch desek został już wbity u szczytu mogiły, rozejrzałem się, by odszukać dziewczynę.

Stała w pobliżu krzaków w towarzystwie Łozy, który nachylony nad nią, o czymś z ożywieniem mówił. Na ten widok ściągnąłem brwi i ruszyłem ku nim.

Byłbym może i dał wyraz nurtującym mnie uczuciom, mimo że miejsce i pora były nieodpowiednie ku, temu, gdybym nie usłyszał za sobą cichego głosu. Odwróciłem się gwałtownie. Dostrzegłem przed sobą długi nos i parę

niecو wypukłych oczu Hulewicza spoglądających na mnie porozumiewawczo.

— Niech się pan opanuje — rzucił szeptem — nie powinien widzieć, co pan o nim myśli...

— Był pan na pogrzebie? — zdziwiłem się, zaskoczony jego spostrzegawczością. — Nie widziałem pana.

— Stałem nieco w tyle, za plecami innych. Okropny wypadek. Proszę przyjąć wyrazy współczucia... Byłem wstrząśnięty, kiedy dowiedziałem się o tym nowym dramacie...

— Dziękuję — rzuciłem krótko, jeszcze wzburzony, a jednocześnie zniecierpliwiony zwłoką. — Muszę pana przeprosić, bo chciałbym zamienić parę słów z Łozą...

— Jeszcze chwileczkę. — Hulewicz przytrzymał mnie za rękaw. — Właśnie chcę panu coś o nim powiedzieć. Na pewno szuka pan dowodu, wyraźnego dowodu? Jeśli tak, obiecuję go panu dostarczyć.

— Pan? — Zdziwiłem się, przenosząc spojrzenie z rozmawiającej pary na twarz Hulewicza.

— Tak. Na razie nic więcej panu nie powiem. Ale z chwilą, kiedy już ten dowód będę miał, zawieszę w swoim oknie ręcznik. Proszę wówczas do mnie zajść. Teraz nie przeszkadzam, bo wolę, aby nie dostrzeżono naszej rozmowy.

Cofnął się i przyłączył do grupy odchodzących osób.

Ta krótka wymiana zdań pozwoliła mi na opanowanie się. Byłem zaskoczony inicjatywą Hulewicza i zaintrygowany jego obietnicą. Wszystko zdawało się wskazywać, że sprawa zbliża się do ostatecznego wyjaśnienia.

Maruta na mój widok przerwała rozmowę i podeszła z wyciągniętą ręką.

— Andrzeju... Jakże mi żal... Jak strasznie żal tego chłopca... Nie potrafię ci opisać, co czułam, kiedy dowiedziałam się o jego śmierci. Jeszcze teraz jestem głęboko wstrząśnięta... Kochany Gnat...



Poczułem, jak gwałtowny kurcz łapie mnie za gardło, ale zdołałem opanować wzruszenie.

— Dziękuję ci, Maruto. — odpowiedziałem spokojnie.

Ta ujęła moją dłoń w obie ręce i patrzyła mi w twarz oczami pełnymi łez. Tylko na chwilę utonąłem spojrzeniem w jej oczach. Potem wolno oswobodziłem rękę z uścisku dziewczyny i odsunąwszy ją z lekka na bok, postąpiłem ku Łozie.

Staliśmy chwilę naprzeciw siebie mierząc się wzrokiem. Na twarzy Łozy tym razem nie było kpiącego uśmiechu, jego ściągnięte rysy nie zdradzały właściwie żadnych uczuć. Była to maska, która mogła kryć zarówno lekceważenie, jak współczucie lub strach. Jedyne czujny wyraz oczu zdradzał wewnętrzne napięcie.

— No i co, panie Łoza — przerwałem pierwszy milczenie — nowy sukces mordercy? Nieprawda?

— Ma pan na myśli Bergmana?

— Mam na myśli mordercę.

Łoza na moment uniósł brwi.

— Czy to nie to samo?

— Chyba nie. Ta zasadzka to był pański pomysł.

— Andrzej — rozległ się okrzyk Maruty, która przysłuchiwała się tej krótkiej wymianie zdań. — Jak możesz?!

Zwróciłem ku niej głowę.

— Nie wtrącaj się. Wiem, co mówię!

— Nie jestem tego taki pewny — przez twarz Łozy przewinął się cień ironicznego uśmiechu.

— Nie stawiaj się. — Teraz wolno odmierzałem słowa. — Dostanę cię, a kiedy to nastąpi, podziurawię kulami na sito.

— Jedna wystarczy.

Tym razem kpiący uśmiech już pozostał na twarzy Łozy i wtedy, gdy dziewczyna wybuchnęła potokiem słów.

— Andrzeju, co ty wygadujesz?! Co za straszne nieporozumienie. Czy ty doprawdy myślisz, że to Nik? Błagam cię, opamiętaj się. — Złapała obu rękami moje ramię. — Przecież to zupełny nonsens! Jak możesz oskarżać go o taką okropność. Rozumiem, co czujesz, ale nie wolno ci tracić rozsądku! Jak możesz przypuszczać, że Nik byłby zdolny do morderstwa?!

— Ma pan żarliwego obrońcę — wycodziłem przez zęby, patrząc na dziewczynę. — Ale to już nic panu nie pomoże...

Dostrzegłem na twarzy Maruty raptowny wyraz przerażenia, a potem, kiedy spotkaliśmy się wzrokiem, ujrzałem ze zdumieniem, jak przerażenie to znika, a w oczach jej ukazują się ciepły blask, który przyspieszył rytm mojego serca.

### **Piątek — wieczór i noc**

I znów musiałem udać się do dowództwa odcinka z kolejnym meldunkiem. Jednak, wbrew moim obawom, Garda nie nakazał opuszczenia kwatery. Wysłuchał spokojnie mojej relacji, i to tak dalece spokojnie, że w pewnej chwili poczułem się dotknięty jego zrównoważeniem, potem zaś naszła mnie myśl, że o śmierci Gnata dowiedział się już skądinąd. Może Maruta zdążyła mu udzielić informacji?

Zadał mi zaledwie parę pytań dotyczących moich podejrzeń, a kiedy udzieliłem mu na wszystkie wyczerpującej odpowiedzi, polecił trzymać nadal — z zachowaniem maksymalnej czułości — warty w ruinach, podkreślając z naciskiem, że jest to obecnie nasze główne zadanie. Jednocześnie powrócił do sprawy, którą poruszył w środę podczas mego pierwszego meldunku i zapowiedział, że zapewne uda mu się skierować do nas oficera kontrwywiadu, o czym w razie potrzeby zostaną powiadomiony.

Wszystko to było dość mgliste, toteż odmeldowałem się z wrażeniem, że ani sytuacja nie została wyczerpująco omówiona, ani rozkazy sprecyzowane dostatecznie ściśle. Zrozumiałem, że Garda chowa coś w zanadrzu, o czym nie uważał za wskazane mówić ze mną.

Z niecierpliwością oczekiwałem zmroku i przybycia Knszyny, który objął popołudniową wartę. Chciałem z nim dokładniej omówić nieoczekiwaną zapowiedź Hulewicza. Obiecywała ona zbyt wiele, by nie budzić wątpliwości i obaw.

Wreszcie kiedy zapalałem już świecę, usłyszałem na schodach ciężki stuk żołnierskich butów i po chwili zjawił się oczekiwany.

— Uff.!! Czuję się jak po powrocie do domu — powiedział zdjąwszy hełm i przecierając czoło wierzchem dłoni. — Jest coś nowego?

Powtórzyłem mu przebieg rozmowy z Hulewiczem.

— Hm... ciekawe. — Mruknął po chwili milczenia. — Skąd u tego faceta taka zawziętość przeciw Łozie? Wygląda to trochę podejrzanie.

— Przyznam, że zbyt ino to nie interesuje. Natomiast znacznie więcej jego obietnica.

Kruszyna pominął moją uwagę milczeniem.

— Co tam, chłopie, masz na ząb? — Zwrócił się do Świergota.

— Zawziętości nie zauważyłem — podjąłem temat, nieco zawiedziony jego obojętnością — raczej chęć udzielenia nam pomocy. Ale przecież to rozumiałe, zważywszy, o co tu chodzi.

Kruszyna obrzucił mnie krótkim spojrzeniem i ziewnął.

— Miałem dość czasu na myślenie — rzucił od niechcenia — i to zapewne było powodem, że zaczęły mnie nachodzić znów obawy, o których już ci, zdaje się, mówiłem... Wtedy, w mieszkaniu Bergmana... Urwał zwracając się do Świergota, który podał mu pełną menażkę: — Dziękuję ci, mały...

— Nie przypominam sobie. Mówiliśmy wtedy o wielu rzeczach.

— Między innymi o naszym braku doświadczenia w pracy śledczej i możliwościach innych rozwiązań. Czym powodowała się na przykład taka Kabulska? Czy naprawdę tylko chęcią udzielenia nam pomocy? A może zupełnie coś innego spowodowało jej wizytę?

— A Hulewicz? Bez pewności dotrzymania obietnicy nie zapowiadałby chyba dostarczenia dowodów.

— Dlaczego ten dowód dopiero musi zdobywać? — odezwał się Bicz. — Albo się go ma, albo nie!

— Otóż to — podchwycił Kruszyna. — W zdobywaniu istnieje moment ryzyka, dlatego więc z taką pewnością obiecuje, skoro go jeszcze nie ma?

— Zobaczmy, co to będzie za dowód. Może wyjaśni nasze obecne wątpliwości. Faktem jest jednak, że cienie wokół Łozy zaczynają gęstnieć. Dziś, po pogrzebie Gnata, wygarnąłem mu zresztą, co o nim myślę.

— Wygarnąłeś? — Kruszyna uniósł głowę znad mezałki. — Coś mu powiedział?

W paru słowach streściłem rozmowę. Kruszyna pokręcił głową.

— Lepiej było nie okazywać wrogości, bo to utrudni nam kontakt. A im bardziej jest podejrzany, tym lepiej byłoby od czasu do czasu z nim pogadać.

Przypomniałem sobie, co było istotną przyczyną mego rozdrażnienia, i nic już nie powiedziałem.

— Jeśli to był Łoza, to dlaczego, mając pistolet, użył noża? — Tym razem Świergot włączył się do rozmowy. — Czy nie wskazuje to, że sprawcą raczej był Bergman?

— Raczej wskazuje — zgodził się Kruszyna. — Ale Łoza mógł obawiać się, że strzał obudzi sąsiadów. W dzień strzelaninę słyszać nieomal bez przerwy, w nocy panuje jednak cisza.

— Jak dotąd warty w ruinach nic nam nie dały — powiedziałem, poprawiając świecę. — Ale nie zamierzam

poniechać tego trudu. Pojawia się jednak nowe zadanie — obserwacja Łozy. W dzień jest to niewykonalne, ale dobrze byłoby wiedzieć, czy nadal nie odbywa jakichś spotkań nocą.

Kruszyna skinął głową.

— Trzeba znaleźć na podwórku odpowiednią kryjówkę.

— Ja wiem gdzie — rzucił Świergot. — Niedaleko klatki schodowej Łozy stoi skrzynia na narzędzia. Jest tam dobry kąt do ukrycia się. Zmieszczę się w nim...

— Dobrze — zgodziłem się — możesz iść, ale nieco później, bo jeszcze za wcześnie na nocne eskapady. Gdybyś go dostrzegł, melduj natychmiast. Żadnej akcji na własną rękę. No, i nie zaśnij! — Nałożyłem hełm i poprawiłem pistolet za pasem. — Idę na dół. Jak wrócę, będziesz mógł ruszyć — zakończyłem instrukcję dla Świergota.

Po zejściu na dół zatrzymałem się przed drzwiami i rozejrzałem dookoła. Na ciemnym tle nieba z wolna przesuwały się białe smugi światła. To opadały w dół, to pięły się ku górze, uciekały od siebie, potem zbliżały się i krzyżowały, by znów myszkować po kopule nieba bezgłośnie i cierpliwie.

Panował spokój, podwórze było puste. Głębokie cienie leżały pod ścianami kamienicy, a linia krzaków czerniła postrzępionym pasem. Ponad nią sterczały mroczne kopuły drzew, a dach szopy biegł równą linią, tym ostrzej widoczną, że pulsowała za nią czerwona luna jakiegoś pożaru. Pozostałe tu i ówdzie szyby migotały nikłymi odbłaskami światła reflektorów.

Jedynie uparte terkotanie kukuruźnika, który krążył gdzieś w pobliżu, zakłócało ten pozorny spokój.

Chciałem w samotności przemyśleć całą sytuację. Skierowałem się więc ku ławce. Była niewidoczna, gdyż krył ją mrok zalegający pod drzewami.

Zbliżając się do ławki usłyszałem w ciemności urywane, ciche pochlipywanie. Zaintrygowany, przystanąłem na

chwilę, po czym nie tłumiąc kroków, ruszyłem przed siebie.

— Kto tam? — rozległo się wystraszone pytanie. Od razu poznałem ten jedyny na świecie głos.

— Maruta? — rzuciłem zdumiony. — Co tu robisz?

Chciała zerwać się na nogi, ale siadając przytrzymałem ją za ramię.

— Zostań. Musisz mi wyjaśnić, co znaczy ta samotność i ten płacz, który słyszałem przed chwilą.

Ukryła twarz w dłoniach i nadal cicho płakała.

— O co chodzi, kochanie, mów... — przynagliłem ją.

— Nie mogę... nie mogę dać sobie rady... — szepnęła nie unosząc głowy. — Wszystko tak się zagmatwało... Nie wiem jak mam postąpić... żeby... żeby nie...

— Mów szczerze, może wspólnie znajdziemy wyjście.

Zamiast odpowiedzi płacz wzmógł się jeszcze bardziej.

Objąłem ją ramieniem, tak jak robiłem to kiedyś, i przyciągnąłem do siebie. Byłem przygotowany na opór, ale ze zdumieniem pełnym szczęścia przekonałem się, że dziewczyna nie protestuje. Przyłgnęła do mnie ulegle i miękko. Fala nadziei wypełniła mi serce. Zacząłem jej szeptać słowa rwące się i nabrzmiałe wzruszeniem, których teraz już nie potrafiłbym powtórzyć.

Kiedy zaś przerwałem na chwilę zatapiając usta w jej włosach, usłyszałem ciche słowa:

— Andrzeju... Ja chyba byłam szalona... bo... bo...

— Czemu, najdroższa?

— Po tym wszystkim, co ci powiedziałam, jak po .. stępowałam, tak mi trudno się odnaleźć... Nie mogę sobie poradzić sama z sobą. Zachowałam się tak głupio, teraz dopiero widzę...

— Kiedy to zrozumiałaś

— Po pogrzebie Gnata. W jednej krótkiej chwili, w czasie tego incydentu z Nikiem. Raptem ujrzałam prawdę i...

— I..?

— I przeraziłam się...

— Przeraziłaś się? Czy ta prawda była tak straszna?

— Nie o to chodzi. Ta prawda miała dwie twarze. Jedną to było odkrycie że... no, że... — urwała na chwilę, a potem dorzuciła z nagłą stanowczością — że myliłam się co do swoich uczuć. — Drugą było uświadomienie sobie, że możesz — wbrew memu najgłębszemu przekonaniu — mieć rację. Ostatecznie Nika poznałam przecież nie tak dawno i niewiele o nim wiem.

— Czy... czy cieszył się twymi względami? — zapytałam z determinacją.

— Och, to było tylko takie zaczadzenie... Zresztą nie chcę o tym mówić. Ale kiedy uświadomiłam sobie to wszystko, doznałam zawrotu głowy, jakby raptem znalazła się nad przepaścią.

Wzmogłem uścisk ramienia.

— Nie bój się, nie pozwolę, abyś w nią wpadła. Skoro nie chcesz, nie mówmy już o tym. Wystarczy, że mam cię w ramionach.

— Wystarczy? — Uniosła lekko głowę i zerknęła na mnie.

Istotnie nie wystarczyło. Uniesiony szczęściem, schyliłem się, szukając jej ust. Podała mi je sama i czas przestał istnieć. I lata rozłąki, i ból utraty.

Potem siedzieliśmy dłuższą chwilę bez słowa, jedno przy drugim, wpatrzeni w noc i wsłuchani w dźwięk krążącego ciągle, gdzieś w pobliżu kukuruźnika.

Wyrwał nas ze świata wzruszeń przywracając do ponurej, realnej rzeczywistości, obraz, jaki ujrzeliśmy.

Dwa ruchliwe białe kliny raptem złapały w swój zasięg srebrną małą muszkę. Muszka starała się wyrwać z pułapki, by skryć się w zbawczych ciemnościach. Opadała w dół, pięła się ku górze, ukazując wówczas sztywno rozpostarte skrzydła, to ślizgami spływała na boki. Usiłowania te jednak były daremne. Do dwóch smug wkrótce dołączyła się i trzecia, potem czwarta. Jednocześnie pobiegły w górę kolorowe paciorki.

Poczułem współczucie dla tego człowieka w dali, który walczył pod ciemną kopułą nieba o życie, usiłując wyrwać samolot ze światła niosącego mu zgubę.

Przyglądaliśmy się temu z zapartym tchem i gorącym pragnieniem, by radziecki pilot wyratował się z opresji. Kolorowe pociski biegły jeden za drugim już z paru stron, a srebrna muszka dalej tańczyła w prześladowających ją światłach. Aż w pewnej chwili samolot, jakby ściągnięty niewidoczną nicią, opadał w dół, przekroczył granicę ciemności i zniknął w czerni nocy. Światła rozerwały się i zaczęły szybko, ale na szczęście bezskutecznie przeszukiwać niebo w pogoni za zbiegiem.

Maruta przerwała milczenie.

— Pozostał mi jeszcze jeden powód do zmartwienia — odezwała się z wahaniem. — Mówiłam już o tym z Nikiem.

— Może to wystarczy? — zachnąłem się.

— Andrzej, zrozum mnie — szepnęła. — Odrzucając twoje uczucia, nie mogłam przecież obarczać się jednocześnie swoimi troskami. A potrzebna mi była rada i nieco pokrzepienia.

— I u niego szukałaś pociechy? No, ale mniejsza z tym. Nie będę już okazywał zazdrości, co nie znaczy, że się jej pozbędę. Czym się martwisz?

— Stanem Michała. Obawiam się... Wydaje mi się, że przechodzi on jakiś kryzys. Ostatnio ciągle jest podniecony, a w pewnych momentach zachowuje się wręcz niepokojąco. On się czegoś boi.

Przypomniało mi się opowiadanie chłopaka, toteż odpowiedziałem:

— Może i wiem czego. Przypuszcza, że stanie się kolejną ofiarą zamachu.

— Tak sądzisz? Zatem stąd pochodzi to jego zainteresowanie bronią. Zainteresowanie i wprost maniacka chęć jej posiadania.

— Stąd albo też z powodu fizycznej ułomności. Chce w ten sposób wyrównać szanse. Walka, którą toczy,...



mogła jeszcze bardziej zaostrzyć jego rozgoryczenie, bo nie może wziąć w niej udziału. A wiem, jak bardzo by tego pragnął. Ale skąd doszłaś do przekonania, że jest w strachu?

— Wczoraj, wracając od was, weszłam do mieszkania dość cicho. Skierowałam się do kuchni i zastałam tam Michała. Stał przy kuchennym stole, obrócony plecami do drzwi. Musiał usłyszeć moje kroki w ostatniej chwili, bo obrócił się gwałtownie i przeraził mnie wyrazem swojej twarzy. Był w niej nieomal zwierzęcy strach, a w oczach dzika nienawiść. To było okropne... Jeszcze teraz, kiedy o tym opowiadam, robi mi się zimno.

— A potem, jak już cię poznał?

— Rysy twarzy przybrały normalny wyraz, ale we wzroku była jakaś pustka... Obrócił spojrzenie w bok i powiedział tylko z jakimś bezradnym uśmiechem: „Ach, to ty”...

— Czy nie starałaś się wyjaśnić, dlaczego tak się przestraszył?

— Owszem, ale nie od razu. Najpierw rozmawialiśmy o drobiazgach, potem, jak zwykle ostatnio, zaczęliśmy rozważać różne zdarzenia dotyczące sprawy, zwłaszcza te z okresu po ucieczce Bergmana. Pomysł Łoży, dotyczący zasadzki w jego mieszkaniu, Michał uznał za świetny. Oczywiście nie przypuszczał, jak się to skończy. Potem dopiero poruszyłam sprawę jego zachowania się w chwili mego wejścia. I słowo po słowie wyciągnęłam z niego opis zdarzenia, które przeżył.

— Co to za zdarzenie?

— Oto co mi opowiedział. Parę dni temu obudził się jak zwykle. W pokoju było pełno słońca. Wstał zaraz i przechodząc koło lustra mimo woli rzucił spojrzenie na jego powierzchnię. Była w nim twarz, ale nie miała jego rysów... Zobaczył skośne oczy, wielki zagięty ku dołowi nos i wykrzywione w obleśnym uśmiechu usta. Poznał maskę... Tę maskę ze ściany. To jej rysy przybrała jego twarz. Przeraził się okropnie. W pierwszej chwili zdawało

mu się, że to złudzenie, że mu się to wszystko śni albo że to odbicie samej maski. Daremnie, miejsce, na którym wisi maska, jest niewidoczne w lustrze. A poza tym w lustrze zauważył i swoją postać. Próbował uśmiechnąć się inaczej, potem po prostu tylko zacisnąć usta, ale nie mógł... Spojrzał na ścianę, gdzie wisiała maska, i stwierdził, że miała ona jego rysy i jego spojrzenie... To jego twarz wisiała tam na ścianie. Potem raptem wszystko wróciło do normalnego stanu. Znow widział w lustrze siebie, tyle że z przerażeniem w oczach...

— Jak to skomentował?

— Stwierdzeniem, że długo już nie pożyje. Oświadczyłam, że maskę zabieram z jego pokoju. Nie protestował, ale błagał, bym jej nie niszczyła, bo to byłby i jego koniec. Ach, Andrzej, to wszystko jest naprawdę okropne. Tak boję się o Misia. I to nie z racji jego dramatycznych zapowiedzi, bo tego nie można brać poważnie, ile o...

— Zamilkła na chwilę, wreszcie podjęła z wahaniem: — Nie wiesz jeszcze wszystkiego ale: sądzę, że powinnam ci to powiedzieć. Otóż ojciec nasz odebrał sobie życie na tle zaburzenia umysłowego. Strasznie się boję, czy Michaś nie odziedziczył po nim skłonności do jakichś psychicznych załamania... Gdyby tak było... Wówczas... — głos jej ścichł. — Wówczas wszystko byłoby możliwe.

Świergot obudził nas o drugiej.

— Łoza przed chwilą wyszedł od siebie. Poszedł w stronę szopy — zameldował z podnieceniem.

W parę sekund byliśmy na nogach.

— Bicz i Świergot, staniecie na linii krzaków. Kruszyna, ze mną do szopy: — rzuciłem szybko rozkaz.

Zachowując ciszę zbiegliśmy na dół. Wkrótce Bicz i Świergot objęli wyznaczone posterunki, a ja z Kruszyną skierowaliśmy się ku szopie.

Po chwili przystanęliśmy, nasłuchując. Znikąd nie

dochodził najmniejszy szmer, wszystko trwało w ciemnościach i ciszy.

Zapaliłem latarkę, kierując jej światło pod nogi. Szukałem jakichś czas śladów, rozglądając się dokoła. Nie znalazłem ich, dostrzegłem natomiast nikły zarys ścieżki. Znaczyła ją nieco twardsza ziemia i uszkodzone dołem gałęzie. Będąc tu za dnia nie zwróciłem na to uwagi. Teraz ruszyłem tym śladem i dotarłem do węgła szopy, czując za sobą stąpającego cicho Kruszynę. Minąwszy węgiel znalazłem się przed zbitą ścianą zieleni obrastającej murek odgradzający następną posesję.

Ukryte wejście do szopy, z którego już korzystałem, musiało być gdzieś blisko. Znalazłem je po krótkim sprawdzeniu desek. Dwie z nich, wyglądające równie solidnie jak reszta, były jednak przybite tylko u góry. Wystarczyło rozchylić je, by powstała szpara umożliwiająca wślizgnięcie się do środka. Ślad ścieżki prowadził właśnie tutaj.

Zgasilem latarkę i bez namysłu pogрузyłem się w czerń wnętrza. Posłyszałem szelest munduru Kruszyny i brzęk automatu zawieszzonego na jego szyi.

Znów zaświeciłem latarkę. Z jednej strony szopy stały rzędy beczek, z drugiej piętrzyły się worki. Środek zajmowały skrzynie ustawione porządkie w wielki sześcian. Dookoła tej sterty skrzyń biegło wąskie przejście.

Ruszyliśmy tym przejściem. Światło sunęło po betonowej podłodze, ślizgało się po ścianach, myszkowało wśród beczek i worków, omiatało białym kołem belkowanie dachu, z którego zwisały festony pajęczyn.

Nigdzie nie było jednak poszukiwanego przez nas człowieka. Panowała zupełna cisza, najmniejszy szmer nie zdradzał czyjejkolwiek obecności.

— Nie ma tu nikogo — stwierdziłem półgłosem. — Ciekawe, gdzie się podział?

— Być może przedostał się przez ten niski mur na następną posesję.

— Trzeba będzie zbadać to za dnia. A zwłaszcza, czy nie prowadzi stąd przejście do kamienicy z balkonem.

Nie zachowując już zbytnej ostrożności, opuściliśmy szopę.

### **Sobota — rano**

Tego ranka kolejną wartę w ruinach znów objął Bicz. Reszta zajęła się porządkowaniem garderoby, czyszczeniem broni i innymi równie pożytecznymi czynnościami.

Rozmawiali wciąż na ten sam temat, poddając analizie wszystkie szczegóły sprawy i wysuwając różne, nie zawsze realne przypuszczenia i hipotezy.

Rozmowie tej towarzyszył terkot broni maszynowej i od czasu do czasu głucho detonacje wybuchających granatów.

— Gdzieś w pobliżu idzie akcja — westchnął Kruszyna. — Wolałbym raczej być tam. Przynajmniej wiadomo, czego się trzymać: gdzie nieprzyjaciel, a gdzie swoi...

Chciał jeszcze coś dodać, ale w tej chwili hałasy toczącej się bitwy zagłuszył przeraźliwy, piskliwy zgrzyt, po nim drugi, trzeci.

— Do schronu, kryć się! — krzyknąłem chwytając za hełm i automat.

— Do diabła! — zaklął Kruszyna. — Zostańmy tu...

— Jazda! — przynagliłem go, skacząc ku drzwiom. — Jeśli trafi tu, nie masz żadnych szans.

W chwili kiedy zbiegaliśmy ze schodów, pierwsze wybuchy min rzuciły nas o ścianę. Resztę drogi przebyliśmy, błądząc po omacku w kurzu i dymie.

Zatrzymaliśmy się przy drzwiach małej sionki, wyrzeliśmy na zewnątrz. Za naszymi plecami rozległy się krzyki kobiet i płacz dzieci. Kilka bab, wybijając się piskliwymi głosami z ogólnego lamentu, zaczęło zawodzić litanię.

Znów rozległy się zgrzyty, a w kilkanaście sekund potem seria nowych wybuchów targnęła powietrzem. Miny musiały rozrywać się gdzieś niedaleko, bo kamienica zadrgała, posypał się tynk i odpryski cegieł, a podwórko wypełniły kłęby wapiennego pyłu i czarnego, gryzącego dymu. Wśród tego tumanu przemykały sylwetki uciekających do piwnic.

— Wałą zupełnie blisko, gdzieś tam... — Kruszyna wskazał kierunek.

Nowa seria zgrzytów na chwilę jakby przydusiła piwniczny gwar. Nastąpił moment przyciszonego, pełnego przerażenia wyczekiwania, a potem, kiedy znów gwałtowny grzmot rozerwał tę ciszę, głosy modlących się kobiet zabrzmiały ze wzmożoną siłą.

Oparty ramieniem o futrynę drzwi, czułem wyraźnie drżenie muru, toteż zastanawiałem się, jak długo wytrzymają ten napór. Wystarczyłaby jedna seria nieco bliższa, by nikt z mieszkańców nie pozostał przy życiu, bo nie byłoby komu odgarniać zasypanych piwnic.

Gdzie jest Maruta? To pytanie nurtowało mnie teraz najbardziej. Czy zesłała na dół? Mówiła przecież, że poważnie tego nie robi.

— Zostań tu, pójdę poszukać Maruty — pełen niepokojem rzuciłem Kruszynie.

Przez piwniczne przejścia trudno się było przecisnąć. Na podłodze leżały posłania, stały walizy i torby, a ludzie skupiali się pod ścianami i przy filarach, w nadziei, że dają one lepszą osłonę. Niektóre z posłań zajęte były przez chorych, na innych leżały poowijane w koce niemowlęta. Dzieci, którym udało się wyrwać spod opieki matki, kręcili się wszędzie wzmagając zamieszanie.

Marutę znalazłem blisko przedsionka, w którym przebywaliśmy. Stała obok matki, która, siedząc pod ścianą, cicho modliła się z opuszczoną głową.

Na widok dziewczyny poczułem radość, która szybko jednak minęła. Na jej twarzy ujrzałem wyraz skrajnego

przygnębienia, które podkreślało wymizerowane rysy, gasiło blask oczu, a przy ustach kreśliło linię goryczy. Toteż ujmując jej dłoń, byłem pełen współczucia.

— Przecież ty ledwo trzymasz się na nogach — powiedziałem cicho. — Chodź, ulokowaliśmy się tuż przy wejściu, będziesz tam miała lepsze powietrze niż w tym zaduchu. Wyglądasz bardzo źle...

— Nic mi nie jest... — Uniosła na mnie oczy, a cień nikłego uśmiechu przemknął przez jej usta.

— Chodź. — Objąłem ją ramieniem. — Matka nawet nie zdaje sobie sprawy z twojej obecności. Ostrzał zapewne niedługo się skończy.

— Nie widziałeś Łozy? — spytał Kruszyna, kiedy przyłączyliśmy się do nich. — Nie było go z tobą? — zwrócił się z kolei do Maruty.

Potrząsnęła głową przeczącym ruchem.

— Nie widziałam go od rana.

— Pewnie odsypia zarwaną noc — rzucił kpiąco Świergot.

— Ale chyba teraz jest już na nogach...

— Dlaczego odnosicie się do niego z taką wrogością? — zaprotestowała dziewczyna, pomijając słowa Świergota, których nie rozumiała. — Traktujecie go jak przestępcę?

— Nie wiadomo, czy nim nie jest — mruknął Kruszyna. Wychylił się zza muru i spojrzał na podwórze, z którego spłynął już dym. — No, wracajmy, atak się skończył — przynaglił nas spoglądając w otwarte drzwi, gdzie znów widać było przeciwległą ścianę kamienicy oświetloną od góry słonecznym blaskiem, dołem mroczną od padającego cienia. Co odważniejsi mieszkańcy już zaczęli ukazywać się na podwórku.

Wyszliśmy i my, zatrzymując się u szczytu piwnicznych stopni.

— Andrzej... — dziewczyna zawahała się — wiem, że zależy wam na wykryciu sprawcy... Ale czy nie rozsądniej

byłoby zmienić kwaterę? Śmierć Gnata okropnie mną wstrząsnęła... Tak się boję, że to nie koniec...

— Wykluczone — powiedziałem ostrzej, niż zamierzałem. — Pozostaniemy tu, dopóki nie znajdziemy sprawcy.

— Andrzeju... — uniosła oczy pełne łez — proszę...

To było jak ugodzenie nożem. Czego się bała? Czy kolejnego morderstwa? A może wie więcej, niż powiedziała mi wczoraj, i chce ochronić sprawcę? Tylko kogo? Łozę...? Poczułem, że czoło pokrywa mi pot.

— Maruto, nie prosz... Nie prosz, bo nie wolno mi spełnić takiej prośby.

Już bez słowa odwróciła się ode mnie i z opuszczoną głową ruszyła przed siebie. Patrzyłem za nią z obawą. Kruszyna trącił mnie w ramię.

— Postąpiłeś, jak należało — rzucił półgłosem — inaczej nie mogłeś... A teraz weź się w garść i spojrz na okno Hulewicza!

Uniosłem wzrok we wskazanym kierunku. Na czarnym tle wnętrza pokoju, widocznego przez okno pozbawione szyb, białała plama ręcznika wiszącego na przeciągniętym sznurku. Lekki podmuch wiatru wydymał go niby żagiel.

### **Sobota — południe**

Bicz wrócił z posterunku wcześniej, niż powinien, i złożył mi meldunek z przebiegu warty w ruinach. Morderca nie poniechał działalności.

— Czas włócił się wolno — relacjonował Bicz — nachodziły mnie fale senności, bo było ciepło, a ja siedziałem względnie wygodnie, oparty plecami o ścianę.

Jak wiecie, wybrany przez nas punkt obserwacyjny, znajduje się w mieszkaniu położonym naprzeciw lokalu, który wzięliśmy pod uwagę. Obszerny hol przegradzała kiedyś ścianka, za którą znajdował się krótki korytarzyk, skąd prowadziły drzwi do sypialni i kuchni.

Natomiast obecnie ścianka ta jest częściowo zburzona. Pozostał po niej tylko metrowej wysokości kawałek muru. Ta pozostałość tworzy kąt, w którym odbywamy warty. Z tego schowka mamy w polu widzenia przestrzeń podestu i głębię holu przeciwległego mieszkania — jedyną drogę, którą może dostać się zabójca do swego balkonu.

Sypialnia nie ma innego wejścia, tylko to z korytarzyka. Z kuchni drugie drzwi prowadzą na schody służbowe, ale są one do połowy zawalone gruzem. Wystarczy więc przed objęciem posterunku zajrzeć do sypialni i kuchni, by zabezpieczyć się przed zaskoczeniem z tyłu. W suficie kuchni jest wprawdzie wielka wyrwa, ale bez drabiny lub sznura dostać się przez nią nie można, bo tak pole widzenia, jak i ewentualnego strzału zagradza ściana.

Na odcinku musiał panować spokój, bo nie było słychać wymiany strzałów, od czasu do czasu dochodziły jedynie z daleka wybuchy detonacji.

Schowany za murem, obserwowałem zza jego nierównej krawędzi leżący przede mną podest. Poprzez zerwany dach padał na niego skośny pas słońca, a za tym pasem czerniało wewnątrz przeciwległego holu. Mrok ten przecinały jasne smugi światła padającego na podłogę z bocznych pokoi. Nie wiadomo który już raz spojrzałem na zegarek. Dochodziła dwunasta, zbliżał się zatem koniec mojej warty. W chwilę potem usłyszałem zza kuchennej ściany odgłos spadającej z wysokości cegły. Zerwałem się na nogi i z automatem gotowym do strzału rzuciłem lustrujące spojrzenie za siebie, po czym ruszyłem ku drzwiom kuchni. Chwilę nasłuchiwałem pod nimi, ale odgłos się nie powtórzył. Panowała cisza. Z wolna, ostrożnie pociągnąłem ku sobie drzwi. Uchylały się bez hałasu, coraz szerzej ukazując wewnątrz. Nikogo tam jednak nie było. Żaden znak życia, najmniejszy szmer nie zdradzały czyjejs obecności. Mimo to z otworu w suficie zwisał sznurek z uwiązaną na końcu kartką papieru. Cegła zatem musiała spaść w chwili,



kiedy nieznamy osobnik opuszczał sznurek. Ostrożnie zbliżyłem się do kartki, nie spuszczać ani na moment wzroku z otworu w suficie. Zastanawiając się, czy cegła została potrącona przez nieuwagę, czy też ktoś umyślnie przywołał w ten sposób mnie do kartki, ująłem w dwa palce sznurek. Mogła to być pułapka zachęcająca do pociągnięcia za sznurek, toteż uniosłem go nieco, zanim zacząłem rozsupływać węzeł na kartce. Nic się jednak nie stało. Kiedy rozwinąłem papier ze zdumieniem stwierdziłem, że był niezapisany. Zwykła, kartka wyrwana z zeszytu nie zawierała ani słowa.

Nie zdążyłem jeszcze zastanowić się, co to może znaczyć, kiedy raptem usłyszałem za sobą szmer wywołany stąpaniem. Obróciłem się błyskawicznie i ujrzałem wsuwającą się w szczelinę uchylonych drzwi rękę z pistoletem. Odskokczyłem w bok jednocześnie z hukiem dwóch strzałów. Złały się nieomal w jeden grzmot, po którym usłyszałem gwizd rykoszetów. Jeszcze w skoku odpowiedziałem ogniem, ale mimo że przeorałem drzwi serią z automatu, nie udało mi się dosięgnąć napastnika. Doszedł mnie tylko przyciszony chichot, a potem zacichający szmer osuwających się spod stóp cegieł.

— Nie dostrzegłeś twarzy napastnika? — spytałem.

— Nie. Z tła ciemnej szczeliny wysunęła się tylko ręka z pistoletem. I był to steyer — pistolet Gnata.

— A więc jednak — mruknąłem.

— Ale wydaje mi się, że wiem, kto to był... — powiedział z wahaniem Bicz.

— I teraz dopiero to mówisz? — krzyknąłem ze złością. — Skąd wiesz?

— Po wymianie strzałów wypadłem na podest. Nikogo nie było, więc wychyliłem się przez poręcz i spojrzałem w dół. I o dwa piętra niżej mignęła mi na schodach szybko przemykająca się postać...

— Skończ z tymi szczegółami! — rzuciłem niecierpliwie. — Kogo dostrzegłeś?

— Nie mogę odpowiedzieć z całą pewnością, bo patrzyłem z góry, więc ani twarzy ani sylwetki nie widziałem. Ale dostrzegłem, i to zupełnie wyraźnie, blond czuprynę.

— A więc Łoza.

— I ja tak sobie pomyślałem — przyznał spokojnie Bicz.

— Tylko on jest blondynem. Bergman ma łysinę, Michał jest brunetem, Kabulski i Hulewicz to szatyni, a Poletko jeszcze chodzi z obandażowaną głową!

— Ograniczasz możliwości tylko do tych wymienionych.

— To, co już wiemy, chyba daje podstawę do takiego ograniczenia.

Bicz zastanawiał się przez chwilę.

— Ciekaw jestem, co miała znaczyć ta kartka papieru? — zapytał.

— Wabik na ciebie. Zmusił cię, byś rozsuptał sznurek i rozwinął papier, co dało mu czas, by zbiec piętro niżej i wśliznąć się do nie strzeżonego mieszkania.

### **Sobota — popołudnie**

Kruszyna zastukał powtórnie. Zza brązowej tafli drzwi nie dochodził jednak żaden odgłos. Spojrzeliśmy po sobie.

— Historia się powtarza — powiedziałem cicho. — Czyżby i on zniknął w chwili, kiedy jest tak bardzo potrzebny?

— Istnieje sto powodów, dla których mógł wyjść. Ręcznik zawiesił nie tak dawno.

— Ale zawieszając musiał się liczyć z naszym przybyciem.

— I czekać przy drzwiach? Nie przesadzaj.

Ze schodów zesliśmy w milczeniu.

— W takiej sytuacji jak nasza — powiedziałem — najmniejsza komplikacja jest niepokojąca. Nie mogę

pozbyć się obawy, że obiecany dowód przejdzie nam koło nosa. Musimy zaraz po obiedzie pójść jeszcze raz.

— Oby tylko nie wymknął się nam z rąk... — mruknął Kruszyna. — Nie podoba mi się ta, nieobecność. Dana obietnica mogła go narazić na niebezpieczeństwo.

— Morderca musiałby o tym wiedzieć. Jakim sposobem?

— Mamy do czynienia z wyjątkowo przebiegłym draniem...

Słońce już opadało, kładąc na asfalcie podwórka długie cienie, kiedy znów szliśmy do Hulewicza. Grupy osób stały przed drzwiami klatek schodowych, dzieląc się wiadomościami z radia lub zastyszczanymi plotkami. W ogródku pomiędzy mogiłami poległych gonili się dzieciaki.

Powodowani tą samą myślą, unieśliśmy głowy spoglądając w górę. Ręcznik wisiał na poprzednim miejscu i jakby przywoływał ku sobie.

Wkrótce, nieco zdyszani, zapukaliśmy do drzwi.

Ale, tak jak poprzednio, z mieszkania nie dochodził żaden odgłos.

— Do diabła — zakląłem. — Czyżby i on zwiął?

— Nie miał powodów — Kruszyna ponownie uderzył w drzwi.

— Nie hałasujmy. W mieszkaniu nikogo nie ma — zdecydowałem.

Kruszyna obrócił ku mnie głowę.

— Zatem co się z nim stało?

— Otóż to... Czyżby istotnie ta obietnica stała się przyczyną... — Urwałem raptownie, wpatrując się w deski podestu.

Kruszyna ze zdziwieniem spojrział na mnie.

— Co tam widzisz?

— Zobacz sam — wskazałem palcem — tym razem ślad prowadzi już wyraźnie.

Istotnie plamy jasnofioletowego pyłu ciągnęły się w krótkich odstępach ku drzwiom Łozy.

— No, teraz pogadamy sobie. Bicz nie omylił się! —  
Przekreśliłem uchwył dzwonka.

— O ile będzie u siebie — zauważył powątpiewająco  
Kruszyna. — Jakoś wszyscy potrzebni raptownie nam  
znikają...

To pesymistyczne przypuszczenie tym razem jednak  
nie sprawdziło się. W chwilę po dzwonku usłyszeliśmy za  
drzwiami kroki.

— Kto?

— Podchorąży Bitny.

— Zaraz. — Głos nie miał zbyt uprzejmego brzmie-  
nia.

Po przekroczeniu progu szybkim spojrzeniem zlustro-  
wałem podłogę. W przedpokoju było jednak za ciemno,  
żeby coś dostrzec.

Obok Łoży stał przy drzwiach Michał. Zaskoczony je-  
go obecnością, zmierzyłem go zdziwionym spojrzeniem,  
ale minąłem bez słowa.

Kiedy weszliśmy do pokoju, Łoza zatrzymał się przy  
drzwiach i obserwował nas milcząco wyczekująco. Skiero-  
wałem wzrok ku jego obuwiu.

We wgłębieniu, tuż nad wąskim brzegiem podeszwy,  
od razu dostrzegłem nalot fioletowego koloru. Z kolei  
przeniósłem wzrok na Kruszybę.

— Widzisz? — rzuciłem półgłosem.

Ten bez słowa skinął głową.

Teraz dopiero zwróciłem się do chłopca.

— A ty co tu robisz?

— Przyszedłem odwiedzić pana Łozę — odpowie-  
dział z lekkim uśmiechem. — Właśnie żegnałem się z nim,  
kiedyście tu przyszli.

— No, to pożegnaj, ale już na dobre, bo zapewne tak  
prędko go nie zobaczysz.

— Czyżby coś nowego?

— Ano tak. Ale to załatwimy tylko z nim, a ty zmy-  
kaj!

Łoza przysłuchiwał się tej wymianie zdań, przyglądając

się nam z uwagą. Odezwał się dopiero po moich ostatnich słowach.

— Byłoby lepiej, aby Michał został tutaj, i to z dość ważnych powodów.

— Pańskie powody mało mnie obchodzą. Przyszliśmy do pana, a właściwie po pana, panie Łoza.

Łoza wzruszył ramionami.

— Niech pan robi, co pan chce.

Chłopak stał z opuszczoną głową. Uniósł ją teraz i popatrzył mi w oczy.

— Dobrze, już idę — oświadczył posłusznie, a po chwili wahania dodał półgłosem: — Może pan zamknie za mną drzwi...?

Domyśliłem się sensu tych słów.

— Chodź.

Kiedy znaleźliśmy się w przedpokoju, usłyszałem przy uchu szept Michała.

— Ma pistolet Gnata. Widziałem, jak wsuwał go pod poduszkę...

Skinąłem mu głową i zatrzasnąłem za nim drzwi.

— Chcielibyśmy wiedzieć, co pan robił w popołudniowych godzinach, powiedzmy pomiędzy jedenastą a drugą? — zagailem po powrocie do pokoju. — Proszę o dokładne podanie czasu i miejsca.

— Odpowiedź na to pytanie nie jest tak łatwa, jakby się zdawało, a to dlatego, że właśnie wtedy kręciłem się tu i tam... I nie bardzo przypominam sobie, gdzie... — Zamilkł na chwilę. — Tak około jedenastej siedziałem na ławce w ogródku. Chyba z pół godziny, a może nawet nieco dłużej... Potem wróciłem do mieszkania i jakiś czas czytałem książkę, po czym znów zszedłem na dół i chwilę rozmawiałem z jakimiś malcami — i to już chyba była druga..

— Ta relacja niczego nie wyjaśnia, panie Łoza — stwierdziłem — bo nie wymienił pan w niej nikogo, kto mógłby potwierdzić pana obecność.

— Och, tacy na pewno by się znaleźli — rzucił lekko

Łoza. — Przecież jest oczywiste, że kręcąc się tu, spotykałem ludzi. Niestety, byli to nieznajomi.

Spojrzałem na Kruszyne, który stał obok, w milczeniu przysłuchując się rozmowie.

— I co ty na to?

Zagadnięty skrzywił się lekko.

— Nie wydaje mi się, aby sytuacja pana Łozy była zbyt korzystna.

— Nic na to nie mogę poradzić — odpowiedział ten ironicznie. — Podejrzewacie mnie i chcecie, żebym udowodnił, co robiłem w podanym czasie. Niestety, są z tym pewne trudności, co nie znaczy jednak, że byłem w tamtym domu.

— Znaczy, panie Łoza, znaczy! I bynajmniej nie opieram tego twierdzenia na pana wykrętnej odpowiedzi!

Łoza przeszedł przez pokój, potem nagle obrócił się do nas.

— Pana pewność siebie, panie podchorąży, jest miażdżąca. Na czymże ją pan opiera? — Ton głosu był nie mniej prowokacyjny niż słowa.

— Mogę to panu zdradzić, bo mała pułapka, którą zastawiliśmy, już spełniła swoje zadanie. Na pana butach znajduje się ślad kolorowego gipsu, który rozsypaliśmy w tamtych ruinach. A ponadto widziano tam pana.

Łoza uniósł brwi z wyrazem zaskoczenia na twarzy, potem opuścił głowę i przez chwilę oglądał podeszwy obuwia. Kiedy wyprostował się, miał na twarzy swój zwykły kpiący uśmiech.

— Nie posądzałem was o tyle sprytu. No cóż... W tych warunkach nie ma co kręcić. Istotnie byłem w ruinach, do czego wolałem się nie przyznawać.

Obniżyłem lufę automatu i skierowałem ją w stronę Łozy.

— Przynajmniej nie wyłgujesz się — powiedziałem twardo.

— Po co pan tam poszedł? — zabrał głos Kruszyna.

— Chciałem rozejrzeć się na miejscu w nadziei, że znajdę jakieś ślady.

— Skąd pan wiedział, gdzie ich szukać? Kamienica jest duża.

— Łoza jakby zmieszał się na moment.

— Mówiliście przecież, skąd sprawca strzelał — wyjaśnił ze zbyt akcentowaną swobodą.

— I znalazł pan coś?

— Nie, gdyż wypłoszyły mnie strzały. Wycofałem się więc czym prędzej, aby nie dostać zabłąkaną kulą.

— Znając sprawę, nie zainteresował się pan, kto strzelał?

— Przyznaję, że wolałem się wycofać. Ostatecznie ma człowiek tylko jedną skórę...

— Ostrożność godna pochwały. A teraz trzeba się tu nieco rozejrzeć. Kruszyna, nie spuszczaј go z oka.

— Pan podchorąży chce zabawić się w policjanta? — Skomentował z pozorną bez troską Łoza, ale spojrzenie, którym mnie obrzucił, było zimne i wrogie.

Zgodnie ze wskazówką Michała pistolet Gnata znalazłem pod poduszką. Długa, spłaszczona obsada zamka lśniła czernią oksydowania, a kolba miała drewniane, cięte w siatkę okładziny.

Zbyt dobrze znałem tę broń, by mieć wątpliwości. Jedno z drewniek kolby miało czarną plamę. Ślad po wypaleniu papierosem, który Gnat oparł o rękojęść leżącego na stole pistoletu. A przy spuście widać było tę samą jasną rysę...

Gwizdnąłem z cicha, ująłem pistolet i zwróciłem się do Łozy, który mierzył mnie ponurym spojrzeniem.

— Zgodzi się pan chyba, że to usuwa wszelkie wątpliwości? — spytałem ze spokojem.

Za całą odpowiedź Łoza wygiął pogardliwie usta.

— Nadszedł koniec, Łoza — ciągnąłem. — Teraz bez kawałów, bo zamiast pod murem, zastrzelimy cię na miejscu. Zrewiduj go, Kruszyna, może mieć przy sobie inną broń.

Istotnie, w spodniach Łozy znalazł się mały, belgijski browning.

— A więc i to żądełko wrywamy... — mruknął Kruszyna wkładając do kieszeni swojej kurtyrki znaną broń.

— Co z nim zrobimy? — zwrócił się do mnie.

— Najpierw musi nam to i owo wyjaśnić, a potem postanowimy wspólnie, czy rozwalić go od razu.

— Nie wygłupiaj się pan, panie podchorąży — powiedział Łoza ruszając ku drzwiom, pchnięty przez Kruszynę. — Mam coś niecoś do sprzedania i dlatego bez dowództwa niczego ci zrobić nie wolno!

— Czy wolno, to się zobaczy. Tylko nie próbuj wiać — ostrzegałem go idąc tuż za nim — bo dasz mi okazję.

Prowadząc między sobą Łozę przeszliśmy szybko podwórze i wkrótce byliśmy w kwaterze. Rzuciłem pistolet Gnata na stół i popatrzyłem na Świergota, który wrócił już z popołudniowej warty i wyszedł do nas.

— Gdzie Bicz? — zapytałem.

— W kuchni. Jest tam i Michał. Wskazałem na stół.

— Odebraliśmy od pana Łozy ten pistolet.

— A więc to on? — wybuchnął chłopak.

— Wątpliwości już się skończyły. Ma na butach fioletowy gips, a pistolet Gnata leżał pod jego poduszką. Chyba dość, co?

Zwabieni naszymi głosami zjawili się Bicz i Michał. Bicz na widok Łozy siedzącego pod strażą Kruszyny po kiwał tylko głową, natomiast Michał rzucił na więźnia nieco wystraszone spojrzenie. Ten jednak zdawał się go nie dostrzegać.

### **Sobota — wieczór**

Zaczynało już ciemnieć. Z zachodniej strony czerwień nieba dochodziła nieomal do zenitu. Dymy pożarów ciągnęły po tej czerwieni skośnymi



kłębami, łącząc się w jedną długą, szeroko rozciągniętą chmurę.

Mrok zaczął wypełniać wielki pokój. Zapaliłem świecę i postawiłem ją na stole. Więzień siedział nieopodal, mając obok siebie Kruszynę, który, z automatem na kolanach, nie spuszczał z niego wzroku. Trwało milczenie. Przerwałem je dopiero po dłuższej chwili.

— Dlaczegoś to robił? Co zawinili ci ludzie? Przecież nawet nie wszyscy byli żołnierzami.

Łoza tylko na chwilę zwrócił na mnie wzrok.

— Wolisz nic nie mówić? Co chcesz przez to osiągnąć?

Dopiero teraz odezwał się.

— Będę mówił, ale nie z wami. W dowództwie od-cinka.

— Tę obietnicę już słyszałem. Sądzisz, że uda ci się wyhandlować skórę? Musiałbyś zbyt wiele ofiarować, a wątpię, czy masz aż tyle.

— Tobie tego nie powiem. Ale w tych warunkach nie wolno ci mnie ruszyć.

Zdałem sobie sprawę, że Łoza ma rację. Po takim oświadczeniu istotnie musiałem go przekazać do sztabu. Co mógł chować w zanadrzu? Czy istotnie było to coś tak ważnego, że spodziewał się w zamian uratować życie? Tym bardziej więc nie można było sobie pozwolić na zbyt pochopną egzekucję.

Mimo tej konkluzji, potraktowałem go wręcz lekceważąco.

— E, tam. Nie wolno. Dostaniesz w czapę i pies z tobą tańcował.

— A ty po mnie. Za samowolę i dogadzanie osobistym zachciankom.

Nic zdążyłem mu odpowiedzieć, bo nagle ujrzałem na progu Marutę. Dziewczyna ledwie trzymała się na nogach, a wyraz przerażenia i popłochu w oczach nadawał jej twarzyczce tragiczne piętno.

— Czy znów się coś stało? Czemu aresztowaliście

Nika? I gdzie Michał? Co się dzieje z Michałem? — ostatnie słowa nieomal wykrzyczała.

Przyskoczyłem do dziewczyny i podtrzymałem ją.

— Uspokój się. Michałowi nic nie grozi, jest z nami.

Chłopak wysunął się z mroku i stanął w kręgu chybliwego światła świecy.

— Jestem tu... — odezwał się podchodząc do siostry.

Ta zarzuciła mu ręce na szyję.

— Misiu... To dobrze! A ja myślałam... bałam się, strasznie się bałam, że może ty... Że może tobie...

Słowa płątały się jej, przerywane szlochem, który daremnie usiłowała opanować. Łoza przyglądał się przez chwilę tej scenie, po czym odezwał się swoim irytująco nonszalanckim tonem.

— Weź się w garść, Maruta, i nie gadaj tyle! Ulegasz hysterii.

Obróciłem się gwałtownie do więźnia.

— Ty... ty bydlaku! Nie śmieję tak do niej mówić.

Łoza spojrział spod oka na mnie.

— Zdaje się, że i tobie niewiele brakuje... — zakpił.

Zamachnąłem się zaciśniętą pięścią, ale Kruszyna przytrzymał mi ramię.

— Spokojnie. Nic wreszcie takiego nie powiedział.

Obrócić się do nich plecami. Jednak słowa Łozy odniosły niespodziewany skutek, Maruta opanowała się bowiem natychmiast. Puściła brata i wyciągnawszy chusteczkę przetarła nią oczy.

— Dziękuję ci, Nik. Pomogłeś mi... — szepnęła.

Łoza zbył te słowa milczeniem, ale kiedy podeszła do niego, zrobił mimowolny ruch, jakby chciał powstać.

— Siedź! — padł rozkaz Kruszyny. — A pani, panno Maruto, niech nie zbliża się do niego. Jest więźniem.

Stała w miejscu.

— Już mi powiedziano, że prowadziliście go pod strażą. Ale dlaczego?

— To on jest mordercą. Wreszcie go nakryliśmy.

Milczała przez chwilę. Wyraz zaskoczenia zaczął zniknąć z jej twarzy.

— Nakryliście go? W jaki sposób? — spytała wolno.

— Miał ślady na obuwiu świadczące o tym, że był w ruinach. A co najważniejsze, znaleźliśmy u niego pistolet Gnata!

— Pistolet Gnata... u niego? — Opuściła głowę, przykładając palce do skroni. — Ależ to niemożliwe... O Boże! jak... jak do tego doszło?

Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby nie podtrzymał ją stojący obok Michał. Podprowadził siostrę do fotela i pomógł usiąść. Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach i cicho płakała. Zaskoczony tą reakcją patrzyłem na jej opuszczoną głowę ze zmarszczonymi brwiami.

A niech to diabli... — pomyślałem skonsternowany. Podszedłem jednak do Maruty i położyłem dłoń na jej ramieniu.

— Nie płacz, kochanie... Nie spodziewałaś się tego... Ale nad takimi ludźmi nie warto się rozczulać...

— Co... co z nim zrobicie? — Uniosła głowę i spojrzała na mnie przez łzy.

— Odstawimy do dowództwa. Tam zapadnie decyzja.

— Mówiłam... mówiłam, żebyście stąd odeszli... Dlaczego mnie nie usłuchałeś, Andrzeju?!

Zachnąłem się.

— Aby pozostawić mordercy swobodę ruchów? Żeby dalej mordował?

Nie zdążyłem już nic więcej powiedzieć, gdyż z przedpokoju padł promień światła elektrycznej latarki i rozległ się głos dozorca.

— Jest tu pan podchorąży?

— Jestem. Co się stało?

— Ano nic. Tyle tylko, że jakem szedł, widziałem w szopie Kabulskich światło, a i doleciały mnie stamtąd jakieś głosy. Warto by może zobaczyć, co to takiego...

— Słusznie. Zaraz pójde sprawdzic.

— To chodźmy razem.

Wyjaśnienie nadeszło jednak szybciej, niż się spodziewaliśmy. Najpierw usłyszeliśmy zwykłe stuknięcie drzwi, zapowiadające nowego przybysza, a w chwilę potem w kręgu światła ukazała się Kabulska z oznakami wzburzenia na twarzy.

— Chodźcie, chodźcie prędko! — Zawołała. — Dobrze, że jest pan dozorca. Znaleźliśmy w naszej szopie zwłoki.

— Czyje? — krzyknąłem przerażony.

— Hulewicza. Zastrzelony, z dziurą w głowie od kuli.

— Kobieta trzęsła się z podniecenia i strachu. Osunęła się na najbliższy fotel i z trudnością łapała oddech. — Och... Nie mam sił... To był okropny widok!

— Kto go znalazł?

— Mój mąż. Przywołał mnie zaraz, kiedy znalazł ciało, i postanowiliśmy was zawiadomic... Cóż to za przekłety dom!

— Dawno go znaleźliście?

— Przed chwilą. Najwyżej dziesięć minut temu.

Spojrzałem na Kruszyne.

— Chcę, abyś poszedł ze mną. Ale co z nim zrobić? — wskazałem na więźnia.

— Już o tym myślałem. Zamkniemy go w łazience. Okno jest małe, zresztą wychodzi na gładki mur, a to jest drugie piętro. Klucz jest w drzwiach. Na ucieczkę nie ma żadnych szans.

— Dobrze. Niech tam siedzi do rana, bo i tak po nocy go nie poprowadzimy.

Kruszyna trącił Łozę lufą automatu.

— Zobaczmy, czy i tego nie kropnąłeś z tej dziwiaki. No chodź.

Łoza bez oporu wstał i ruszył w stronę łazienki. Przy zamkniętym więźniu pozostał Bicz i Świergot.

— Odprowadź siostrę — zwróciłem się do Michała, kiedy byliśmy już na dole — i pozostań przy niej.

Podszedłem do Maruty i objąłem ją ramieniem, nie zwracając uwagi na obecnych.

— Połóż się, kochanie. I nie trap się więcej. Łóżę odstawimy jutro do dowództwa i tam zapadnie co do niego decyzja.

Maruta przytuliła się do mnie.

— Nie spodziewałam się, że... że jest taki... Nie mogłam uwierzyć, że to on... Dlatego byłam taka wstrząśnięta... Nie miej mi tego za złe...

Uniosła oczy, ujęła mi twarz w dłonie i lekko pocałowała w usta. Za chwilę zniknęła w czerni klatki schodowej. Michał ruszył za nią.

Tym razem weszliśmy do szopy przez drzwi. Były uchylone. Za nimi siedział na skrzyni czterdziestoletni szczupły mężczyzna. Podniósł się na nasz widok.

— Mój mąż — przedstawiła go Kabulska.

W świetle elektrycznej latarki mogłem stwierdzić, że Gnát opisał go trafnie. Wygląd Kabulskiego był nienaganny. Świeża, czysta koszula, krawat zawiązany z przykładową dokładnością. Poprzez lśniące od brylantyny włosy biegł z boku głowy nieskazitelny przedziałek. Twarz była sucha, usta wąskie, a jasne, szaroniebieskie oczy patrzyły przenikliwie. Zdałem sobie sprawę, że mam przed sobą zimnego, twardego osobnika, a jednocześnie przypomniła mi się opinia Kruszyny o tym człowieku. Chyba nie była daleka od prawdy.

Poprzedzeni przez niego ruszyliśmy w głąb szopy znany już przejściem. Zupełną ciemność jej wnętrza rozpraszala nieco przyklejona do jednej ze skrzyń paląca się świeca. Po kilku krokach, w jej nierównym świetle, ujrzeliśmy na betonowej podłodze ciemny kształt człowieka.

Leżał z głową przekrzywioną na bok i szeroko rozrzuconymi ramionami.

Jarząbek skierował na niego światło swojej latarki. Był to istotnie Hulewicz. Twarz miał kredowobiałą, a uniesiona górna warga ukazywała biel zębów. Grymas ten robił

wrażenie uśmiechu, którym zmarły zdawał się nas żegnać. Z boku czoła, niedaleko skroni, widniał czarny otwór zaklepiiony skrzepłą krwią, której dwie strużki biegły po policzkach, ginąc pod kołnierzem koszuli.

Spojrzałem pytająco na dozorcę.

— Ciekaw jestem, jak dawno nie żyje.

Okazało się, że informacja o felczerskich kwalifikacjach Jarząbka była prawdziwa, gdyż bez słowa przykląkł przy zwłokach, odchylił zmarłemu powiekę, przyłożył dłoń do jego policzka, a następnie spróbował unieść ramię zabitego. Wreszcie wstał i otrząpał spodnie.

— Po mojemu chyba od ośmiu do dziesięciu godzin. Nie myślę, abym dużo się mylił.

— A więc zginął przed południem. Trzeba koniecznie wydobyć kulę. Musimy wiedzieć, z jakiego pistoletu strzelał morderca.

— Jeśli będzie blisko, to może i da się wydostać... — mruknął Jarząbek nachylając się powtórnie nad zwłokami.

— My zaś rozejrzemy się tu dokładniej — zwróciłem się do Kruszyny. — Masz swoją latarkę?

— Mam.

— Idź tą stroną, a ja pójdę tamtędy.

Zapaliliśmy latarki i myszkując ich światłem po podłodze, zaczęliśmy wolno posuwać się wzdłuż dwóch stron tkwiącej pośrodku szopy sterty skrzyń. Kabulscy odsunęli się na bok i w milczeniu obserwowali te czynności.

W pewnej chwili rozległ się głos Kruszyny.

— Andrzeju, chodź no tu...

Kiedy zbliżyłem się, wskazał mi ręką jedną ze skrzyń. Tkwiła ona w rzędzie stojącym bezpośrednio na ziemi i ledwie widocznie zakłócała ich równy ciąg. Pomiędzy poszczególnymi skrzyniami widniały regularne szczeliny, gdy tymczasem wskazywana przez Kruszynę ze stojącą obok niej tworzyła jakby odrobinę szerszą.

— Zobacz, tam jest pusto — powiedział Kruszyna kierując światło w głąb szpary.

— To jakiś schowek. Zobaczymy, czy ta skrzynia da się odsunąć.

Dała się, i to nadspodziewanie łatwo, jakby nie przyciskały jej górne rzędy. Wewnątrz znaleźliśmy pustą przestrzeń, na metr wysoką, metr szeroką i około dwóch długą.

— Przytulny kącik — szepnął Kruszyna. — Ciekaw jestem, kto z niego korzystał i w jakim celu. Czyżby chował się tu morderca?

— Łoza? A po co? Przecież miał swoje mieszkanie, z którego korzystał otwarcie.

— Może Kabulscy będą mogli to wyjaśnić.

Przywołane małżeństwo na widok kryjówki okazało jednak zdumienie, a Kabulski zadał to samo pytanie co i Kruszyna.

— Ciekaw jestem, komu i po co to było potrzebne? Musi tu być jakieś wejście do szopy, o którym nie wiem, bo drzwi od niej stale trzymam zamknięte, a klucz chowam w mieszkaniu.

Ponieważ i ja, i Kruszyna mogliśmy coś o tym powiedzieć, woleliśmy tej sprawy bliżej nie omawiać.

— Zatem ktoś dostawał się tu po kryjomu... — rzuciłem zdawkowo.

— Ale kto? Czyżby to Hulewicz korzystał z tej kryjówki? Do czego mogła mu służyć? — Kruszyna skierował rozmowę na bardziej istotny tor.

— Hulewicz? To mało prawdopodobne... — zastanowił się Kabulski — raczej ten, kto go zabił. Hulewicz mógł go jedynie śledzić, dojrawszy na przykład, jak tamten wślizguje się do szopy. No i przyplacił swoją ciekawość życiem...

— Ciekawość lub daną nam obietnicę — mruknąłem. — Możliwe, że morderca zwabił go do szopy umyślnie.

— Jaką obietnicę? — zainteresował się Kabulski.

— Hulewicz obiecał dostarczyć nam dowód przestępczej działalności pewnego człowieka.

— Kogo, jeśli można to wiedzieć?

— Owszem, bo już go złapaliśmy. Jest nim Łoza.

— Łoza? — Na twarzy Kabulskiego ukazało się zdumienie.

— Sprzątnął w ostatniej chwili tego biedaka, nie spodziewając się, że i bez niego dojdziemy prawdy.

— Skąd jednak wiedział o obietnicy Hulewicza?

— To trzeba będzie jeszcze wyjaśnić.

Podszedł do nas Jarząbek.

— Mam tę kulę... — podał mi na wyciągniętej dłoni mały, błyszczący w świetle latarki przedmiot.

— Szóstka — oceniłem podając z kolei pocisk Krużynie. — A więc tym razem pan Łoza posłużył się swoją belgijką.

— Ciągłe noszenie przy sobie dużego stejera nie jest wygodne. Tu wystarczy mały pistolet.

— Myślicie panowie, że i tego zabił Łoza? — Zainteresował się Jarząbek, który nie brał dotąd udziału w rozmowie.

— A kóżby? Nie przypuszcza pan chyba, że grasuje tu dwóch morderców. Zresztą w tym wypadku istnieje wyraźny motyw zabójstwa.

— Trzeba przeszukać kieszenie zabitego — zaproponował Kabulski. — Może znajdzie się tam coś, co rzuci więcej światła na sprawę.

Rada okazała się słuszna i przyniosła nieoczekiwany plon, bowiem z bocznej kieszeni marynarki wyciągnąłem niebieską, nieco wymiętą kopertę. Miała ostemplowany znaczek z niemieckim orłem trzymającym w szponach tarczę ze swastyką. Była jednak pusta. Mimo to nie byłem rozczarowany brakiem zawartości, a z chwilą, kiedy przyświecając sobie latarką rzuciłem okiem na adres wypisany maszynowym pismem, nie mogłem opanować zdumienia.

— No, mamy teraz ostatnie ogniwo. I nie ma chyba



na świecie obrońcy, który by zdołał wyciągnąć z tego pana Łożę! Posłuchajcie, jak brzmi adres na tej kopercie: „Herr Leutnant Loza, Feldpost 27286”.

— A więc to ten obiecany przez Hulewicza dowód!  
— wykrzyknęła Kabulska. — Dotrzymuje obietnicy z za grobu.

— Kto by przypuszczał, że niemiecki oficer ukrywa się wśród nas! — dorzucił ze zdumieniem Kabulski.

— Jest stempel z datą? — spytał Kruszyna.

— Owszem, nawet dość wyraźny — 16 V 44.

— A więc jakiś list przed powstania.

— Ciekawe, dlaczego sprawca go nie zabrał, skoro dowód ten był przyczyną zabójstwa? — zastanowił się Kruszyna.

— Nie wiedział, o jaki dowód chodzi. Mógł sądzić, że zabijając Hulewicza po prostu zamknie mu usta — wyraziłem przypuszczenie.

— Albo zabrakło mu czasu na rewizję. Po zabójstwie ktoś go pewnie spłoszył... — uzupełnił Jarząbek.

— Do czego mogła służyć ta kryjówka? Czy państwo — zwróciłem się do Kabulskich — nic nie mogą na ten temat powiedzieć?

Małżeństwo spojrzało po sobie.

— Nie — odezwała się Kabulska. — Co prawda ostatnio bardzo rzadko tu zaglądaliśmy, a z naszych okien szopa ta jest niewidoczna. Gdyby nie prośba sąsiadów o odstąpienie nieco świec, ten nieborak leżałby tu zapewne i nadal, aż... — wzdrygnęła się. — Wolę o tym nie mówić. To zbyt okropne.

— A pan, panie Jarząbek? — zwróciłem się do dozorczy.

Ten pokręcił głową.

— Musiał przemykać się bardzo ostrożnie, może nocami, bo niczego nie dostrzegłem.

Przypomniałem sobie nocny spacer Łoży wysłedzony przez Świergota, więc tylko skinąłem głową.

Zapanowało chwilowe milczenie.

Świeca paliła się tańczącym płomieniem, bo raz po raz targały nim podmuchy przeciągów. Staliśmy w zwartej grupie, a nasze cienie biegały po ścianach, czarne, wielkie i ruchliwe. Zwłoki nieruchomą bryłą leżały u naszych stóp.

— Och, chodźmy stąd — odezwała się Kabulska pociągając męża za rękaw. — Nigdy już sama tu nie przyjdę.

Ruszyliśmy z wolna w stronę wyjścia.

— A więc strzał został oddany około południa — odezwałem się. — Czyżby nikt go nie słyszał?

— Może i słyszeli, ale przy ciągłych detonacjach i strzelaninie mogli nie zwrócić uwagi — zaopiniował Jarząbek.

— Szóstka nie robi większego hałasu — stwierdził Kruszyna. — Zresztą koło południa był właśnie ostrzał mózdzierzy. Zapewne wtedy właśnie zginął Hulewicz.

Wyszliśmy z szopy pod bezchmurne, rozgwieżdżone niebo.

Postanowiłem zamienić parę słów z Kabulskim. Zbliżyłem się więc do niego, umyślnie zwalniając kroku, aby odłączyć się nieco od reszty.

— Co pan sądzi o tym morderstwie? — zagadnąłem go. — Czy istotnie chodziło tylko o zatarcie śladów?

Nikłe światło gwiazd nie oświetlało należycie twarzy mego rozmówcy. Jedyne oczy odbijały refleksy tego światła, połyskując w półmroku. Rzucił na mnie szybkie spojrzenie, ale pytanie zadał wolno i w sposób zdawkowy.

— A jakaż inna przyczyna mogłaby wchodzić w rachubę?

— Zastanawiam się, skąd Hulewicz zdobył tę kopertę?

Kabulski uśmiechnął się. Było to właściwie nieco wyniosłe skrzywienie ust.

— Tego już się pan chyba nie dowie...

— Tym bardziej ta zagadka nie daje mi spokoju. Czy

żadne rozsądne wytłumaczenie nie przychodzi panu na myśl?

— Nie, bo zresztą skąd? Może znalazł ją w mieszkaniu Łozy?

— To by dowodziło, że Hulewicza interesowało coś więcej niż produkcja zabawek. Dostać się do cudzego mieszkania bez kluczy, to nie taka prosta sprawa. I po co ryzykowałby tę wyprawę? Przecież z góry nie mógł wiedzieć, że znajdzie tak przekonujący dowód.

Kabulski zatrzymał się i milczał przez chwilę. Znów widziałem tylko jego oczy, których spojrzenie, utkwione we mnie, zawierało jakąś groźbę. Mrok skrywający jego twarz uniemożliwił mi dostrzeżenie czegoś, co zdradziłoby mi prawdziwe oblicze tego człowieka.

Ruszyliśmy z miejsca. Kiedy zbliżyliśmy się do grupy oczekującej na zakończenie naszej rozmowy, zadałem jeszcze jedno pytanie:

— Czy nie zauważył pan niczego zaskakującego w zachowaniu Hulewicza?

— Nie, nie zauważyłem. Zresztą utrzymywaliśmy z nim bardzo luźny kontakt. Widywaliśmy go więc raczej rzadko.

Zastanowiły mnie te słowa. Przecież Kabulska w czasie rozmowy z nami stwierdziła, że w ogóle nie znali się. Co miała znaczyć ta rozbieżność wypowiedzi? Nie zdradziłem się jednak ze swoim spostrzeżeniem.

### **Niedziela — rano**

Zanim ucieczka Łozy wyszła na jaw, stwierdziliśmy brak pistoletu Gnata. Początkowo łączyliśmy ze sobą te dwa fakty, potem jednak, w miarę analizowania wydarzeń ubiegłego wieczora, pewność ta zaczęła ulegać zachwianiu.

Oba braki, więźnia i pistoletu, skonstatowałem zaraz po obudzeniu się. Na mój krzyk wszyscy zerwali się.

— Gdzie pistolet? — wrzasnąłem stwierdziwszy, że

na stole go nie ma. — Przecież tu go wieczorem położyłem.

— Nie brałem — stwierdził Kruszyna.

Po podobnym oświadczeniu Świergota i Bicza, już wyzbyci resztek snu, spojrzeliśmy po sobie.

— Ładna historia... — mruknął! Kruszyna. — Zatem kto?

To pytanie nasunęło nam zgodne podejrzenie. Jednak nie bardzo jeszcze wierząc w taką możliwość, ruszyliśmy do łazienki. Drzwi były zamknięte; panowała za nimi zupełna cisza. Łudząc się, że więzień mógł drzemać w jakimś kącie, szybko wyciągnąłem z kieszeni klucz i przekręciłem go w zamku.

Ale łazienka była pusta. Od baterii wanny, znajdującej się pod oknem, w którym jak i wszędzie nie było szyb, biegł w górę jasny splot sznura i nikał na zewnątrz. W rogu zaś, obok wiklinowego kosza z odchylonym wiekiem, leżały wyrzucone na podłogę sztuki brudnej bielizny. Ten obraz mówił wyraźnie, gdzie Łoza znalazł sznur.

— Och, my idioci! — Skoczyłem na wannę i wyrząłem na zewnątrz. — Trzeba było przed zamknięciem dobrze obejrzeć wszystkie kąty. — Zeskoczyłem na posadzkę. — Sznur nie sięga ziemi, ale jest wystarczająco długi, by dostać się do łazienki o piętro niżej.

— Sprawdzić? — Świergot spojrzął na nas pytająco.

— Dużo ci to da? — parsknął Kruszyna. — Nie czeka tam na ciebie.

Wróciliśmy do salonu, źli na wszystkich i na wszystko. Kruszyna wyciągnął się w fotelu, wystawiając przed siebie długie nogi, i milczał ze ściągniętymi brwiami. Poszedłem za jego przykładem i również rozmyślałem z ponurą twarzą. Jedyne Świergot wykazał jaką taką równowagę ducha, bo poszedł do kuchni, by przyrządzić poranną kawę.

— Czyżby miał na tyle zimnej krwi, by wrócić tu po pistolet? — przerwałem milczenie. — I do tego po ciemku,

kiedy potrącenie byle krzesła mogło nas postawić na nogi?

— Chyba nie... — mruknął Kruszyna, zajęty swoimi myślami.

— Nie przypominasz sobie niczego? Przecież to ty odprowadzałeś go do łazienki. Czy przechodził koło stołu? Świeca ledwie rozpraszała ciemności, i to tylko na parę kroków. Mógł go ściągnąć po drodze...

— I ukryć chociażby w rękawie... powiedział z przekąsem Kruszyna.

— Siedzieliście pod ścianą. Przechodząc do łazienki musieliście mijać stół — rekapitulowałem sytuację. — Jeden ruch ręki w przejściu wystarczył...

— A jednak nie. Mimo ciemności taki ruch musiałbym zauważyć. Nie spuszczałem go z oka.

— Właśnie... — Kruszyna podciągnął nogi i przechylił się do przodu. — Cały czas o tym myślę.

— Wczoraj wieczorem byli tu: Michał, Jarząbek i Kabulska. Czyżby któreś z nich?

— Zapominasz jeszcze o jednej osobie. Była i Maruta.

— Znów to samo — powiedziałem ze zniecierpliwieniem. — A więc dobrze — i Maruta!

— Łącznie z Łozą to jest nasza lista podejrzanych.

— Mając tyle dowodów przeciw niemu, raczej zastanawiałbym się, jak to zrobił, żeś tego nie spostrzegł. Może właśnie spojrzawsz pod nogi, by nie wleźć na któryś z foteli? Przecież niewiele było widać.

— Możliwe... — Kruszyna ziewnął. — Pospałbym jeszcze...

— A niech cię cholera — zakląłem. — Dziwię się, że tak mało obchodzi cię ta ucieczka.

— Bo uważam, że jeszcze nic straconego.

— Nic straconego? — Zdziwiłem się. — Co masz na myśli?

— A to, że coraz jaśniej widzę, czym powoduje się morderca. Pobudką jego działania jest nienawiść. Tylko

nienawiść. Zaspokajanie tej nienawiści stało się dla niego równie niezbędne jak narkotyki. I dlatego twierdzą, że przyjdzie on do ruin szukać następnego wartownika. Wie przecież, że utrzymujemy tam stale posterunek. Bo dobrze czy nie dobrze, ale tego nie ukrywałeś. Jestem gotów trzymać zakład jeden do dziesięciu, że morderca po uzyskaniu pistoletu jeszcze dziś będzie chciał zrobić z niego użytek...

— Świergot, co z tą kawą? — krzyknąłem w stronę kuchni. — I daj mi coś do zjedzenia w południe, bo na obiad nie wrócę.

— Obyś przynajmniej wrócił później... — mruknął Kruszyna.

Jeszcze w drodze postanowiłem zmienić miejsce zasadzki. Zakładałem, że przeciwnik po nieudanej próbie zamachu na Bicza będzie miał przede wszystkim na uwadze mieszkanie, w którym dotąd znajdował się posterunek.

Wkrótce byłem u celu. Szybko prześliznąłem się przez podwórze, i zachowując największą ostrożność, zacząłem wspinać się po rumowisku cegieł.

Poranne słońce rzucało na ściany kamienicy pełne światło. Ostro rysowały się cienie każdego kamienia i cegły, każdego załamania muru, czarnymi prostokątami spoglądały na mnie otwory okien.

Wspinając się po rumowisku, zastanawiałem się, czy obserwują mnie wrogie oczy. Być może, morderca bierze mnie właśnie na muszkę... Sprawca mógł już być na miejscu, wówczas nastąpiłaby niewątpliwie zamiana ról. Trzeba było jednak podjąć ryzyko i wystawić się na cel i, to w dodatku w pełni słonecznego blasku.

Coraz bliższa była ściana domu, coraz wyraźniej dostrzegałem jego mroczne wnętrza, które za chwilę miało mnie pochłoniąć. Wreszcie dotarłem do okiennego otworu, przez który wśliznąłem się do środka. Zaraz na lewo znajdowała się klatka schodowa. Najpierw jednak zajrzałem ostrożnie do bocznych pokoi. Było w nich pusto i cicho.

Za znanymi już sprzętami, pokrytymi pyłem, nikt się nie krył.

Wycofałem się i ostrożnie wyjrzawszy zza muru wszedłem na schody. Stąpałem lekko, przeszukując wzrokiem stopień po stopniu. Takie wspinanie się było wprawdzie powolne, ale śpieszyć się już nie musiałem. Zapewne Łoza i tak każe mi jeszcze poczekać na swoje przybycie.

Dostałem się na drugie piętro bez przeszkód, cicho i dokładnie przeszukałem oba mieszkania, potem ruszyłem wyżej. I tu nie było nikogo. Zatrzymałem się nieco dłużej w kuchni, gdzie przez wyrwę w podłodze widać było niższą kondygnację.

Kuchennymi schodami wróciłem na drugie piętro. Tu drzwi zawałone były gruzem, musiałem więc zejść jeszcze niżej i przez lokal pierwszego piętra wydostać się na schody główne.

Te wszystkie poruszenia upewniły mnie, że na razie jestem sam, przynajmniej w tej części kamienicy. Bardziej więc spokojnie i z mniejszym napięciem nerwów zacząłem zastanawiać się nad wyborem zasadzki.

Po namyśle zdecydowałem się na pokój z wyjściem na balkon, którego używał morderca. Na pewno będzie tam dążył, nawet podświadomie, by upewnić się, czy znów ma wolną drogę.

Główne umeblowanie tego pokoju, który musiał być kiedyś gabinetem, stanowiło wielkie biurko, biblioteka, stolik i dwa głębokie, klubowe fotele. Na ścianach pozostało parę krzywo wiszących obrazów, a podłogę zaścielał dywan zasypany gruzem i kawałkami tynku, na którym dostrzegłem podczas swojej pierwszej wizyty nikłą ścieżkę wydeptaną nogami zabójcy.

Fotele i stolik stały w rogu gabinetu po stronie drzwi wejściowych. Zajęcie tego punktu powinno było opóźnić przeciwnikowi spostrzeżenie mnie przynajmniej o sekundę. Ta sekunda różnicy dawała mi dostateczną przewagę. Przesunąłem więc jeden z foteli jeszcze bardziej do tyłu,

tak że oparciem dotykał ściany, i siadłem, kładąc automat w poprzek kolan.

Teraz należało polegać na słuchu, bo to on pierwszy, a nie wzrok, nada alarmowy sygnał.

Minuty oczekiwania mijają jedna za drugą, wolno, dając poczucie trwania, gubiącego się jednak w monotonnym, nużącym oczekiwaniu.

Walcząc z nudą tego oczekiwania przesuwalem spojrzeniem po wnętrzu gabinetu. Na chwilę zwrócił moją uwagę kawał muru, gdzie oderwany płat tynku odsłonił czerwień cegieł, wreszcie, wciąż nie przestając nasłuchiwać, spojrzałem przez otwarte balkonowe drzwi na zalaną słonecznym blaskiem przeciwległą stronę ulicy.

Okapy dachów rzucały ukośne cienie na osmalone, pokryte śladami kul ściany. W niektórych oknach białą ramy, inne były tylko otworami ziejącymi czarną pustką. Domy, w które trafiły bomby, ukazywały swoje wnętrza: kolorowe ściany pokoi przedzielone poziomymi śladami zawalonych stropów. W jednym miejscu kuchenny zlew zwisał nad przepaścią nie istniejących pięt, w innym, na kawałku zachowanej podłogi, leżało przewrócone krzesło.

Początkowe, pełne napięcia oczekiwanie pod wpływem wlokącego się czasu zaczęło zanikać, myśli zaś płynęły teraz mniej nerwowym nurtem. Przywracałem pamięcią ostatnie zdarzenia, rozważając ich znaczenie i sens. Potem na plan pierwszy wysunęła się Maruta i szczęście z odwzajemnionego uczucia przeniknęło mi serce. Przypominałem sobie jej nie tak dawne słowa, najpierw zimne i nieprzychylne, potem ciepłe i pełne uczucia. A więc nasze spotkanie istotnie miało sens. Los zetknął nas, bym odzyskał to, co tak głupio straciłem.

W pewnej chwili gdzieś zupełnie blisko rozległo się kilka pojedynczych strzałów, a potem rozpętał się huragan nieustannego ognia. Rozróżniałem krótkie serie automatów



i ciągły jazgot karabinu maszynowego. Wkrótce rozległy się gwałtowne detonacje kilku wybuchów.

Potem raptem zrobiło się cicho. I dzięki temu właśnie lekki, ledwie dosłyszalny szelest osuwającej się cegły usłyszałem tak wyraźnie.

Sprężyłem się i zacisnąwszy palce na automacie, nasłuchiwałem. Cisza trwała jednak znów niby maska, która uchyliła się tylko na chwilę, by ukazać skrawek groźnego oblicza.

Po pewnym czasie szelest powtórzył się znów. Teraz był już znacznie wyraźniejszy. Ktoś się skradał.

Zerwałem się i przyłożyłem automat do biodra. Pełen napięcia, niby myśliwski pies czatujący na zdobycz, wpatrywałem się w otwór drzwi. Oczekiwałem dalszych odgłosów, ale już ich nie było. Natomiast w pewnej chwili na ciemnym tle wnętrza holu niby zjawa pojawił się zarys sylwetki. Uświadomiłem sobie, że sekunda lub nawet tylko jej część dzieli mnie od poznania prawdy. Napięty niby sprężyna czekałem z palcem na spuście i nagłą suchością w gardle. Widziałem coraz wyraźniej wychylającą się głowę o włosach ciemnych i falistych, a wreszcie dojrzałem, kogo mam przed sobą.

— Michał, co tu robisz? — zapytałem pełen zdumienia.

Wyraz dzikiej nienawiści w pałających obłędem oczach i wykrzywione grymasem usta chłopca zdradziły mi całą prawdę. Resztę dopowiedział kurczowo ściskany w dłoni pistolet Gnata.

— Rzuć broń! — wydałem krótki rozkaz, a jednocześnie niby zza gęstej zasłony dotarło do mnie przytłumione, dalekie wołanie, już zdaje się kiedyś słyszane: „Miś! Gdzie jesteś? Misiu, odezwij się”. A potem ten pistolet poderwany w górę, czarny otwór lufy, płomień, huk wystrzału... gwałtowne szarpnięcie za ramię i ból jak od dotknięcia rozpalonej igły.

Dopiero teraz naciskam spust automatu. Seria jest krótka. Wszystkiego trzy strzały, ale Michał raptownie załamuje się w pasie, jakby składał mi głęboki ukłon, wypuszcza pistolet z dłoni i ciężko pada na podłogę. Już leżąc, raz jeszcze porusza się, jakby chciał ułożyć si? wygodniej i... nieruchomieje.

W tej chwili w otworze muru ukazuje się Maruta. Włosy wysuwające się spod furazerki zasłaniają jej część twarzy. Chwilę patrzy na mnie, potem przenosi wzrok na leżącą postać. Z krzykiem rozpaczy rzuca się na kolana i potrząsa włosami brata. Zrozumiawszy prawdę, wybucha przejmującym płaczem, który zdaje się wypełniać wymarły dom, rozlegać ponad miastem, sięgać sklepienia nieba. A potem, jakby zdławiona własną rozpaczą, milknie, unosi głowę, z wolna odsuwa z twarzy włosy i pełnymi łez oczami wpatruje się we mnie.

— Dlaczego go zabiłeś? — pyta cicho unosząc się na nogi. — Dlaczego go zabiłeś? — powtarza nieco głośniej, potem nagle wybucha krzykiem: — Andrzej, dlaczegoś to zrobił?! Właśnie ty! — Zachłystuje się jakimś urywanym, spazmatycznym szlochem i pada mi na piersi. — Czy nie rozumiesz, że nie zdołam przekroczyć jego włosów...

\* \* \*

Na tym kończą się zapiski podchorążego Bitnego. Ostatnie zdanie podkreśla gruba kreska zrobiona zapewne później, a pod nią parę słów, dopisanych tą samą ręką: „Maruto, gdzie jesteś?”

### **Kilka lat później**

Od paru lat spędzam wakacje na Mazurach, urzeczony ich niezwykłym pięknem. Tego roku przedostałem się swoją motorówką na jedno z mniejszych jezior.

znanych jezior, a więc o brzegach prawie bezludnych i nieomal pustej powierzchni wody. Na całej jego kilkukilometrowej długości tylko niekiedy spotykałem samotne żagle i tkwiące nieruchomo przy ścianach sitowia rybackie łódki.

Dni spędzałem przeważnie na wodzie, włócząc się wzdłuż brzegów, czasami z wędką, czasami bez. Zatrzymywałem łódź w zacisznych kątach wśród trzcin i pławiłem się w słońcu lub, szukając cienia, znajdowałem schronienie pod zwisającymi gałęziami starych, wielkich, schylonych nad wodą wierzb.

Któregoś dnia wracałem właśnie z takiej bezcelowej włóczęgi. Słońce opadało już ku zachodowi, rozpalając na powierzchni jeziora pomarańczowe blaski. U brzegów stało w wodzie brunatno-zielone odbicie leśnej ściany, pocięte białymi smugami światła, które ostro krajały mroczną głębię tego tła. Motor pracował na wolnych obrotach i łódź sunęła ospale po gładkiej powierzchni wody.

Nieco z prawa ujrzałem przed sobą, lekko pochylony na bok trójkąt żagla. Wiatr nie był zbyt silny, ale żaglówka szła dość szybko, sunąc po wodzie z wdziękiem baletnicy. Wkrótce, kiedy zbliżyliśmy się do siebie, ujrzałem i samą łódź. Była smukła i zgrabna, politurowana złociście, mieniąca się srebrem niklowanych okuć. Na jej dziobie widniał napis z metalowych liter — „Maruta”.

Za sterem siedział szpakowaty, szczupły mężczyzna o suchych rysach opalonej twarzy. Minęliśmy się szybko. Kiedy miałem już żaglówkę za sobą, uderzyła mnie jej nazwa... Skąd znam to imię rzadkie i mało spotykane? Skąd je znam?

I nieomal natychmiast przypomniał mi się ów zeszyt, który od prawie piętnastu lat spoczywał w mojej szufladzie.

Nie zastanawiając się dłużej, pod wpływem impulsu, zakręciłem sterowym kołem i dodałem gazu, wzbijając

stromą falę. Motorówka zatoczyła krótki łuk i przyspieszyła. Postanowiłem jednak nie wyprzedzać samotnego żeglarsza, lecz trzymać się go w pewnej odległości, by stwierdzić gdzie przycumuje na noc.

Po kwadransie jazdy okrążyliśmy zalesiony cypel lądu i znaleźliśmy się w małej zatoczce o stromych i wysokich brzegach, okolonych smukłymi sosnami. Linie wody obrastało sitowie, odsłaniając w jednym miejscu pas czystego piasku. Biegła stamtąd w jezioro wąska kładka z desek opartych na skrzywionych już wiekiem palach.

Trzepocząc opuszczonym żaglem, łódź z wolna zbliżyła się ku niej, a szpakowaty mężczyzna sprawnie zarzucił cumę. Wygasilem motor i również wolno podpłynąłem do kładki z drugiej strony. Mężczyzna uniósł głowę i przez chwilę patrzył na mnie, a potem bez słowa zabrał się do składania żagla.

Uwiązałem łódź i skoczyłem na chybotałiwe deski pomostu.

— Dobry wieczór — zwróciłem się do nieznajomego.

— Chciałbym zamienić z panem kilka słów...

Spojrzał ze swojej żaglówki w górę i uśmiechnął się.

— Czy tak ważnych, że musiał pan przyplłynąć za mną aż tu?

Wyskoczył z łodzi i zbliżył się do mnie. Staliśmy teraz naprzeciw siebie na wąskich deskach pomostu, ponad ciemną powierzchnią wody.

— Działalem pod wpływem impulsu. Zaskoczyła mnie nazwa pańskiej żaglówki... — od razu postawiłem sprawę otwarcie.

Nieznajomy obrzucił mnie krótkim spojrzeniem.

— Chodźmy. Nie będziemy tu rozmawiać — powiedział.

Przeszliśmy po kładce i zaczęliśmy wspinać się po stromym stoku. Szedłem za nieznajomym bez słowa, nie przerywając jego milczenia.

Kiedy osiągnęliśmy szczyt wzniesienia, ujrzałem pomiędzy drzewami kolorowe płótno namiotu. Obok leżało zwalone drzewo, a przy nim widniał ślad wypalonego ogniska. Przerwałem milczenie.

— Pan pozwoli, że się przedstawię — wyciągnąłem do niego rękę i wymieniłem swoje nazwisko.

— Morena — usłyszałem w odpowiedzi. — Proszę. — Wskazał dłonią kłodę. — Niczym wygodniejszym nie mogę służyć.

— Wystarczy — uśmiechnąłem się.

Mój nowy znajomy nie odwzajemnił uśmiechu. Nadal zachowywał wyraźną rezerwę, milcząc wyczekująco.

Usiedliśmy na pniu drzewa. Wyciągnąłem fajkę i nabijając ją rozejrzałem się.

Wokół namiotu stały smukłe sosny, a u naszych stóp migotało poprzez ich pnie jezioro pełne teraz purpurowych blasków od zachodzącego słońca. Jeszcze było widno, ale w głębi lasu mrok zaczynał już gęstnieć. Wieczór był ciepły i cichy, bo lekki wiatr ciągnący nad otwartą przestrzenią wody nie miał dość siły, by przedrzeć się pomiędzy drzewa.

— Wybrał pan uroczy zakątek dla namiotu — odezwałem się wreszcie. — Bardzo tu ładnie...

— Trafiłem nań przypadkowo, w zeszłym roku. Ale nie o tym chciał pan, zdaje się, ze mną mówić?

Ton głosu Moreny zdradzał zniecierpliwienie. Była to ciekawość czy też może niechęć z racji nieproszonej wizyty? Udałem, że nie wyczuwam tego nastroju niechęci.

— Tak, istotnie nie o tym... — przyznałem ugodowo. — Zaintrygowało mnie, skąd wziął pan nazwę dla swojej żaglówki. Maruta to bardzo rzadkie imię. Z góry proszę o wybaczenie, jeśli popełniam niedyskrecję, ale czy znał pan osobę o tym imieniu?

Morena uśmiechnął się z lekka.

— To ja raczej powinienem o to spytać, ze względu na pańskie zainteresowanie tą sprawą.

— Zgoda. Istotnie, jestem panu winien wyjaśnienie, gdyż dopiero wówczas zrozumie pan powody mojej ciekawości. A więc proszę posłuchać.

Opowiedziałem mu historię odnalezienia zeszytu, a następnie w skrócie jego treść. Starłem się jednak zachować chronologię zdarzeń i ich sens, oczywiście w swoim rozumieniu. W relacji tej wymieniłem również wszystkie osoby występujące w zapiskach Bitnego.

— Teraz pan rozumie, jak byłem zaskoczony nazwą pana żagłówki — zakończyłem. — Od tamtych czasów po raz pierwszy zetknąłem się z tym imieniem. Chciałem więc wyjaśnić, czy nazwa ta ma jakiś związek z tamtą historią. Czy pan znał kogoś innego o takim samym imieniu, czy też może właśnie tamtą dziewczynę?

Morena wstał gwałtownie z pnia i bez słowa wpatrywał się jakiś czas w powierzchnię wody. Potem odwrócił głowę i chwilę przyglądał mi się, jakby zastanawiając się, kim jestem i co tu robię.

— Owszem... — mruknął półgłosem. — Znałem tamtą dziewczynę...

— Jak to?! — rzuciłem z ożywieniem — A więc może to pan jest Bitny?

Morena zaprzeczył ruchem głowy.

— Miałam wówczas inny pseudonim. Łoza...

— A więc to pan? Pan jest tym... tym... — Nie wiedziałem, jak zakończyć zdanie. — Ależ w takim razie...

— Chciał pan powiedzieć, tym mordercą? — Wzrok Moreny ożywiła iskra rozbawienia.

— Notatki urywają się w najmniej właściwym miejscu i zupełnie nie wyjaśniają zagadki. Przecież wszystkie poszlaki wskazywały na pana, a w ruinach, z pistoletem Gnata zjawił się Michał. Czy może mi pan wyjaśnić, jak to się stało? Skąd Michał miał pistolet? Kto go mu dał?

— Wyjaśnienia wymaga więcej spraw. Jak sądzę, Bitny

spisywał swoje wrażenia na gorąco, więc nie zawsze rozumiał sens zdarzeń, tym bardziej że sens ten objawił się dopiero później.

— Otóż to. Nie wiadomo, co ostatecznie stało się z Bergmanem, kto strzelał z balkonu, kto zabił Gnata. Również nie wiadomo, jak i dlaczego zginął Hulewicz.

Tym razem suchą twarz Moreny rozjaśnił już pełny uśmiech.

— No dobrze, postaram się udzielić panu odpowiedzi na te pytania. To była bardzo skomplikowana sprawa... — Urwał na chwilę, a potem dorzucił już bez uśmiechu: — Pan mi ją przypomniał i raptem ożyły wszystkie tamte postacie... Bitny, Kruszyna, Michał, no i przede wszystkim Maruta... — Zmarszczył na chwilę brwi i znów zamilkł. Wreszcie jak gdyby się ocknął i powiedział z nieco sztucznym ożywieniem: — Najpierw należy jednak pomyśleć o kolacji. Zaraz rozpalę ogień.

Poniechałem zdawkowych protestów i pomogłem gospodarzowi w rozpalaniu ogniska i przygotowywaniu posiłku, aczkolwiek wolałbym z niego zrezygnować, gdyż ciekawość dominowała teraz nawet nad głodem. Wreszcie jednak sięgnęliśmy po fajki, gdyż Morena palił ją również. I tak oto, siedząc długo w noc przy ognisku, które kładło ciepłe blaski na nasze twarze, usłyszałem opowiadanie Łozy.

— O ile dobrze zapamiętałem pana relację, przy pierwszej odprawie major Garda zapowiedział Bitnemu przybycie oficera kontrwywiadu. Otóż minął się z prawdą o tyle, że — zapewne ze względów konspiracyjnych — użył czasu przeszłego. Oficer taki bowiem już tam był. I jak się pan zapewne teraz domyśla, byłem to ja.

Chciałem sprostować tę zbyt pochlebną opinię o mojej domyślności, ale nie dał mi dojść do słowa.

— Jednak powodem mego przybycia do tej kamienicy nie były zdarzenia, które nastąpiły przecież później — ciągnął dalej — ale sprawa obecności tam pewnego podejrzanego osobnika. Już od pewnego czasu mieliśmy go zresztą na oku. Otrzymałem klucze nie znanych mi Biało wąsów, których mieszkanie również z nie znanych mi przyczyn stało puste. Nie wiem, czy był to przypadek, czy umyślnie postarano się dla mnie o ten lokal, którego bezpośrednim sąsiadem był Hulewicz. Skutkiem tego był on pierwszym człowiekiem, z którym zawarłem w tym domu znajomość. Odwiedził mnie zaraz następnego dnia, ofiarując uprzejmie swoje sąsiedzkie usługi, ale i wypytyjąc przy tym oględnie o przyczynę przybycia. Nie skąpiłem mu informacji o sobie, bo nic tak nie wzbudza ludzkiej nieufności jak zdawkowe zaspokajanie zainteresowania. Opowiedziałem mu więc historię, którą potem powtórzyłem Bitnemu, dodałem całą masę szczegółów rodzinnych i, okazując radość z jego odwiedzin, zapowiedziałem rewizytę na następny dzień. A kiedy do tego doszło i mnie, jak tych chłopców, uderzyła różnica w charakterze obu pokoi, bo oczywiście zajrzałem do tego warsztatu. Ale od razu domyśliłem się, o co tu chodzi. Ten drugi pokój był tylko pretekstem. Stąd gospodarz nie dbał o utrzymanie w nim porządku. Miałem za to inną zagadkę do rozwiązania, i to chyba trudniejszą. Co on tu robi? Nie będę pana nużył opowiadaniem o różnych swoich krokach zmierzających do spenetrowania środowiska, w którym się znalazłem. Pozwoliły mi one zorientować się, kto i gdzie mieszka, czym się zajmuje, słowem, w pozornie mało znaczących szczegółach, które jednak stają się bardzo przydatne w odpowiedniej chwili. Wtedy też poznałem Marutę...

Morena przerwał i jakiś czas wpatrywał się w ogień. Lekkie ciągi wiatru gięły chwilami płomienie, więc czerwony blask przesuwiał się po jego twarzy, raz ukazując wyraźnie jej rysy zaostrome biegiem lat, to znów



pograżając ją w mroku, a znacząc tylko kontury obrzeżem światła. Milczałem również, by nie zakłócać toku jego myśli.

Odezwął się po dłuższej chwili, nie odwracając wzroku od ognia.

— Stała w pełnym słońcu, smukła i zgrabna. Gałąź drzewa, zwisając nad jej głową, rzucała cień na górną część twarzy, nadając spojrzeniu utkwionych we mnie oczu niepokojący wyraz tajemniczości. Znieruchomiałem ogarnięty zachwytem. Miała w sobie trudny do sprecyzowania urok, nieuchwytny czar emanował z jej postaci, ruchów, wyrazu twarzy, uśmiechu... No, jednym zdaniem, zakochałem się od razu, od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałem...

Nie pamiętam, o czym ze sobą mówiliśmy wtedy i w czasie następnych spotkań. Nie hamowałem swego uczucia i nie starałem się go maskować...

— A ona? — spytałem półgłosem.

— Ona? — Zawahał się. — Bo ja wiem... Zdawało mi się, że płomień, który ogarnął mnie, objął także ją. Ale czy to było uczucie prawdziwe i głębokie? Już tyle czasu upłynęło od tamtych dni, a historia jest tak dawna, że, mogę panu to wyznać, wkrótce została moją kochanką. Ale na dnie świadomości, tłumiona i odsuwana, drgała we mnie nuta zwątpienia. Już wówczas mimo wszystko uświadamiałem sobie, że to nie uczucie pchnęło ją w moje ramiona, lecz moja własna namiętność porwała ją i oszłomiła. Gorzkie potwierdzenie tego podejrzenia nastąpiło w chwili, kiedy nieoczekiwanie zjawił się mężczyzna, którego, jak się okazało, nie zapomniała i do którego wróciła. Przeżyłem wówczas ciężkie chwile.

Morena nachylił się nad ogniem, wyciągnął kawałek tłącej się gałęzi i zapalił wygasłą fajkę. Potem odwrócił ku mnie twarz i uśmiechnął się.

— Wróćmy raczej do sprawy. Pochodzenie nazwy żagłówki już pan zatem zna. Pora więc, bym wyjaśnił panu

i resztę całej tej historii, widzianej z innego miejsca widowni, jeśli można użyć takiego porównania.

— A ta dziewczyna? Czy nie spotkał pan jej więcej? Nie wie pan, czy żyje, gdzie jest?

Zaprzeczył głową.

— Nie wiem. Pozostała tylko we wspomnieniach. Po wojnie ożeniłem się, potem rozwiódłem. Może właśnie przez to wspomnienie. Teraz jestem już starszym, samotnym mężczyzną, któremu pozostała tylko praca zawodowa.

— Wolno wiedzieć, gdzie pan pracuje?

— Jestem oficerem WSW. No, ale wróćmy do pana Hulewicza. Postanowiłem z kolei obserwować każdy jego krok, a zwłaszcza w czasie nocy. Czułem, że nie działa sam, musi kontaktować się z kimś, mieć swoich informatorów lub przysyłać meldunki. Zwłaszcza interesował mnie ten drugi problem. Rozpocząłem więc nocne warty. Lokowałem się w przedpokoju i spędzałem wolno wlokące się godziny siedząc na krześle ustawionym przy drzwiach. Nie pamiętam już, podczas której z kolei takiej warty, wkrótce po północy, usłyszałem ciche skrzypnięcie drzwi, ledwo uchwytny odgłos przekręcanego ostrożnie klucza, a potem szelest oddalających się stąpień. Oczekałem chwilę, wysunąłem się na klatkę schodową i wyjrzałem przez jej okno pozbawione szyb. Wkrótce dostrzegłem w świetle gwiazd i białych smug świateł reflektorów ciemną sylwetkę przemykającą się przez podwórze. Zniknął mi z oczu na czarnym tle gęstej ściany krzaków otaczających szopę. Miałem dwie możliwości do wyboru. Albo udać się za Hulewiczem, aby przekonać się o celu tej wędrówki, albo wykorzystać jego nieobecność i obejrzeć dokładnie puste mieszkanie. Bardziej intrygowała mnie pierwsza zagadka, a poza tym nie wiedziałem, jak długo potrwa jego nieobecność. Toteż wolno zszedłem ze schodów, by nie natknąć się na Hulewicza, jeśli by zachował ostrożność i sprawdzał, czy nikt za nim nie idzie. Przemknąłem się

pod murem domu, korzystając z zalegającego pod nim cienia i wreszcie dotarłem do linii krzaków. Przystanąłem nasłuchując. Było jednak zupełnie cicho. Ruszyłem więc przed siebie zagłębiając się w ich gąszcz. Stapałem ostrożnie, by nie zdradzić swojej obecności, a kiedy dotarłem do szopy, zacząłem przesuwać się wzdłuż jej ściany. W pewnej chwili doszedł do mnie odgłos — ni to szelest, ni to szuranie — potem lekkie stuknięcie i rzucone cicho przekleństwo. Nasłuchiwałem dalej, ale odgłosy z wnętrza już się nie powtórzyły. Szukanie wejścia do szopy po ciemku i w chwili, kiedy ktoś w niej przebywa, nie miało sensu. Należało to odłożyć na później, najlepiej na czas przedświt, jeśli oczywiście przed nim Hulewicz wróci do siebie. Ruszyłem więc z powrotem i zająłem opuszczony postereunek pod drzwiami. Po godzinie usłyszałem cichy zgrzyt obracanego w zamku klucza. Czuwałem jednak nadal, dopóki ciemność nocy nie zaczęła z wolna przechodzić w szarość przedświt. Przejście do szopy znalazłem bez trudu, gdyż w świetle brzasku dostrzegłem świeże ślady na wilgotnej ziemi. Natomiast penetracja wnętrza zajęła mi więcej czasu, ale odkryłem skrytkę i zacząłem domyślać się, do czego służyła. Wracając do siebie, zastanawiałem się, czy została zrobiona z wiedzą Kabulskiego, czy nie? Pewne informacje już o nim zebrałem, ale ludzkie opinie i poglądy są zwodnicze, postanowiłem więc oprzeć się na własnym wrażeniu. Jednak nawiązanie kontaktu bez dobrego pretekstu mogło wzbudzić podejrzenia. Zastanawiając się nad tym pretekstem, doszedłem do przekonania, że najlepszym rozwiązaniem będzie posłużenie się samym Hulewiczem. Toteż jeszcze przed południem zastukałem do drzwi swego sąsiada. Otworzył mi prawie natychmiast. Nie odsypiał więc zarwanej nocy.

— Witam sąsiada — przywitał mnie jowialnie. —  
Czym mogę służyć?

Przestąpiłem próg.

— Istotnie, przyszedłem z prośbą o sąsiedzką przysługę. Czy nie miałby pan kawałka mydła do prehandlowania? Moje skończyło się właśnie.

Hulewicz rozłożył ręce.

— Niestety, drogi panie... I ja mam z tym kłopot, bo i mnie właśnie się skończyło.

— Co tu robić? — udałem zafrasowanie. — Może dozorca coś mi poradzi? W kamienicy, gdzie mieszkałem, handel zamienny był dość ożywiony...

— Obecnie pieniądze nie mają wartości — westchnął Hulewicz. — Oczywiście poza dolarami. — Zerknął na mnie spod oka. — Ci, co je mają w zasadzie mogą zdobyć wszystko.

— Jakbym o tym nie wiedział. — Roześmiałem się. — Mam parę pojedynczych sztuk, nie wiem tylko, gdzie zrealizować swoje zapotrzebowanie! Dlatego przyszedł mi na myśl dozorca. On powinien wiedzieć, do kogo trzeba się zwrócić...

Hulewicz zasnurował wąskie wargi i zastanawiał się przez chwilę.

— Taką informację mógłbym chyba i ja panu dać — powiedział wolno. — Obiło mi się o uszy, że jeden z lokatorów ma tu zapas jakichś towarów. Wiem, że niektórzy mieszkańcy nabywali od niego to i owo.

— Kto to jest?

— Niejaki Kabulski. Mieszka po przeciwnej stronie naszego podwórka.

— Dziękuję zatem za wiadomość. Udam się do niego, a w razie potrzeby powołam się na pana, dobrze?

Hulewicz pokręcił głową.

— Wątpię, czy to coś pomoże, bo ja prawie go nie znam, a on chyba również nie zna mego nazwiska.

— No, zobaczymy. Ostatecznie to nic ważnego, ale pogadam z nim. Dziękuję za informację.

— Cieszę się, że mogłem choć w tak znikomy sposób dopomóc memu miłemu sąsiadowi — odpowiedział z uśmiechem Hulewicz, odprowadzając mnie do drzwi.

Do Kabulskiego postanowiłem udać się następnego dnia, by informacja o zamierzonych odwiedzinach zdołała do niego dotrzeć. Doszedłem bowiem do przekonania, że tych dwóch musi się jednak dobrze znać, a Hulewicz umyślnie skierował mnie do Kabulskiego, by dać mu możliwość obejrzenia mojej skromnej osoby.

Następnej nocy mój najbliższy sąsiad znów wymknął się na swój spacer, a ja wiedząc już, dokąd się udaje, poświęciłem całą uwagę jego mieszkaniu. Zamknął je tylko na klucz, nie ruszając rygli, może przez niedopatrznie, a może by uniknąć hałasu. Miałem ułatwione zadanie.

Mieszkanie było niby kałamarz wypełniony czarnym atramentem. Jednak już widziałem, że miało taki sam rozkład jak moje, toteż nie zapalając latarki, szybko przemknąłem do pokoju. Tu również było zupełnie ciemno, okna nie ukazywały rozgwieżdżonego nieba, co dowodziło, że były zaciemnione. Dopiero przekonawszy się o tym, zapaliłem latarkę. W jej świetle przejrzałem dokładnie całe wnętrze — mebel za meblem, kąt za kątem. Niczego jednak nie znalazłem, najmniejszego śladu, żadnej wskazówki, która mogłaby naprowadzić mnie na ślad zainteresowań gospodarza. Biały krąg światła wyrывał z ciemności coraz to nowe fragmenty wnętrza, myszkował cierpliwie po szufladach, zaglądał do kredensu, szaf, badał ich tylne ściany. Ciągle bez rezultatu. Byłem tu już przeszło godzinę i należało myśleć o odejściu, by nie narazić się na sytuację, w której bez osłonek zdradziłbym swoją rolę. Pełen rozczarowania skierowałem się do przedpokoju. Tu, idąc już ku drzwiom, ujrzałem na wieszaku starą, mocno sfatygowaną kurtkę. Wsunąłem dłoń do jednej kieszeni, potem do drugiej i oto miałem w ręku coś w rodzaju małego, metalowego pudełeczka, tyle tylko, że nie nadawało się do otworzenia. Dwa boki tego przedmiotu wielkości dwóch centymetrów na dwa były zaokrąglone, z góry pokrywała pudełeczko kolorowa emalia, a z dołu sterczały dwie centymetrowe wtyczki. Na jednym z płaskich, błyszczących

boków widniał napis „Telefunken”, a pod nim pięciocyfrowy numer. Był to kryształek do generatora nadajnika, służący do zmiany częstotliwości. A więc wizyta u Hulewicza nie była jednak daremna, gdyż trzymałem w rękę dowód jego właściwych zainteresowań i roli, jaką tu spełniał. Włożyłem kryształek z powrotem do kieszeni kurtki i wysunąłem się z mieszkania, zastanawiając się, jaki udział w tej akcji ma Kabulski. — Morena na chwilę przerwał, jakby przypominał sobie kolejność zdarzeń. Podjął tok narracji po dłuższym zastanowieniu: — Tego dnia w południe był silny nalot stukasów. Bombardowały nasze pobliskie pozycje i jak mi się zdawało, położoną niedaleko kwaterę dowództwa. Ten wybór celu dał mi do myślenia. Nalot trwał blisko pół godziny, ale na szczęście żadna bomba nie padła nie tylko na naszą kamienicę, ale nawet w jej pobliżu. To było również zastanawiające. Tym niemniej wszędzie pełno było dymu i tynkowego pyłu. Wkrótce jednak zaczął on z wolna opadać, a dym zwiewały podmuchy wiatru. Wyszedłem z mieszkania, minąłem podwórze i skierowałem się ku klatce schodowej Kabulskich. Na dole spotkałem matkę Maruty w towarzystwie Michała. Wracali po nalocie ze schronu. Ponieważ wiedziałem, że dziewczyna nie schodzi na dół, udałem się z nimi w nadziei, że zastanę ją w mieszkaniu. Jednak kiedy staliśmy już przed drzwiami, rozczarowała mnie uwaga Michała: „Maruty nie ma, jeszcze nie wróciła...”

Obrzuciłem go krótkim spojrzeniem, zaintrygowany tymi słowami. Czyżby domyślał się czegoś?

— Och, nie szkodzi! — odpowiedziałem lekko jakby usłyszana przed momentem informacja wcale mnie nie zainteresowała. — Nie miałem zamiaru wstępować, bo idę do Kabulskich. Mam do niego interes.

— Tak? — Zainteresował się chłopak. — A jaki?

— Coś taki ciekawy? — zapytałem z uśmiechem, a

potem dodałem: — Bardzo poważny. Chcę kupić kawałek mydła.

— To chodźmy razem — zaproponował Michał. — Pomogę panu, bo wiem, że niechętnie pozbywa się swoich zapasów.

Ta propozycja była mi na rękę. Pożegnaliśmy więc panią Czerską i ruszyliśmy.

— Czy jesteś na tyle zaprzyjaźniony z Kabulskim, że obiecujesz mi pomoc? — zagadnąłem chłopca.

— Byłem u nich kilka razy. Lubię słuchać jego opowiadań. To ogromnie fajny gość, chciałbym być taki jak on.

— Widzę, że ci imponuje. O czym opowiadał?

— O polowaniach. On zjeździł pół świata. Polował w Afryce i Południowej Ameryce. Ma dużo ciekawych zdjęć.

Musiałem poniechać dalszej indagacji, gdyż byliśmy u celu, tym niemniej postanowiłem jeszcze wrócić do tego tematu. Michał zastukał i po chwili ujrzałem w drzwiach młodą kobietę. Była zgrabna, miała delikatne rysy twarzy i ciemne oczy o kuszącym spojrzeniu. Na widok Michała uśmiechnęła się.

— Zapewne do Zenka, co? Proszę, wchodźcie, panowie...

Zaprowadziła nas do pokoju, który służył za gabinet. Był urządzony wręcz bogato, podłogę pokrywał perski dywan, a przy mahoniowym biurku stały obszerne klubowe fotele obite skórą. Na ścianach pełno było myśliwskich trofeów i fotografii z polowań.

Po chwili do pokoju wszedł Kabulski. Obrzuciłem go nieznacznym, lustrującym spojrzeniem. Był to mężczyzna średniego wzrostu, szczupły, trzymający się prosto, jak gdyby do pleców miał przymocowaną deskę. Na szerokich ramionach tkwiła nienaturalnie spłaszczona głowa, jak gdyby ktoś ścisnął ją ujmując za szczęki i skronie. Pod wysokim czołem tkwił prosty nos, usta były zacięte i wąskie, a oczy o nieco zwężonych powiekach miały

nieokreśloną barwę, ni to szarą, ni to płową, i patrzyły z zimną przenikliwością. Istotnie, zgodnie z zacytowaną przez pana relacją Kruszyny, lśnił w nich jakiś dziwnie drapieżny blask. Przedstawiłem się i wyjaśniłem cel swojej wizyty. Kabulski słuchał, nie spuszczać ze mnie wzroku. Kiedy skończyłem, uśmiechnął się. Uśmiech ten od razu stał wyniosły chłód z jego twarzy. Jedynie oczy patrzyły po dawnemu z taksującą docieklivością. Po chwili przeniósł spojrzenie na Michała.

— No cóż, trzeba będzie chyba pomóc twemu przyjacielowi, tym bardziej że to przecież bagatelka... Ale, ale, kto panu poradził udać się do mnie? Zdaje się, że wspomniał pan jakieś nazwisko?

— Tak. To pan Hulewicz, mój najbliższy sąsiad udzielił mi tej rady.

— Hulewicz? Nie przypominam sobie... — Kabulski wzruszył ramionami. — Ale mniejsza z tym. Istotnie tutajsi mieszkańcy zwracają się do mnie, jeśli im czegoś brak. Może był i on. Proszę, siadajcie, panowie — wskazał fotele — a ja pójdę poszukać, coś tam chyba znajdę.

Wyszedł z pokoju, by wrócić po chwili z kawałkiem brązowego mydła do prania.

— Mam tylko takie. Ale sądzę, że i to jest lepsze niż nic...

— Ile jestem panu winien? Oczywiście wiem, że nie w złotychkach.

— Ależ nie. Proszę to przyjąć jako przyjacielską przysługę, bo jak się to mówi, przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi.

Spojrzał z uśmiechem na Michała, który wpatrywał się w Kabulskiego nieomal z uwielbieniem w oczach.

— Jestem doprawdy zaskoczony, nie mam żadnej możliwości rewanzu...

— Ależ nie chodzi o to — stwierdził beztróska Kabulski. — I nie mówmy już o tym. Wiem od Misia, że



zjawił się pan tu nieomal bez rzeczy, z powodu zniszczenia pańskiego mieszkania.

— Tak jest istotnie. Ocalało tylko to, co miałem w piwnicy, resztę pokryły gruzy.

— Daleko od naszej dzielnicy pan mieszkał?

— Przy Marszałkowskiej.

— Miał pan więc doprawdy pecha, bo o ile wiem, tylko niektóre domy uległy tam zburzeniu. Ciekaw jestem, która to kamienica.

Mój rozmówca liczył zapewne, że podam mu teraz numer domu, ale moja odpowiedź była ogólna.

— Na rogu Wilczej.

— To istotnie niedaleko stąd. Szczęście w nieszczęściu, że miał pan możliwość przeniesienia się tutaj. Czasami ciotki przydają się... — Znów słowom towarzyszył uśmiech.

A więc relacja Michała była szczegółowa, ale czy te szczegóły chłopak podał sam, czy też był wypytywany? A może to Hulewicz? Zjawił się następny powód, dla którego warto było pomówić z Michałem.

— Owszem, przydają się — odwzajemniłem uśmiech — i to nie tylko ze względu na znajomość przepisów kulinarnych. Tak jak przydało mi się towarzystwo Misia.

— Rzeczywiście, bo niechętnie wdaję się obecnie w transakcje, i to w zasadzie drobne. Udało mi się zachować nieco zapasów sprzed powstania, ale sprzedając za złotówki szybko bym się ich pozbył.

— Zatem moja wdzięczność obejmuje i jego. Widzę, że cieszy się pana względami. — Spojrzałem na chłopca, który nadal nie spuszczał wzroku z naszego gospodarza.

— Oboje z żoną istotnie chętnie go widzimy u siebie.

— A ja chętnie przychodzę, bo pan tak ciekawie opowiada o swoich przygodach. Chciałbym tak umieć strzelać i być tak odważny! — wykrzyknął spontanicznie chłopak.

Kabulski uśmiechnął się z lekką pobłażliwością i spojrział na mnie porozumiewawczo.

— Oj, ta młodość, ta młodość. Nas już nie stać na entuzjizm — westchnął.

— Sądząc po tych zdjęciach — spojrzałem na ścianę — ma pan o czym opowiadać.

— Włóczyłem się swego czasu sporo po świecie, dopóki lekarze mi nie zabronili...

— Dlaczegoż to?

— Wada serca — stwierdził krótko Kabulski, a po chwili dodał z nieco przeproszającym uśmiechem: — wołę o tym nie mówić...

— Rozumiem. To pańskie trofea? — Zmieniłem temat.

— Oczywiście. Cudzych nie wieszałbym na ścianie.

— Widzę z tego, że istotnie jest pan doskonałym strzelcem. Zastrzelenie górskiego kozła — wskazałem wiszące rogi — to niełatwa rzecz.

— Tak, strzelałem nie najgorzej. Polowanie było moją pasją.

— Czy nie żal było panu zabijanych zwierząt?

Zdumienie na twarzy gospodarza nie było udane.

— Żal? Zupełnie pana nie rozumiem. Z jakiego powodu?

— Mam na myśli odbieranie im życia bez żadnego pożytku dla siebie... Przecież nie polował pan na nie z powodu braku żywności?

— A emocja? Poczucie triumfu, jakie daje powalenie przeciwnika? To więcej niż zaspokojenie głodu.

— Przeciwnika? Teraz ja z kolei nie rozumiem. Cóż to za przeciwnik, który nie ma równych szans? A zresztą samo określenie „przeciwnik” nie wydaje mi się szczęśliwe.

— Mówi pan o nierównych szansach? Widać od razu, że nie polował pan na tygrysy czy pumy.

— Mimo to uważam nadal, że szanse są nierówne. Zwierzęta operują tylko instynktem i nie znają sposobu

postępowania przeciwnika, pan zaś zna ich zwyczaje i posiada rozum, czyli zdolność kalkulowania. Przeciwwstawia ich pazurom gwintowaną lufę i lunetę. W tych warunkach śmierć zwierzęcia wydaje mi, się okrucieństwem.

Kabulski uśmiechnął się lekceważąco.

— Łatwo się z tym oswoić. Zresztą prawdziwy mężczyzna nie powinien przejmować się widokiem krwi... — Jego spojrzenie przeniosło się na chwilę na Michała, który w milczeniu przysłuchiwał się naszej rozmowie, a potem powróciło ku mnie. — Nie dziwię się, że mając takie usposobienie nie bierze pan udziału w walce... — rzucił z nieznaczną drwiną w głosie.

— A pan? — odpowiedziałem tym samym tonem.

— Chciałbym, ale wie pan już, dlaczego nie mogę. My z Misiem jesteśmy w podobnej sytuacji. Tyle że on ma jeszcze szanse, a ja już nie.

— Jakie widzi pan szanse dla niego? — zdziwiłem się.

— Zależą one od siły jego charakteru. Odpowiednie ćwiczenia mogą mu wiele dać. Jeśli okaże odwagę i upór w dążeniu do swego celu. Podczas gdy ja... — Machnął dłonią z gestem rezygnacji.

— Może czuje się pan już zmęczony zbyt długą rozmową? — Zatrzaszczył się Michał.

— Ależ skąd, mój drogi. Chętnie z wami gawędzę, bo tak mało jest teraz do tego okazji.

— Istotnie, lepiej chyba będzie, jeśli już pójdziemy — wstałem z fotela. — Jeszcze raz dziękuję za cenny prezent.

— Nie ma o czym mówić. A jeśli będzie pan miał ochotę, proszę do nas, zajrzeć. Rozmowa nie jest mi zabroniona, a czasu mamy teraz sporo.

Kiedy wychodząc mijaliśmy przedpokój, rzuciłem okiem na wiszące okrycia. Między innymi był tam jasny męski prochowiec, który zwrócił moją uwagę tym, że jeden z jego rękawów był powalany sadzą. Kabulski w

sposób niemal przesadny dbał o swój wygląd zewnętrzny, a prochowiec musiał niewątpliwie należeć do niego. Jak się to zatem stało, że używał go z taką plamą? A może nie wiedział, że go pobrudził? Gdzie i w jakich okolicznościach mogło to się stać? Przecież chyba kuchni sam nie czyścił i do tego w prochowcu? Pomyślałem, że mógł go tak poplamieć w szopie. Ale dlaczego sadzą?

Zastanawiałem się nad tym, wracając do siebie po rozstaniu z Michałem.

W nocy znów pełniłem swój dyżur, choć bez rezultatu, bo ostatnio Hulewicz nie opuszczał mieszkania. Krótco przed świtem przysłała Maruta. Była poruszona. Nie znałem wówczas jeszcze głównej przyczyny tego zdenerwowania, ale i ta, jaką podała, tłumaczyła jej podniecenie dostatecznie. Do kamienicy przybyły resztki jakiegoś oddziału ze Starego Miasta i jeden z żołnierzy został zabity pod naszym domem strzałem z karabinu. Mnie także poruszyła ta wiadomość, tym bardziej że przypomniałem sobie inne podobne wypadki, jakie miały tu miejsce.

Jakiś czas omawialiśmy z Maruta to zdarzenie, a kiedy parę godzin później zegnaliśmy się, rzuciła zdawkowym tonem:

— Wiesz, Nik, co za zbieg okoliczności? Dowódca tego oddziału, który tu przybył, jest moim znajomym sprzed wojny. Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś go spotkam...

Gdybym przeczuł, co zwiastują mi te słowa, na pewno odniósłbym się do nich z większą uwagą. Jednak zbyłem je wówczas jakimś żartem i tak oto pożegnałem Marutę, nie wiedząc, że jest to jej ostatnia wizyta u mnie. Wkrótce zaczęła mnie unikać. Nie rozumiałem, dlaczego aż do chwili, kiedy wyznała mi gorzką prawdę. Ale wtedy, po jej odejściu, zasnąłem beztrąsko.

Obudziło mnie stukanie do drzwi. Zaspany, narzuciłem na siebie jakiś szlafrok i poszedłem otworzyć. Przedemną

stał młody mężczyzna wysokiego wzrostu o ostrych rysach twarzy i badawczym spojrzeniu ciemnych oczu. Był ubrany w niemiecką panterkę z biało-czerwoną opaską na ramieniu, a za pasem tkwił mu pistolet, od którego rzemyk, opasując szyję, spoczywał mu na piersi. Przebieg wizyty Bitnego pan zna, więc nie będę o tym opowiadał.

Postanowiłem przede wszystkim pociągnąć za język Michała, udałem się więc do Czerskich. Właśnie wrócił do domu, a Maruty jeszcze nie było. Dowiedziałem się, że wyszła dokądś z Bitnym.

— Byłeś może u Kabulskich? — spytałem chłopca możliwie obojętnym tonem i nie czekając na odpowiedź; wszedłem do jego pokoju.

Michał podążył za mną i stanął, przyglądając mi się bez słowa. Uśmiechał się lekko i nie odpowiadał. W jego zachowaniu się był jakiś nowy ton, jakby niechęć czy lekceważenie. Zaskoczony tą zmianą nie spuszczałem z niego wzroku.

— A byłem... — odezwał się wreszcie, przysiadając na brzegu łóżka.

— Coś taki nie w sosie? — zaatakowałem bezpośrednio. — Czy moja wizyta nie jest ci na rękę?

— Ależ skąd. Wydaje się panu — zaprzeczył, ale bez zbytniego entuzjazmu.

— Może i zdaje się. Ale przez moment pomyślałem, że to może Kabulski coś ci o mnie powiedział.

Zarumienił się lekko i odwrócił wzrok. Wiedziałem już, że trafiłem w sedno.

— Mów śmiało, nie obrażę się. Chcę ci wyznać, że zależy mi na poznaniu jego opinii, bo miałeś rację mówiąc, że to fajny gość.

— Prawda? — ożywił się Michał. — Ale trudno mi powtórzyć, co powiedział... bo... bo...

— Wał prosto z mostu! Co to było?

— Że pan jest zwyczajny mięczak, a nie mężczyzna! Uśmiechnąłem się.

- Czemuż to?
- Bo pan się boi widoku krwi. Powiedział, że tacy ludzie jak pan nie potrafią zabić nawet komara, który ukłuje ich w nos.
- Tak sądzi? — zapytałem zmartwionym tonem. — Więc on uważa, że prawdziwy mężczyzna powinien umieć zabijać z zimną krwią?
- A tak!
- Widzę z tego, że to twardy jegomość. No cóż, nie każdego na to stać. Ja z bronią nigdy nie miałem do czynienia i wcale mnie ona nie pociąga.
- We wzroku chłopca ujrzałem już wyraźną pogardę.
- No właśnie... — Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ograniczył się do tego mruknięcia.
- Cieszę się jednak, że taki człowiek jak Kabulski zainteresował się mną, mimo że nie przypadłem mu do gustu. Hulewicz wspomniał mi, że wypytywał go o mnie. Czy ciebie też?
- A tak, trochę...
- Kiedy?
- Jak się dowiedział, żeśmy się poznali.
- Może nie ma zatem o mnie tak złego zdania, bo inaczej bym go nie interesował. I o cóż się pytał?
- Czy nie wiem, skąd i dlaczego pan tu się zjawił. Zresztą nie powinienem powtarzać wszystkich jego wypowiedzi. Chociaż to mądry człowiek i na wiele spraw otworzył mi oczy. I wie pan, co mi powiedział? Że będzie jeszcze ze mnie doskonały myśliwy i żołnierz.
- I ja tak sądzę — pocieszyłem go. — Odpowiednia kuracja i ćwiczenia powinny ci przywrócić władzę w ręku.
- Właśnie. Na razie zaś ćwiczę lewą ręką przy strzelaniu z pistoletu...
- Skąd masz pistolet?
- Zrobiłem sobie z drzewa — mruknął z niechęcią. Po chwili ożywił się, ale było w tym coś nienaturalnego. Słowa zaś, które wyrzucił z siebie z wypiekami na twarzy,

zabrzmiały jak groźba. — Ale będę miał i prawdziwy. Muszę mieć!

— Może Kabulski ci da?

— Mówi, że nie ma. Za posiadanie broni groziła przecież kara śmierci.

— Podobno dobrze żył z Niemcami. Mogli mu dać pozwolenie.

— E, to chyba plotki, bo nic mi nie mówił.

Rozbawiła mnie naiwność chłopca, ale nie okazałem tego.

— Mimo jednak swojej odwagi Kabulski również schodzi do piwnicy — stwierdziłem tonem świadczącym, że wiem o tym fakcie dobrze.

— To cóż z tego? Robi to niechętnie, by uspokoić żonę.

— Czy był i w czasie tego nalotu?

— Nie zauważyłem — odpowiedział chłopak z pewnym zdziwieniem w oczach. — Dlaczego to pana interesuje?

— Chciałem wiedzieć, jak sam się zachowuje w chwilach niebezpieczeństwa.

— Chyba jednak był — zastanowił się — bo wrócił do mieszkania, kiedy już tam byłem.

— W prochowcu?

— Tak... — Michał znów obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem.

— To taki mały test. Chciałem przekonać się, czy nie uległ panice — wyjaśniłem Michałowi swoje zainteresowanie.

— Chce go pan przyłapać na tchórzostwie? Ale to się panu nie uda — obruszył się chłopak.

— A ty? — Uważałem, że należy zmienić temat. — Czy bardzo boisz się nalotów?

— Ja się niczego nie boję — odpowiedział chętnie — Nawet... — urwał raptownie, spoglądając na wiszącą na ścianie okropną maskę.

— Chciałeś powiedzieć, że nawet tej maski? —

zapytałem ze zdziwieniem. — Jeśli cię przeraża, czemu jej nie zdejmiesz? Zresztą, czym mogłaby cię przerażać? — Roześmiałem się. — Chyba swoją szpetotą.

— Niech pan się nie śmieje — rzucił dziwnie poważnym tonem Michał. — Z niej nie wolno się śmiać!

Spojrzałem na niego zdumiony. Czyżby ten chłopak...

— Jak widzisz, śmieję się i nic się nie dzieje.

— Ale ona się zemści. Zobaczy pan. Ja ją znam, ona czatuje i na mnie... — Ostatnie słowa zakończył niemal szeptem.

— Więc czemu, do diabła, jej nie wyrzucisz?

— To nic nie pomoże. Zresztą wolę ją mieć na oku.

— Michał, co z tobą? Kpisz chyba? — wykrzyknąłem.

— Nie, nie kpię — odpowiedział poważnie.

Ta powaga w jego głosie rozdrażniła mnie do reszty.

— Zaczynam cię podejrzewać, że masz kota.

— Czasami i ja tak sądzę. Ale chyba nie...

— Do diabła z takim gadaniem — parsknąłem. —

Zgrywasz się czy co?!

W odpowiedzi chłopak tylko się uśmiechnął.

Wieczorem postanowiłem odwiedzić Bitnego. Należało zapoznać się z tymi chłopcami i nieco zorientować się w ich poczynaniach. Bitny zrobił na mnie wrażenie twardego faceta, toteż przypuszczałem, że nie poniecha śledztwa w sprawie śmierci towarzysza, tym bardziej że, jak się orientowałem, stanowisko Gardy nie było sprecyzowane zbyt ściśle, gdyż major za dobrze rozumiał uczucia tych chłopców, by skazywać ich na zupełną bierność. Tym trudniejsza była moja sytuacja. Mając powierzona sobie pieczę nad tą sprawą, obawiałem się ze strony chłopców Bitnego kłopotów, głównie ze względu na brak znajomości z ich strony postępowania śledczego. Jak pan wie, kłopoty te nastąpiły, i to większe, niż mogłem wtedy przypuszczać.

Na miejscu zastałem również i Michała. Z rozmowy dowiedziałem się przede wszystkim o nieudanym poszukiwaniu karabinu. Ich przypuszczenie co do siedziby



sprawcy, jak i miejsca, skąd strzelał, wydały mi się słuszne. Scena, jaka potem zaszła, a na którą nikt prawie nie zwrócił należytej uwagi, dała mi do myślenia. Gwałtowna reakcja Michała na moją zupełnie nieistotną uwagę o zdekonspirowaniu ustalonych wart przez kogoś z nas dwóch zasygnalizowała mi ogromną pobudliwość tego chłopca i doprowadziła do przekonania, że może on łatwo ulegać wpływom, co tłumaczyło wiele, ale stwarzało też groźne możliwości.

Drugim tematem do rozmyślań, dotyczącym już mnie osobiście, było przybycie Maruty i zachowanie się Bitnego w stosunku do niej. Po raz pierwszy doznałem wówczas uczucia zazdrości, które wkrótce tak bardzo dało mi się we znaki. Było to tym boleśniesz, że nie wolno mi było z nim zdradzić się. Tak ze względu na dziewczynę, jak i na konieczność zachowania poprawnych stosunków z Bitnym, bez czego nie mógłbym czuć nad jego krokami.

Potem, wracając już do siebie, postanowiłem sam poszukać tego karabinu. Doszedłem bowiem do wniosku, że ci chłopcy po prostu nie umieli go szukać.

Istotnie, udało mi się to nazajutrz, kiedy wybrałem się do tamtego domu zaraz po wschodzie słońca. Nie był to nawet karabin, a myśliwski sztucer. Trudno nawet powiedzieć, że był zbyt przemyślnie ukryty. Cała trudność polegała na przedostaniu się do niego, bo stał za załamaniem muru, jakie tworzyła jedna z bocznych ścian w pokoju o zawalonym stropie. To załamanie kryło go przed patrzącym z progu. By go ujrzeć, należało przejść po żelaznej belce zawieszanej nad dwupiętrową pustką.

Chłopcy Bitnego ulegli zapewne sugestii niedostępności tego miejsca albo po prostu nie dostrzegli załamania ściany.

Kiedy byłem już na belce, pomyślałem, że jest to droga, która nie powinna odstraszać myśliwego polującego na górskie kozły. Kiedy zaś stwierdziłem, że nie jest to

karabin, lecz sztucer, przyszło następne skojarzenie. Doszedłem jednak do wniosku, że należy unikać zbyt pochopnych wniosków, bo zdarzało mi się mieć już do czynienia z bardziej zaskakującymi zbiegami okoliczności.

Obejrzałem sobie sztucer. Była to piękna, sześciostrzalowa broń. Wygrawerowany na spodzie w języku niemieckim napis dedykował ją: „Leutnatowi Bergowi z życzeniami sukcesów”. Ofiarodawcą był, jak udało mi się odczytać, jakiś Helmut. Powstał problem, którego nie potrafili rozwiązać tamci, a mianowicie: co zrobić ze sztucerelem? Pozostawić, oznaczało umożliwić dalsze zabójstwa, zabrać — to zdradzić snajperowi, że kryjówka została odkryta, co wzmoże jego czujność i warty okażą się daremną stratą czasu.

Udało mi się jednak znaleźć wyjście. Sprawdziłem przede wszystkim, czy w magazynku są naboje. Okazało się, że były, a nawet sztucer był nabity. Wyciągnąłem więc nabój, wysypałem z gilzy proch, po czym z powrotem osadziłem w nią kulę, wprowadziłem nabój do komory i pociągnąłem za spust. Jak przypuszczałem, detonacja spłonki nie zdołała całkowicie wypchnąć kuli i ta pozostała gdzieś w lufie. Następnie wprowadziłem nowy ładunek do komory i odstawiłem sztucer na miejsce.

Sądzę, że zna pan na tyle broń, by wiedzieć, co stanie się przy oddaniu następnego strzału. Strzelający odczuje tylko wzmoczony odrzut, który w najgorszym razie wytrąci mu z ręki karabin, ale lufa zostanie rozpruta, bo działać będą na nią główne wektory siły wybuchu. W ten sposób powodowałem bezużyteczność broni bez zdradzania obcej ingerencji, gdyż przyczyną wypadku równie dobrze mogło być zapiaszczenie lufy.

Wróciłem do siebie, nie wiedząc, że pozostawiam ślady, które spostrzeże Jarząbek i które tyle emocji przysporzą Bitnemu.

Wkrótce przyszedł Gnat. W dość szorstki sposób zawiadomił mnie, że pan podchorąży życzy sobie ze mną

mówić, i stanął wyczekując przy drzwiach. Udając, że nie dostrzegam formy tego zaproszenia, udałem się do kwatery, nie przypuszczając, jak owocna w skutkach będzie ta wizyta.

A więc przede wszystkim pozwoliła mi na zorientowanie się w dalszym przebiegu tego, powiedzmy, śledztwa, jakie ci chłopcy prowadzili. Bitny swoim zbyt ostrym wystąpieniem wypłoszył Bergmana. To było jasne. Dostrzegłem jednak szansę jego powrotu i dlatego udzieliłem im rady, która przyniosła tak tragiczny skutek. W tym czasie postaci dramatu nie zarysowały się jeszcze dostatecznie ostro, trudno więc było przypuszczać, że mieszkanie Bergmana odwiedzi nie on sam, lecz zupełnie ktoś inny.

Ale najważniejszym rezultatem tej wizyty były dla mnie dalsze wiadomości uzyskane od Bitnego, a dotyczące Hulewicza.

Otóż, o ile sobie przypominam, nie powiedziałem panu, do czego służyła kryjówka odnaleziona przeze mnie w szopie. Była to kabina służąca do nadawania komunikatów drogą radiową. Sądzę, że był gdzieś ukryty aparat, ale gdzie, tego nie zdążyłem stwierdzić. Po znalezieniu zaś kryształka wiedziałem już z całą pewnością, jaką rolę spełnia Hulewicz. Wiadomości nadawane przez niego były szyfrowane. Jak mi powiedziano w kwaterze Gardy, szyfr opiera się najprawdopodobniej na tekście książkowym. Nie był więc trudny do „złamania”, musiałem jednak dowiedzieć się, o jaką książkę chodzi.

I tu zupełnie nieoczekiwanie przyszedł mi z pomocą Bitny, mówiąc o „Panu Tadeuszu”, którego egzemplarz znalazł u Hulewicza. Przypuszczam, że Bitny zjawił się u niego w czasie, kiedy zaszyfrowywał tekst kolejnego meldunku.

Drugą cenną wiadomością była sprawa mego pistoletu, którą starał się wyświecić Bitny, nie ukrywając źródła

informacji. Wiadomość ta zrzucała z Hulewicza przyjacielską maskę, w jaką stroił się w stosunkach ze mną. Przyznaję, że byłem zaskoczony, kiedy Bitny powiedział mi, skąd o tym wie. I to nie tym, że to właśnie Hulewicz był informatorem. Było nieomal wykluczone, bym dał się przyłapać nawet przy najcichszym stąpieniu Hulewicza. Zatem swoją wersję wymyślił. Ale skąd wiedział, że mam, pistolet? Czyżby to był strzał na ślepo, przebiegłe założenie, że spełniając rolę, o jaką mnie na pewno podejrzewał, muszę mieć broń? A więc nabrał już pełnego przekonania, że jestem jego przeciwnikiem, i stąd to pierwsze uderzenie, zmierzające do postawienia mnie w podejrzanym świetle, co w zaistniałych okolicznościach było istotnie niebezpieczne.

Musiałem przyznać, że pistolet mam, gdyż zaprzeczenie mogło spowodować rewizję osobistą. Poznałem już na tyle Bitnego, by nie łudzić się, że będzie się bawił w zbyt nie ceregiele. A ponieważ miałem pistolet przy sobie, moja sprawa mogła wówczas wyglądać naprawdę bardzo kiepsko.

Tak czy inaczej, było o czym pomyśleć. Ale przede wszystkim należało przekazać do kwatery zdobyte wiadomości.

To wszystko miało miejsce w czwartek. W piątek rano dowiedziałem się o śmierci Gnata, gdyż huczało już o tym w całej kamienicy. Był to dobry pretekst, by wybrać się do Kabulskich. Podniecenie spowodowane wypadkiem wywołuje zwykle chęć wymiany poglądów, spostrzeżeń, domysłów, co łącznie z uprzednim zaproszeniem nie powinno było wzbudzać podejrzeń co do ubocznych intencji mojej wizyty.

Jak poprzednio, drzwi otworzyła mi Kabulska, zapraszając z ujmującą uprzejmością do środka. Jak poprzednio też, zostałem wprowadzony do gabinetu, ale na zjawienie się gospodarza musiałem poczekać nieco dłużej. Siadłem więc sobie w fotelu i czekałem cierpliwie. A kiedy wreszcie się zjawił, jeden rzut oka wystarczył mi, by moje

dotychczasowe podejrzenia ustąpiły miejsca zupełnej pewności. Lejtnant Berg musiał być w ciągu poprzedniego dnia, a może tego ranka w ruinach, bo jego prawa ręka nie tkwiła w rękawie marynarki, ale była zatknięta za pasek spodni.

Nawet mrugnięciem oka nie zdradziłem wrażenia, jakie na mnie wywarł ten obrazek. Ale udawanie, że nie dostrzegam niczego, byłoby takim samym błędem jak i każdy objaw poruszenia. Toteż wyciągnąłem do gospodarza rękę na powitanie, którą on ujął lewą dłonią

— Co się stało? Czyżby jakiś wypadek? — zapytałem swobodnie.

— Zrobił mi się pod pachą wrzód. Paskudna historia w obecnych warunkach — padło wyjaśnienie, któremu towarzyszyło jednak przenikliwe i bardzo badawcze spojrzenie.

— No i bolesna. Bardzo panu współczuję — udałem, że nie spostrzegam jego wzroku i dorzuciłem z uśmiechem. — Korzystając z uprzejmego zaproszenia, wpadłem na chwilę, by dowiedzieć się czegoś bliższego o zabójstwie. Wszyscy o tym mówią, ale każdy co innego. Jak pan sądzi, o co tu chodzi? Co mogło być powodem tej zbrodni?

Kabulski usiadł na drugim fotelu i, podciągnąwszy nieskazitelnie zaprasowane spodnie, zdawał się przez chwilę zastanawiać nad pytaniem.

— Sam byłem wstrząśnięty tą wiadomością — powiedział po dłuższym milczeniu — i również zupełnie nie mogę domyślić się, dlaczego to zabójstwo zostało popełnione. Rabunek nie może przecież wchodzić w grę. A więc może jakąś zemsta osobista? Może wśród mieszkańców tego domu ów żołnierz spotkał jakiegoś swojego wroga?

— Tak, to jest zupełnie możliwe... — przytaknąłem.

— Ale to są oczywiście tylko domysły — ciągnął Kabulski — gdyż brakuje nam bliższych szczegółów.

Dowiedziałem się o tym tuż przed pana przyjściem, i to w formie krótkiej informacji... A pan nic bliższego nie słyszał o tym wypadku?

— Ach, takie ludzkie brednie! Jedni twierdzą, że krąży jakiś obłąkany, inni mówią natomiast, że w kamienicy działa jakiś niemiecki dywersant.

Mówiłem to z pobłażliwym uśmiechem, nie spuszcza-  
jąc jednak wzroku z twarzy Kabulskiego. Ten uniósł na moment brwi do góry i uśmiechnął się sceptycznie.

— No, oczywiście. Te najbardziej sensacyjne wersje znajdują zawsze najwięcej zwolenników...

Wymieniliśmy ze sobą jeszcze nieco poglądów i mało istotnych uwag, wreszcie pożegnałem gospodarza z całą uprzejmością.

Wizyta nie była więc daremna. Wiedziałem już bowiem, kto jest mordercą, którego szuka Bitny. Nie mogłem jednak powiedzieć mu tego, tak jak i nie mogłem jeszcze wystąpić przeciwko Kabulskiemu. Z jego strony dalsze zabójstwa już nie groziły — sztucer był zapewne w owej chwili kawałkiem bezużytecznego żelaza, a stan ramienia wykluczał jakąkolwiek akcję. Pozostał do wyjaśnienia rodzaj stosunków łączących Kabulskiego z Hulewiczem, bo że jakiś stosunek istnieje, nie ulegało wątpliwości. Prawdopodobnie główną rolę gra tu Kabulski, a Hulewicza otrzymał do pomocy. Pozostawała również Kabulska. Czy wiedziała o roli swego męża? Czy brała w tym udział? Należało odpowiedzieć sobie na te pytania, no i koniecznie przyłapać Hulewicza na gorąco. To właśnie stawało się teraz najważniejszym i bardzo pilnym zadaniem.

Ale kto zabił Gnata? Przecież nie Kabulski, bo po co by to robił? Czyżby jego wrodzone okrucieństwo wciąż domagało się widoku krwi? Jak mógł to jednak zrobić, skoro miał rozbite ramię i to prawe? Chyba że uszkodzenie nastąpiło nie wczoraj, lecz dziś rano. A może Hulewicz? Ale i ta koncepcja nie trafiała mi do przekonania, bo i tu nie widziałem motywu.

Tak czy inaczej, wiedziałem, że sprawa zaczyna zbliżać się do zakończenia. I tu, podczas tych rozważań, prowadzonych już u siebie w mieszkaniu, przyszło mi na myśl, że być może moi przeciwnicy są bardziej zorientowani w mojej roli, niż mi się wydaje. Dowodziłoby tego wystąpienie Hulewicza, a i po trosze zaproszenie Kabulskiego do utrzymywania z nim kontaktu. O wizycie Kabulskiej i bujdach, jakich nagadała pod moim adresem, dowiedziałem się dopiero później, kiedy było już po wszystkim.

A jeśli naprawdę tak było, musiałem mocno się strzec, bo usunięcie mnie z pola walki stawało się dla nich koniecznością.

Po południu ujrzałem przez okno przygotowania do pogrzebu Gnata, zszedłem więc na dół, by wziąć udział w tym smutnym obrzędzie.

W grupie znajdujących się tam osób dostrzegłem Marutę, toteż wykorzystując okazję zbliżyłem się do niej. Ale ponieważ nie była to odpowiednia chwila do wszczynania rozmowy i poruszania spraw, które mnie gnębiły, poprosiłem ją tylko o spotkanie. Zgodziła się, i to w sposób, który nasunął mi przypuszczenie, że i jej na tym zależało. Umówiliśmy się na wieczór, a potem, jak pan wie, nastąpił ów incydent z Bitnym, którego zdaje się zbytnio poniosły nerwy. Wiedziałem, co było przyczyną takiego zachowania, i to tym bardziej mnie rozwścieczyło, ale starałem się panować nad sobą. Niemniej nasze pozornie poprawne stosunki — bo wiedziałem, że mnie podejrzewa — już się skończyły.

Kiedy zajmowałem miejsce na ławce stojącej obok krzaków otaczających szopę Kabulskiego, słońce już zniknęło za murami wypalonych domów i zaczynało ciemnieć. Mimo rychłego spotkania z Marutą chodziły mi po głowie niewesołe myśli. Zacząłem już liczyć się z faktem, że mogę ją stracić, gdyż wiedziałem, jaki wpływ wywarł na nią powrót Bitnego.

Wkrótce ujrzałem jej zgrabną sylwetkę. Wstałem i oczekiwałem bez ruchu, a kiedy zbliżyła się już i usiedliśmy, odezwałem się od razu przechodząc do tematu, który mnie nurtował.

— Nie widziałem cię od środy rano. Czy tak byłaś zajęta? Spotkania w kwaterze Bitnego nie uważam za nasze własne.

— Bardzo, Nik. Poza służbą absorbowały mnie poszukiwania Andrzeja.

— I dlatego wołałaś odwiedzać jego?

— Czujesz się dotknięty? Domyślałam się tego, więc zgodziłam się na to spotkanie, żeby z tobą porozmawiać...

— Zgodziłaś się na spotkanie... — powtórzyłem. — No, niech będzie i tak. Słucham więc.

— Och, Nik, proszę cię, nie takim tonem! — wykrzyknęła. — Chciałam poruszyć z tobą pewne sprawy, a nie mogę rozmawiać w tym nastroju. Mam tak okropne zmartwienia, z którymi nie mogę sobie poradzić. Spodziewałam się, że... że ty mi pomożesz, a tymczasem zamiast przyjaźni okazujesz mi tylko zazdrość.

— Bo poza przyjaźnią mam dla ciebie i inne uczucia, Maruto.

— Och! — Pochyliła się ukrywając na chwilę twarz w dłoniach. Potem wyprostowała się gwałtownie i bez słowa popatrzyła przed siebie.

— Cóż to za zmartwienia? — Odezwałem się. Mów, jeśli w czymkolwiek będę ci mógł pomóc, na pewno to zrobię.

— Coraz bardziej boję się o Michała... Nie wiem już, co mam o nim sądzić...

— Coś zaszło?

— Nic konkretnego, ale jego zachowanie się w ostatnim czasie i niektóre powiedzenia są tak zaskakujące i tak mnie niepokoją... Ostatnio coraz częściej odwiedza Kabulskich. A mnie wydaje się, że ten człowiek ma na niego zły wpływ...



— Twoje obawy nie są chyba bez podstaw. Postaraj się jakoś temu przeciwdziałać.

— Próbowалам, ale to nic nie daje. Michał jest jak oczadziały. Przy jego wrażliwości i... pewnych... dziwactwach to może być niebezpieczne.

— Mówmy otwarcie. Podejrzewasz, że nie jest zupełnie normalny? Muszę ci powiedzieć, że i ja to zauważyłem. Wygłaszał jakieś bzdurne prorocтва, a do tego to jego niepokojące zamiłowanie do broni...

— Tak... — powiedziała cicho — to prawda, tylko ja nie mogłam się zdobyć, by o tym powiedzieć... Wolę też nie mówić tego zbyt wyraźnie Andrzejowi, a zwłaszcza o Kabulskim, bo tak jest zawzięty, jeśli chodzi o tę sprawę, że gotów podejrzewać i Michała... A to byłoby okropne. — Ostatnie słowa nieomal wykrzyknęła, chowając znów twarz w dłonie.

— Znów ten Andrzej... — mruknąłem, a po chwili milczenia spytałem, by wyjaśnić pewien nurtujący i mnie problem: — Przypomnij sobie ten wczorajszy wieczór, kiedy mówiliśmy o zasadzce w mieszkaniu Bergmana. Czy wspomniałaś o tym Michałowi?

Odjęła ręce od twarzy i spojrzała na mnie z przerażeniem w oczach.

— Nik, więc i ty? Więc i ty dopuszczasz taką możliwość?

— Ależ nie — starałem się ją uspokoić. — Po prostu chciałbym to wiedzieć dla własnej ciekawości. Mógł przecież powtórzyć to Kabulskim...

Zastanawiała się przez chwilę i skinęła głową.

— Tak, przypominam sobie, że powiedziałam mu o tym. Czy sądzisz, że mógł powtórzyć?

— Bardzo możliwe, gdyż inaczej sprawca znajdowałby się wśród osób, które brały udział w tej rozmowie. A więc poza nami tylko ci chłopcy wchodziliby w rachubę. Trudno jednak uwierzyć, aby któryś z nich zabił swego towarzysza.

— Albo Bergman.

— Tak, albo Bergman — powtórzyłem. — Ale w to nie wierzę. To musiał być ktoś, kogo Gnat znał i nie obawiał się, bo przecież wpuścił go do mieszkania. Tylko Bergman mógł wejść sam, ale Bergmanowi nie dałby się zaskoczyć.

— Jarząbek też wiedział o zasadzce — szepnęła — przecież pomagał otworzyć drzwi...

— Mało prawdopodobne. No, ale poniechajmy tych rozważań. Uważaj na Michała i staraj się ukrócić jego kontakt z Kabulskim. Radę tę weź sobie bardzo do serca.

— Tak się boję... Okropnie się o tego głuptasa boję...

Objąłem ją ramieniem, starając się przyciągnąć ku sobie i uspokoić, ale poczułem opór.

— A więc tak... — powiedziałem cofając ramię. — Może zatem poruszmy teraz te sprawy, o których wspomniałaś na początku rozmowy?

— Bardzo trudno mi to przyjdzie — westchnęła — ale muszę ci to powiedzieć...

— Mów śmiało, nie zemdleję.

— A więc, Nik, nie będę już przychodziła do ciebie.

— Dlaczego? — spytałem spokojnie, czując jednak, jak raptowny chłód przenika mi serce.

— Bo... kiedy cię spotkałam, wydało mi się, że... Tymczasem stało się coś, czego nie mogłam przewidzieć. Mam na myśli pojawienie się Andrzeja... Zналиśmy się jeszcze przed wojną... Myślałam, że tamto nie wróci już nigdy, ale znów go spotkałam... i wróciło... Walczyłam z tym, bo uważałam, że powinnam być lojalna w stosunku do ciebie, ale na nic się to zdało... Wybacz mi, Nik, ale co ja na to poradzę...

Mówiła urywanymi zdaniami i chaotycznie, ale i tak wiedziałem, o co chodzi.

— W porządku. Nie będę ci życzył szczęścia ani zapewniał o swojej przyjaźni, a tym bardziej błagał o powrót. Natomiast życzę ci, abyś po prostu zapomniała o tym drobnym epizodzie, w jakim przypadło mi szczęście brać

udział. W ten sposób łatwiej ci będzie uporządkować swoje uczucia. Wybacz to nieco przydługie epitafium, jak i to, że zostawię cię samą, bo stanowimy teraz dla siebie nieco uciążliwe towarzystwo...

Wstałem z ławki i ruszyłem do siebie z pustką w głowie. Usłyszałem za plecami jej krótki okrzyk, ale już się nie odwróciłem.

W nocy jak zwykle pełniłem swój dyżur. Tym razem znów nieco po północy usłyszałem za drzwiami szelest kroków. Jak uprzednio odczekałem chwilę i wysunąłem się na schody, zajmując stanowisko przy oknie.

Widziałem wyraźnie sylwetkę Hulewicza przemykającego się przez podwórze. Sprawdziłem, czy mam pistolet w zanadrzu marynarki, i już miałem ruszyć za nim z nadzieją, że tym razem przyłapię go wreszcie w czasie nadawania, ale w tej chwili zobaczyłem, jak od muru kamienicy oderwała się drobna postać. Jakiś czas stała nieruchomo, obserwując znikającego w krzakach Hulewicza, a potem pobiegła w kierunku jednego z wejść na klatkę schodową. Wiedziałem, co to było za wejście i dokąd udawał się Świergot, którego poznałem w świetle gwiazd. A więc należało się liczyć, że sprowadzi tu resztę. Pozostałem zatem przy oknie, chcąc sprawdzić, czy moje przewidywania okażą się słuszne.

Istotnie, wkrótce cały oddział był na dole. Obstawili krzaki, a dwóch zagłębiło się w ich gąszcz. Musieli jednak czymś spłoszyć Hulewicza, gdyż po pewnym czasie tych dwóch wróciło i wszyscy udali się do siebie. Byłem na nich wściekły jak diabli, bo udaremnili mi akcję, sami nic nie osiągając. Postanowiłem iść spać, nie wiedząc jeszcze jak mi będzie potrzebny ten wypoczynek przed nadchodzącym dniem.

Rano wstałem w bardzo złym nastroju. Pamiętam, że była to sobota. W czasie cienkiego śniadania, składającego

się z kromki chleba i kubka zbożowej, nie słodzonej kawy, nasłuchiwałem odgłosów z zewnątrz, toteż nie uszedł mojej uwagi stuk zamykanych drzwi sąsiedniego mieszkania. Po chwili podniosłem się i wyszedłem na korytarz. Swoim zwyczajem wyjrzałem najpierw przez okno z klatki schodowej. Pozwoliło mi to stwierdzić, że Hulewicz stoi na podwórku, zajęty rozmową z grupą ludzi. Ponieważ oceniłem, że pogawędka tak od razu się nie skończy, nie spieszyłem się z zejściem na dół. Istotnie, kiedy znalazłem się na podwórzu, stał tam nadal. Udając, że go nie dostrzegam, skierowałem się ku jednej z frontowych klatek schodowych, by stamtąd obserwować, co będzie robił dalej. W tej samej chwili doleciały nas jednak pierwsze zgrzyty sprężonych moździerzy, czyli tak zwanych wówczas „krów”. Ich ogień uważany był przez wielu za groźniejszy od bombardowań lotniczych. Ludzie rzucili się ku piwnicznym wejściom. Ruszyło ku nim i towarzystwo Hulewicza. On jednak pozostał w tyle, a potem skręcił w bok i pobiegł pod ścianą kamienicy w stronę, gdzie za załamaniem jej muru znajdowała się otoczona krzakami szopa Kabulskiego. Wkrótce straciłem go z oczu, bo zniknął mi za węglem. Wówczas ruszyłem i ja. Ziemia właśnie zadrzała od pierwszych wybuchów i rozległ się iście piekielny huk detonacji. Tumany kurzu, wapiennego pyłu, pomieszane z kłębami czarnego, gryzącego dymu wypełniły podwórze. Rozległy się ludzkie krzyki i lamenty. Mało mnie jednak one wówczas obchodziły. Musiałem dopaść uciekającego.

Zbyt dobrze orientowałem się w terenie, by poruszanie się w obłokach dymu sprawiało mi większą trudność. Równie dobrze znałem drogę prowadzącą ku szopie, do której bez wątplenia podążył Hulewicz.

Szopa stała w ten sposób, że jeden z jej krótszych boków przylegał niemal do muru odgradzającego następną posesję. Wrota wychodziły na oficyny kamienicy i

częściowo zasłonięte były krzakami. Natomiast obluzowane deski, umożliwiające dostanie się do środka, znajdowały się w ścianie tylnej.

Kiedy już znalazłem się pod szopą, postanowiłem zachować pełną ostrożność. Po chwili nasłuchiwania — co przy panującym łoskocie było próbą niemal zupełnie chybioną — wśliznąłem się do środka. Chociaż było tam ciemno, wydawało mi się, że wstępuję w świat ciszy i spokoju. Dopiero po chwili uprzytomniłem sobie, że nastąpiła właśnie przerwa w ostrzale.

Skrzynie i worki leżały poukładane w sterty, majacząc w mroku niewyraźnymi zarysami. Skądś, jakby z dala, dochodziły tylko przytłumione nawoływania i krzyki. Tym wyraźniej więc usłyszałem głos nerwowo powtarzający niemieckie słowa, przerywane od czasu do czasu okrzykami:

— Hallo, hallo...

Wiedziałem, skąd dobiegają. Paru cichymi krokami okrążyłem stertę skrzyń i od razu dostrzegłem oświetlone wnętrze skrytki, dokładnie widoczne, gdyż paka zasłaniająca ją była odsunięta.

W skrytce znajdował się Hulewicz, który leżąc nad najnikiem wypowiadał do mikrofonu jakieś słowa. Leżała przy nim paląca się elektryczna latarka, a obok niej pistolet.

W tej chwili znów zabrzmiały detonacje wybuchów, od których powietrze nawet tu, we wnętrzu szopy zafalowało, a jej wiązania zachwiały się niepokojąco. Hulewicz nie mógł mnie zatem usłyszeć, a jednak odwrócił raptem głowę. Ujrzałem w jego oczach nie przerażenie ani nawet strach, a po prostu bezgraniczne zdumienie. Strach pojawił się dopiero za chwilę i on to kazał mu chwycić za leżący obok niego pistolet. W ułamku sekundy, jaki zajął mu ten ruch, ujrzałem jego chude, zaciskające się na rękojeści palce, a potem czarne, okrągłe oko lufy spojrzało mi w twarz. Jednak pierwsza odezwała się moja broń.

Dostał w czoło, gdzieś w okolicy skroni. Uderzenie kuli odrzuciło go na bok i tak pozostał, nawet nie drgnąwszy. Jedyne z bezwładnych palców zaczął z wolna wysuwać się pistolet i upadł na beton podłogi.

Nie zwracałem już na niego uwagi, gdyż doleciały mnie z zewnątrz nawoływania. Był to głos kobiety starającej się przekrzyczeć nową serią zgrzytów.

— Trzysta przedłużyć! Dwieście w lewo! Słyszysz mnie?! Trzysta przedłużyć!

Przesłonięty skrzyniami, byłem niewidoczny, ale przez szczeliny pomiędzy nimi ujrzałem uchylone wrota. Jednak wołająca kobieta stała na zewnątrz i nie było jej widać. Nie tracąc czasu na namysły, wyskoczyłem zza skrzyń i dopadłem wrót. Zatrzymałem się przy nich i ostrożnie wyjrzałem na zewnątrz. O dwa metry przed sobą ujrzałem Kabulską. Była odwrócona do mnie plecami i z lornetką przy uniesionej w górę twarzy wpatrywała się w dach kamienicy.

Spojrzałem w tamtym kierunku. Dołem ciągnęły pasma czarnego dymu i obłoki kurzu. Tuman ten miejscami piął się w górę, ale nie sięgał wyżej okien trzeciego piętra, więc dach i sterzące z niego kominy były widoczne. Przy jednym z kominów ujrzałem szczupłą postać w jasnym prochowcu. Dawała ona jakieś sygnały wyciągniętym ramieniem. Znaczenia ich nie mogłem zrozumieć, nie znając umówionego klucza, ale wiedziałem już, o co chodzi. Pan lejtnant Berg kierował ogniem moździerzy, a jego wskazówki przekazywała Hulewiczowi kobieta.

Obecnie ze spokojem mogłem pozostawić tę parę bez ingerencji, gdyż ich akcja na nic się już nie zdała. Toteż wycofałem się nie bez żalu, że nie będę świadkiem chwili, kiedy znajdą swego radiotelegrafistę. Wołałem jednak nie ryzykować i do ich ujęcia ściągnąć pomoc.

Nie oczekując więc na koniec ostrzału, udałem się na kwatery dowództwa. Ostatnie dymy spływały już unoszone wiatrem, kiedy dotarłem na miejsce. Wkrótce stanąłem

przed Gardą i złożyłem szczegółowy meldunek.

— Hm... — mruknął w zamyśleniu, kiedy skończyłem swój raport. — Nie, nie będziemy ich teraz zdejmować...

— Nie? — Zdziwiłem się. — Po znalezieniu Hulewicza mogą natychmiast uciec!

— Nie jestem tego taki pewny. O ich związku z Hulewiczem nikt nie wie. Nawet ty bez dzisiejszego zdarzenia nie mógłbyś stwierdzić z całą pewnością, że korzystał z szopy Kabulskiego z jego wiedzą.

— A zwłoki tego drania?

— Po prostu zakopią... Albo może nawet zgłoszą, że je znaleźli. To byłoby sprytniejsze, bo zakopywanie stwarza duże ryzyko. Aparat ukryją i ślad zatarty. Nie, pozostawimy ich chwilowo w spokoju. Weźmiesz jedynie dwóch ludzi i poruczysz im opiekę na tą parę. Zatrzymać tylko wówczas, gdyby chcieli opuścić mieszkanie.

— Rozkaz, panie majorze! — odpowiedziałem służbowo acz, nie bez zdziwienia.

Garda musiał dojrzeć na mojej twarzy ten błysk niedowierzania, bo uśmiechnął się.

— Wolę, abyś rozumiał moje intencje — powiedział po chwili. — Otóż i ja jestem zdania, że Kabulscy raczej uciekną po stracie Hulewicza. Ale nie sądzę, by wytrawny oficer wywiadu jak ten Berg zrobił to pod wpływem paniki. Na pewno ma tam poza radiem i inne materiały, które będzie chciał ze sobą zabrać, a to powinno nas interesować. Trzeba więc dać mu czas na przygotowanie się do ucieczki i przyłapać go z tym, co będzie przy sobie miał. Sądzę, że opuści kamienicę raczej w nocy, zatem ostrzeż tych chłopaków, których ci przydzielę, by wzmogli w tym czasie czujność.

— W nocy dwóch może nie starczyć...

— Musi. Za dużo ludzi nie mam. Zresztą zobaczą, jeżeli będzie można, na noc doślę trzeciego.

— Trzecim będę zapewne ja, panie majorze.

— Nie. Ty wyjaśnisz mi do końca sprawę tych zabójstw. Z balkonu strzelał Kabulski, bo widać bardzo mu brakło rozrywki, ale nie wydaje mi się, by to on zabił Gnata. To była jakaś doraźna improwizacja, a i użycie noża nie bardzo mi jakoś pasuje do sylwetki wyborowego strzelca. Jemu chodziło o osiągnięcie ofiary za pomocą celnego strzału. To oraz wrodzone okrucieństwo — poza nienawiścią do nas — stanowiło pobudkę jego czynów. Nóż nie dawał mu tej satysfakcji... — Garda mówił to wszystko jakby do siebie. W pewnej chwili przerwał i spojrzał na mnie. — A ty — zapytał — masz jakieś podejrzenia?

Była to dla mnie ciężka chwila, ale nie mogłem taić przeczuwanej prawdy. Spróbowałem jednak odwlec jej wyjawienie.

— Mam, panie majorze — odpowiedziałem. — Wołałbym jednak jeszcze o tym nie mówić, dopóki nie nabiorę pewności.

— Nie żądam stwierdzenia — uciał krótko Garda. — Kogo podejrzewasz?

Byłem już bezradny. Toteż odpowiedziałem krótko.

— Brata łączniczki Maruty.

— O, psia krew! — Garda zaciął usta i opuściwszy głowę spoglądał na ceglaną podłogę piwnicy. Po chwili uniósł ją i mruknął: — Biedna dziewczyna... Jaki motyw działania?

— Nienawiść do wszystkich zdrowych i silnych, gdyż sam jest kaleką o uschniętej prawej dłoni.

— I mimo to zdołał...?

— Tak. Wyćwiczył się we władaniu lewą ręką.

— Nienawiść ta musiała być niesłychanie silna, skoro pchnęła go do takich wyczynów.

— Poza tym nie jest zupełnie normalny. Jego ojciec odebrał sobie życie w stanie silnej depresji, a on sam jest nadmiernie pobudliwy i ma wręcz chorobliwe zamiłowanie



do broni. Wystarczyła więc najmniejsza podnieta, by pchnąć go do jej użycia. Kabulski nie miał więc na pewno większych trudności, by zrobić z niego podatne narzędzie. Zresztą Gnat nie dopuściłby nikogo obcego tak blisko, będąc na nocnej zasadzce.

— A więc znali się?

— Tak. Chłopiec przychodził do nich do kwatery.

— A poza nim jeszcze kto?

— Tylko jego siostra.

— Hm... No, więc tym bardziej zwalniam cię z opieki nad Kabulskimi. To już załatwią inni. Tę sprawę natomiast chcę mieć wyjaśnioną do jutra, bo mam dla ciebie inne zadanie.

Dochodziło południe, kiedy wróciłem do kamienicy. Należało przede wszystkim stwierdzić, gdzie jest i co robi Michał. Teraz on stanowił główne niebezpieczeństwo, gdyż należało liczyć się, że będzie chciał jak najprędzej zrobić użytek z posiadanej broni.

Nie było go w domu, ani — jak dowiedziałem się od spotkanego na schodach Świergota — u nich w kwaterze.

— Czy nadal pełnicie warty? — Spytałem chłopca. Ten spojrzął na mnie nieco zdziwiony.

— Oczywiście. Teraz jest tam Bicz.

Zawróciłem więc i skierowałem się ku podziemnemu przejściu. Byłem zaniepokojony, bo wiedziałem, dokąd udał się Michał.

Wkrótce byłem w ruinach. Przed wyjściem z piwnic obejrzałem uważnie podwórze i otwory okienne. Wszędzie panowała jednak cisza i znikąd nie dochodził najmniejszy szmer. Ruszyłem. Paru skokami przebyłem otwartą przestrzeń, szybko pokonałem rumowiska cegieł i wkrótce zagłębiłem się w cień wypalonego wnętrza domu. Dotarłem do schodów i właśnie miałem zamiar iść dalej, kiedy raptem panującą ciszę rozdarł suchy trzask dwóch strzałów, a potem zajazgotała krótka seria automatu. Na moment znieruchomiałem, a potem rzuciłem się za najbliższe

załamanie muru, gdyż usłyszałem z góry szybki stukot nóg. Za chwilę ujrzałem Michała. Zbiegał w dół, skacząc po dwa stopnie, i natychmiast znikł mi z pola widzenia. Wysunąłem się za podest, zastanawiając się przez moment czy nie zajrzeć do Bicza. Doszedłem jednak do wniosku, że o wiele ważniejszą sprawą w tej chwili jest odebranie Michałowi pistoletu. Zawróciłem więc i poszedłem do Czerskich. Otworzyła mi Maruta.

— Jest Michał? — spytałem bez; powitania.

— Co... co się stało? — Twarz dziewczyny pokryła nagła bladość.

— Muszę z nim mówić, i to zaraz!

— Był tu przed chwilą, i to bardzo podniecony. Zapowiedział, że idzie do Kabulskich i... wyszedł...

— Pozwoliłaś mu?

— Próbowałam go zatrzymać, ale nieomal wpadł w furię. To było przerażające. Nik, co on takiego zrobił?

Postanowiłem przedstawić jej sprawę jasno, gdyż i tak poznania prawdy nie uniknie, a moja informacja może osłabić wstrząs, jaki ta prawda wywoła.

— Przed kwadransem usiłował w ruinach zgładzić Bicza. Zamach jednak nie udał się i stąd zapewne jego podniecenie.

— Zgładzić Bicza?... — powtórzyła z wolna, po czym oparła się ramieniem o futrynę drzwi, nie mogąc utrzymać się na nogach. Jej oczy, wpatrzone we mnie, rozszerzyły przerażenie. — Jesteś tego pewny?

— Niestety, tak.

— Ale jak to chciał zrobić? Skąd miał broń?

Najgorszą prawdę w obecnej chwili postanowiłem zataić. Istniała przecież minimalna szansa, że pistolet mógł otrzymać od kogoś, chociażby od Kabulskiego.

— Może ktoś mu ją dał? Z całą pewnością tego nie wiem.

— Boże drogi, co mam robić? Pójdę po niego —

powiedziała z nagłą stanowczością. — Niech wraca do domu i nie odstąpię go na krok.

— To nic nie da. Wywoła tylko incydent, bo on jest zbyt wzburzony, byś perswazją mogła coś wskórać. Zostaw go, wystarczy, że wiesz, gdzie jest. — Zastanowiłem się chwilę, a potem dodałem. — Słuchaj teraz uważnie. Po jego powrocie nie zdradź się z tym, co usłyszałaś ode mnie. Powiedz mu tylko, że byłem i pytałem o niego, a następnie powtórz dosłownie: „Prosił, abym ci powiedziała, że czeka w swoim mieszkaniu, bo chce ci zakomunikować coś, co przede wszystkim ciebie dotyczy.”

— Nik, ale nie zrobisz mu nic złego?

— Ależ skąd! Powiem ci otwarcie, o co mi chodzi. Jeśli istotnie ma broń, muszę mu ją koniecznie zabrać. To jedyny sposób na zapewnienie bezpieczeństwa i jemu, i być może innym... Reszta będzie zależała od ostatecznego wyjaśnienia sprawy.

— Słuchaj... Jeszcze jedno... Powiedz, czy działaśz z polecenia Gardy?

— Gdyby tak było, jak przypuszczasz, nie mógłbym tego potwierdzić, czyli w każdym wypadku odpowiedź musi być przecząca.

— Bo widzisz... — dziewczyna zawahała się — była taka chwila, kiedy, ulegając sugestiom Andrzeja, podejrzewałam cię, tak jak i on...

— A teraz?

Spojrzała na mnie bezradnie.

— Sama nie wiem, co mam o tym sądzić... — wyznała.

— Cenię twoją szczerść — skwitowałem krótko jej oświadczenie. — Trzymaj się dzielnie i bądź dobrej myśli!

Była to jedna z tych rad, które mają służyć do rozładowania przygnębienia, ale w którą sam doradca mało wierzy. Chciałem jednak na zakończenie tej rozmowy dodać dziewczynie nieco otuchy.

Po powrocie do siebie przemyślałem sytuację, a potem poczyniłem pewne przygotowania. Przypuszczałem nadal, że Kabulski będzie usiłował usunąć mnie, zwłaszcza teraz po śmierci Hulewicza, chociażby z samej zemsty. Podniecił Michała do zabójstwa Gnata, być może zechce jeszcze raz użyć tego sposobu. Chłopak jest teraz u niego, więc ma doskonałą sposobność, żeby udzielić mu odpowiednich wskazówek. W tej sytuacji nie wolno było dopuścić Michała zbyt blisko siebie. Pierwszą do tego okazję stwarzała konieczność otwarcia mu drzwi. Mógł od razu wykorzystać ten moment. Toteż przede wszystkim odsunąłem rygle i odemknąłem je z klucza. Potem stwierdziłem, że walizeczka leży na właściwym miejscu, to znaczy na bufecie stojącym tuż przy drzwiach, i wreszcie ulokowałem się w fotelu, który ustawiłem przy oknie, i rozpocząłem oczekiwanie. Brzęk mechanicznego dzwonka u mych drzwi rozległ się dopiero, kiedy słońce zaczęło opadać już ku zachodowi.

— Wejść! Drzwi otwarte! — zawołałem, kiedy przebrzmiało echo dzwonka. W przedpokoju rozległy się wolne kroki i na progu ukazał się Michał. Rzuciłem spojrzenie na jego ręce — Pozostawiłem drzwi otwarte, bo paskudnie skręciłem sobie nogę i nie mogę wstać. — Mówiłem szybko, nie dając mu dojść do słowa. — Prosiłem cię, żebyś przyszedł, bo mam nieco wiadomości o śmierci Gnata. Znalazłem coś, co chyba dotyczy tego wypadku, i chcę, żebyś to obejrzał. Tam stoi walizeczka, weź ją, proszę, i zechciej mi ją podać.

W ten dość prosty sposób zająłem Michałowi obie ręce i zmusiłem, aby zbliżył się do mnie, co było nieodzowne, abym mógł go rozbroić.

Tu muszę wtrącić pewną uwagę. Być może to postępowanie wyda się panu nieco teatralne, ale należy wziąć pod uwagę moją sytuację. Musiałem rozbroić Michała, ale chciałem wykluczyć konieczność strzelania. Ja miałem być tym zaskoczonym, ale w rezultacie zaskoczony byłby

Michał, a ponieważ strzelam dobrze, nie miałby żadnych szans. I właśnie dlatego nie chciałem dopuścić do użycia broni. Ale nie chodziło mi, mówiąc szczerze, o niego, lecz o Marutę. Co innego było ujęcie chłopca i przekazanie go dowództwu, a co innego poczęstowanie kulą. Moje uczucie do dziewczyny kazało mi oszczędzać jej brata i stąd ta reżyseria, mająca udaremnić wymianę strzałów.

Michał z wyraźnym zdziwieniem na twarzy, ale i z zaciekawieniem usłuchał mego polecenia. Uniósł wskazaną walizkę i trzymając ją przed sobą, zaczął zbliżać się do mnie. Kiedy dzieliły nas już tylko dwa kroki, wstałem raptownie z fotela. W moim ręku tkwił pistolet wymierzony w niego.

— Stać i nie ruszać się — rozkazałem.

Zaskoczony zupełnie, zatrzymał się gwałtownie i, nie mogąc wydobyć głosu, wpatrywał się we mnie z półotwartymi ustami. Walizka, którą trzymał, drżała mu w rękach.

W następnej sekundzie byłem przy nim i, trzymając pistolet tuż przed jego twarzą, drugą ręką sięgnąłem mu w zanadze bluzy.

Od razu trafiłem palcami na rękojeść pistoletu. Wyciągnąłem go i odrzuciłem na tapczan.

— A teraz odłóż tę walizkę i słuchaj, co ci powiem. Zachowuj się spokojnie, bo biję mocno i możesz stracić parę zębów!

Michał odrzucił walizkę, jakby go parzyła i zacisnął dłonie w pięści. A kiedy wydobył z siebie głos, w kątach ust pojawiły się pęcherzyki śliny.

— Ty podstępny, parszywy psie!

— Przestań się zgrywać — przerwałem.

— Udała ci się ta sztuczka — ogarnięty wściekłością nieomal krzyczał. — Powiniennem kropnąć cię od razu, tak jak... — urwał raptownie w pół zdania, szybko oddychając otwartymi ustami.

— Jak radził Kabulski? To chciałeś powiedzieć?

Zacisnął wargi i, nie spuszczać ze mnie pełnego nienawiści spojrzenia, milczał.

— A jak tam było z Gnatem? Czy to zabójstwo też sam obmyśliłeś?

— Ja go nie zabiłem.

— Możesz sobie zaprzeczać! Kabulski i tak cię wysypie! Zresztą, skoro nie zabiłeś Gnata, to skąd masz jego pistolet?

— Żebyś zdechł... — usłyszałem w odpowiedzi.

— Opanuj język, bo ci go przytnę — ostrzegłem go.  
— A teraz pójdziesz ze mną do dowództwa.

Michał zbladł wyraźnie. Mimo to zdobył się na zjadliwy uśmiech.

— Jeśli to zrobisz, stracisz Marutę! — wykrztusił.

Udałem zdziwienie.

— A co ona ma z tym wspólnego? Aby tracić, trzeba najpierw zdobyć.

— Gadaj zdrów. Myślisz, że nie wiem, żeś z nią spał?

Na jeden krótki moment straciłem nad sobą panowanie. Przerzuciłem pistolet do lewej ręki, a prawą trzepnąłem go w twarz. Zatoczył się pod ścianę, ale szybko odzyskał równowagę.

— Zabiję, i ciebie... — powiedział piskliwie, przykładając dłoń do policzka.

Nie zdążyłem mu jednak odpowiedzieć, gdyż w tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Wrzuciłem szybko pistolet Gnata pod poduszkę i chowając swój, skinąłem na Michała.

— Sam tu nie zostaniesz, chodź ze mną do drzwi.

Były otwarte, ale ponieważ nie wiedziałem, kto przybywa, wolałem już w przedpokoju spławić nieproszonego gościa. Byli to jednak Bitny i Kruszyna. Przebieg ich wizyty pan zna, więc nie będę tego powtarzał.

Dowody, jakie mieli przeciw mnie, istotnie były trudne do obalenia. Ten kolorowy gips przyniesiony z ruin i

pistolet pod poduszką zdawały się usuwać najmniejsze wątpliwości. Ja zaś nie chciałem udzielać wyjaśnień kosztem tego smarkacza. Zresztą przy negatywnym nastawieniu Bitnego do mnie na pewno nie byłyby przyjęte. Tym bardziej że w zaistniałej sytuacji zabrzmiałyby istotnie mało przekonująco. Wolałem więc milczeć i żądać odstawienia mnie do dowództwa. Bałem się jedynie, czy chłopcy Gardy wykażą konieczną czujność, bo było oczywiste, że Michał pójdzie z ostrzeżeniem do Kabulskiego, co może przyspieszyć jego ucieczkę.

Na szczęście nie zrobił tego od razu, gdyż postanowił najpierw odzyskać odebrany mu pistolet.

Dalszy rozwój zdarzeń zna pan również. Sznur znalazłem dopiero nad ranem, bo po ciemku trudno było robić przegląd łazienki. Wydostałem się więc bez zbytnich trudności. Nawet udało mi się nie obudzić lokatorów niższego piętra, kiedy przemykałem się z ich łazienki do drzwi wyjściowych. Od razu ruszyłem do Gardy.

Pierwsze, co ujrzałem przed jego kwaterą, to byli Kabulscy stojący w towarzystwie uzbrojonej eskorty. Jeden z żołnierzy trzymał w ręku wypchaną teczkę, co dowodziło, że przewidywanie Gardy było słuszne.

Musiałem czekać dość długo, gdyż najpierw odbyło się przesłuchanie Kabulskich. Dopiero potem mogłem się zameldować i zdać sprawę z przebiegu ostatnich wypadków.

Major kazał mi odszukać Michała i przyprowadzić go do niego. Jednocześnie dostałem polecenie, bym zrzucił cywilne ubranie i zabrał z sobą swoje osobiste rzeczy. Wiedziałem więc, że będzie to moja ostatnia wizyta w kamienicy pod numerem trzydziestym drugim.

Kiedy tam wróciłem, dochodziło już południe. W bramie spotkałem Jarząbka, który mi opowiedział o nowej tragedii. On też poinformował mnie, że Bitny przyprowadził półprzytomną dziewczynę i teraz jest przy niej. W tej

sytuacji zrezygnowałem z pożegnania Maruty. Postanowiłem jednak udać się do kwatery oddziału, by przynajmniej zobaczyć chłopców.

Już samo moje zjawienie się zaskoczyło ich całkowicie, a widok munduru zaszokował nieomal zupełnie. Mimo przygnębienia chciało mi się śmiać na widok ich zdumionych twarzy.

— Co się tak gapisz? — rzuciłem z uśmiechem pod adresem Świergota.

Chłopak poderwał się na baczność i wyjąkał:

— Ja... ja nie... panie poruczniku!

— Niechże mnie szlag trafi — rozległ się jednocześnie okrzyk Kruszyna. — Ale byliśmy ślepi!

— I głupi — dorzucił nieco ochłonawszy Bicz, po czym przepisowo złożył meldunek.

— Zaniechajmy, chłopcy, tego drylu — odezwałem się. — Przyszedłem do was dowiedzieć się szczegółów dzisiejszego dramatu no i pożegnać się...

Kruszyna złożył mi relację.

— Ale co tam robiła Maruta? — spytałem, kiedy skończył.

— W jakiś czas po odejściu Bitnego przysłała tu pytając, czy nie widzieliśmy Michała. Zaprzeczyliśmy, a wtedy spytała o Bitnego. Kiedy dowiedziała się, że jest na warcie, bo zginął pistolet, wybiegła bez słowa, jakby już wiedziała, kto go ma.

— Tak, ona o tym wiedziała — potwierdziłem.

— Wiedziała? — zdziwił się Kruszyna. — Skąd?

Opowiedziałem im pokrótce przebieg i sens ostatnich zdarzeń nie tając już istotnej przyczyny swego pobytu w tej kamienicy.

— Teraz rozumiem, dlaczego Kabulska plotła te bajdy! — wykrzyknął Bicz.

— Zaraz... zaraz... — przypomniał sobie Kruszyna.

— Mam tu jeszcze coś — Mówiąc to wyciągnął z kieszeni niebieską kopertę i podał ją mnie.



— Proszę, niech pan porucznik przeczyta, znaleźliśmy to przy Hulewiczu.

Spojrzałem na adres, potem na nich. Wszyscy wpatrywali się we mnie z zaciekawieniem. Rozkleiłem kopertę i popatrzyłem na nią pod światło.

— Proszę, zobaczcie sami — podałem kopertę Kruszynie.

Ten chwilę przyglądał się jej.

— No tak, teraz widać, że była skrobana... — mruknął.

— A nazwisko Berg ma tyleż liter co i Łoza. Wpisanie ich więc na maszynie w wytarte miejsce dobrze maskowało cały proceder...

— I wykorzystał zwłoki Hulewicza, by podrzucić tę kopertę — odezwał się Bicz.

— A więc to miał być ten obiecany dowód — rzucił Kruszyna. — A co z nimi?

— Już siedzą, jeśli jeszcze żyją — odpowiedziałem i uściśnąłem po kolei ich ręce.

Tak rozstaliśmy się i tak kończy się moja opowieść, która zajęła nam sporo czasu. Zaczyna się już robić jasno...

Poprawiłem ogień i rzuciłem nań parę gałęzi.

— A co się stało z dziewczyną i Bitnym?

— Słyszałem, że Maruta prosiła o przeniesienie jej na Czerniaków. Był to wówczas najniebezpieczniejszy odcinek. Oddział Bitnego został skierowany na linię, ale co się z nimi stało, tego nie wiem...

Kiedy pożegnałem wreszcie Morenę, pierwszy brzask kładł różowe światło na gładką powierzchnię jeziora. Pasma mgieł ciągnęły się przy jego brzegach. Zapuściłem motor i odbiłem od kładki.

